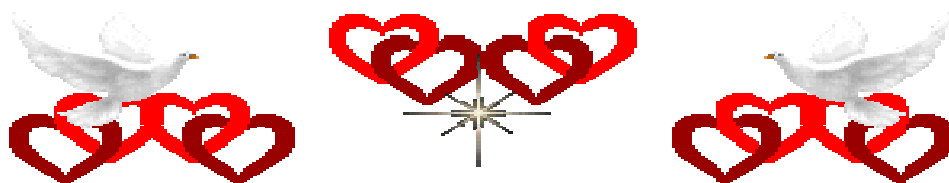


**ANITA SHREVE**



**ŻONA PILOTA**

Przełożyła Ewa Gorządek

## Dla Christophera

### Od Autorki

Jest to całkowicie fikcyjna opowieść o kobiecie, której mąż zginął w katastrofie lotniczej. Postacie bohaterów nie są wzorowane na nikim, kogo znam lub o kim słyszałam.

Chciałabym podziękować następującym osobom z Little, Brown and Company: mojemu wydawcy, Michaelowi Pietschowi, za jego bystre oko, miłość, jaką darzy swój zawód, i skromność przy całej jego mądrości, mojej agentce prasowej, Jen Marshall, za łatwość, z jaką rozwiązuje wszystkie problemy, które pojawiają się na jej drodze, oraz Betsy Uhrig, za profesjonalność i uwagę, z jaką redagowała tę książkę.

Poza tym chciałabym podziękować także mojej córce, Katherine Clemans, która pomogła mi stworzyć portret Mattie, Alanowi Samsonowi z Little, Brown and Company w Wielkiej Brytanii za przeczytanie maszynopisu i nieustające wsparcie, a także Gary'emu DeLong za podzielenie się ze mną trudnymi doświadczeniami osoby pogrążonej w żałobie.

Jak zwykle, chcę także wyrazić wdzięczność Johnowi Osbornowi, który zawsze pierwszy przegląda maszynopisy i konsekwentnie, z całą delikatnością popycha mnie we właściwym kierunku.

I na końcu, chociaż tak samo gorąco, chciałabym podziękować mojej agentce i przyjaciółce, Ginger Barber, która czuwa nad wszystkimi moimi książkami, za trafne uwagi krytyczne i niezmienny wdzięk.

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Usłyszała pukanie i zaraz zaszczekał pies. Sen ulatywał za zamykające się drzwi. To był przyjemny sen, ciepły i przyjazny, i dlatego tak go żałowała. Broniła się przed przebudzeniem. W małej sypialni było ciemno, zasłony nie przepuszczały jeszcze ani odrobiny światła. Sięgnęła do lampy, po omacku szukając włącznika i zadając sobie pytanie: Co? Co?

Zalany światłem pokój zatrwożył ją, wyglądał niestosownie, jak szpitalna izba przyjęć o północy. Wpadały jej do głowy różne myśli: Mattie, potem Jack, potem sąsiad, a w końcu wypadek samochodowy. Ale przecież Mattie jest w łóżku, prawda? Dopilnowała, żeby córka położyła się spać, obserwowała, jak idzie korytarzem, wchodzi do swojego pokoju i trzaska drzwiami na tyle mocno, aby coś zademonstrować, lecz nie aż tak, aby zasłużyć na reprimendę. A Jack? Gdzie jest Jack? Przeczesła palcami włosy, przyklapnięte od snu. Gdzie jest Jack? Usiłowała przypomnieć sobie, dokąd miał lecieć. Do Londynu. Powinien wrócić do domu w porze lunchu. Była tego pewna. A może się pomyliła, a on znowu zapomniał wziąć klucze?

Usiadła i opuściła nogi na zimne deski podłogi. Nigdy nie rozumiała, dlaczego w starym domu drewno podczas zimy całkowicie traci swoje ciepło. Czarne legginsy podjechały jej do połowy łydek, a rękawy koszuli, w której spała, starej białej koszuli Jacka, rozwinęły się i zwisały poniżej palców. Pukanie nie powtórzyło się i przez chwilę pomyślała, że to wszystko jest snem. Czasami człowiek budzi się z jednego snu, aby zapaść w drugi. Kathryn sięgnęła po mały budzik, stojący na nocnym stoliku, i zobaczyła, że jest trzecia dwadzieścia cztery. Przynęła twarz bliżej czarnej tarczy z fosforyzującymi wskazówkami, a potem postawiła zegarek na marmurowym blacie z takim impetem, że budzik się otworzył i bateria potoczyła pod łóżko.

Przecież Jack jest w Londynie, powtórzyła w myślach. A Mattie w łóżku.

Wtedy ponownie usłyszała pukanie, trzy mocne stuknięcia w szybę. Ciężar przytłaczający jej pierś przesunął się do żołądka i tam spoczął. W oddali znowu rozległo się urywane szczekanie psa.

Wstała z łóżka, ostrożnie stawiając kroki, jakby się bała, że idąc szybciej, może uruchomić jakiś mechanizm, który jeszcze nie zaczął działać. Odsunęła cicho zasuwkę w drzwiach sypialni i ruszyła w stronę schodów. Wiedziała, że córka jest na górze, i nie chciała hałasować.

Weszła do kuchni i usiłowała dojrzeć coś przez okno nad zlewozmywakiem, przez które widać było podjazd, zakręcający za dom. Zobaczyła jedynie ciemny kształt jakiegoś samochodu. Skręciła w wąski korytarzyk na tyłach domu, gdzie terakotowa posadzka, jeszcze gorsza niż podłoga z desek, zmroziła jej stopy. Zapaliła światło przy tylnym wejściu do domu i przez niewielką szybę w górze drzwi zobaczyła mężczyznę.

Zachowywał się tak, jak gdyby zupełnie nie zaskoczyło go nagłe światło w domu. Powoli odwrócił głowę, starając się nie patrzeć przez szybę, jakby nie należało tego robić, jakby kompletnie mu się nie spieszyło, jakby to nie była trzecia dwadzieścia cztery nad ranem. Wydawał się blady w jaskrawym oświetleniu. Miał opadające powieki, włosy koloru kurzu, krótko obcięte i zaczesane na bokach do tyłu. Kołnierz jego płaszcza był podniesiony. Mężczyzna wyraźnie się garbił. W pewnej chwili mocno tupnął butami. Wtedy dokonała ostatecznej oceny. Pociągnęła twarz, trochę smutna, przyzwoicie ubrany, interesujący wykrój ust, dolna warga nieco bardziej wygięta i pełniejsza niż górna - nie był niebezpieczny. Sięgając ręką do klamki, pomyślała: nie włamywacz i nie gwałciciel. W ogóle nie wyglądał na gwałciciela. Otworzyła drzwi.

- Pani Lyons? - zapytał.

I w tym momencie już wiedziała.

Domyśliła się po tym, jak wymówił jej nazwisko, po tym, że je w ogóle znał. Po jego oczach, sposobie patrzenia.

Wciągnęła głęboko powietrze w płuca. Odwróciła się od niego, zgięta w pół. Przyłożyła dłoń do piersi.

Wyciągnął rękę i delikatnie położył na wcięciu jej talii.

Wzdrygnęła się pod jego dotykiem. Próbowwała się wyprostować, ale nie mogła.

- Kiedy? - zapytała.

Wszedł do środka i zamknął drzwi.

- Dziś rano - powiedział.

- Gdzie?

- Około dziesięciu mil od wybrzeży Irlandii.

- W wodzie?

- Nie. W powietrzu.

- Och...

Uniosła dłoń do ust.

- Najprawdopodobniej doszło do eksplozji - rzekł szybko.

- Jest pan pewien, że to Jack?

Na chwilę odwrócił oczy. a potem znowu na nią spojrział. - Tak.

Schwycił ją za łokcie, gdy osuwała się na podłogę. Poczowała się przez chwilę zakłopotana, ale nic nie mogła zrobić, nogi po prostu ugięły się pod nią. Nie zdawała sobie sprawy, że jej własne ciało może do tego stopnia odmówić posłuszeństwa, zastrajkować. Mężczyzna wciąż trzymał ją pod łokcie, lecz ona chciała być wolna. Delikatnie opuścił ją na podłogę.

Wtulila twarz w kolana i objęła ramionami głowę. Nie słyszała, co do niej mówi. Instynktownie zmuszała się, aby oddychać, napełniać płuca. Uniosła głowę i zaczerpnęła spory łyk powietrza. Jakby z oddali usłyszała dziwny dźwięk, przypominający łkanie, ale przecież nie płakała, twarz miała suchą. Stojący z tyłu mężczyzna usiłował dźwignąć ją z podłogi.

- Pomogę pani usiąść na krześle - powiedział.

Pokręciła głową. Chciała, aby dał jej spokój. Chciała się wtopić w kafelki, rozpląnąć na posadzce.

Niezdarnie chwycił ją ponownie pod ramiona. Pozwoliła, by ją podniósł.

- Jest mi... - Nie dokończyła zdania.

Raptownym ruchem odepchnęła go od siebie i oparła się o ścianę. Zaczęła się krztusić i kaszleć, ale żołądek miała pusty.

Gdy po chwili uniosła głowę, zauważyła, że jest zaniepokojony. Wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę kuchni.

- Proszę usiąść na krześle - powiedział. - Gdzie zapala się światło?

- Kontakt jest na ścianie.

Jej głos brzmiał chrapliwie i słabo. Czowała, że wstrząsają nią dreszcze.

Szukał po omacku kontaktu i wreszcie go znalazł. Zasłoniła twarz dłońmi, chroniąc się przed oślepiającym światłem. Poza tym nie chciała, aby ktoś na nią patrzył.

- Gdzie są szklanki? - zapytał.

Wskazała szafkę. Podał jej szklanekę wody, ale nie była w stanie utrzymać naczynia. Musiał je podtrzymywać, gdy piła.

- Jest pani w szoku - powiedział. - Skąd mogę wziąć koc?

- Przysłały pana linie lotnicze? - zapytała.

Zdjął płaszcz i marynarkę, którą narzucił jej na ramiona. Potem pomógł jej wsunąć ręce w rękawy, zadziwiająco gładkie i ciepłe.

- Nie - odparł. - Związek zawodowy.

Pokiwała wolno głową, starając się zrozumieć sens jego słów.

- Robert Hart - przedstawił się.

Jeszcze raz kiwnęła głową i napiła się wody. Gardło było suche i obolałe.

- Jestem tu, aby pani pomóc - powiedział. - To będą ciężkie chwile. Czy pani córka jest w domu?

- Wie pan, że mamy córkę? - zapytała zdziwiona. I natychmiast pomyślała: Oczywiście, że wie.

- Chce pani, abym ja jej to powiedział? Kathryn potrząsnęła głową.

- Zawsze mówiły, że związek dociera najprędzej. Mam na myśli żony - wyjaśniła. - Powinnam ją już obudzić?

Spojrzał na zegarek, potem na Kathryn, jakby się zastanawiał, ile czasu jeszcze im zostało.

- Za kilka minut - zaproponował. - Gdy będzie pani gotowa. Zadzwoił telefon, zębate ostrze w panującej tam ciszy. Robert Hart natychmiast podniósł słuchawkę.

- Bez komentarzy - powiedział.

- Bez komentarzy.

- Bez komentarzy.

- Bez komentarzy.

Obserwowała, jak odkłada słuchawkę na widełki i masuje czoło opuszkami palców. Miał grube palce i szerokie dłonie, które zdawały się za wielkie w stosunku do reszty ciała.

Patrzyła na koszulę mężczyzny, białą w szare prążki, ale widziała tylko wymaglinowany samolot na wymagowanym niebie, który w oddali rozpada się na kawałki.

Pragnęła, aby człowiek ze związku odwrócił się do niej i przyznał, że popełnił omyłkę: to nie ten samolot i nie ta żona, to wszystko nie stało się tak, jak powiedział. Już niemal czuła radość z tego powodu.

- Czy mam do kogoś zadzwonić? - zapytał. - Aby się panią zaopiekował?

- Nie - powiedziała. - Tak. - Zawahała się. - Nie.

Potrząsnęła głową. Nie była jeszcze gotowa. Utkwiła wzrok w szafce pod zlewem. Co w niej jest? Środki czystości. Czarna pasta do butów Jacka. Przygryzła od środka policzek i rozejrzała się po kuchni. Spojrzała na popękany sosnowy stół, stojącą za nim, poplamioną kuchenkę, mlecznozieloną szafkę. Niecałe dwa dni temu jej mąż czyścił w tym pomieszczeniu buty, opierając nogę na szufladzie z chlebem, którą w tym celu wysunął. Często była to ostatnia rzecz, jaką robił przed wyjściem do pracy. A ona siadywała wtedy na krześle i mu się przyglądała. Ostatnio stało się to nawet swoistym rytuałem, częścią procesu zostawiania jej samej.

Zawsze ciężko przeżywała jego wyjazdy z domu - niezależnie od tego, jak dużo miała pracy, jak bardzo potrzebowała mieć trochę czasu dla siebie. I wcale nie



dlatego, że się bała. Nie miała zwyczaju żyć w strachu. Samolot jest bezpieczniejszy niż jazda samochodem, mawiał zawsze z takim przekonaniem, jakby kwestia jego bezpieczeństwa nie była nawet warta wspomnienia. Nie, w zasadzie nie chodziło o bezpieczeństwo. Nie mogła znieść, że Jack opuszcza dom, to zawsze było najtrudniejsze. Patrząc, jak wychodzi z tym swoim grubym, kwadratowym neseserem pilota w jednej ręce i torbą na ubrania w drugiej, z czapką od munduru wciśniętą pod pachę, często miała wrażenie, że w jakimś głębokim sensie ją zostawia. I, oczywiście, tak było. Zostawiał ją, aby unieść w powietrze 175-tonowy samolot i przelecieć nim nad oceanem do Londynu, Amsterdamu lub Nairobi. Nie miała większych trudności, aby poradzić sobie z tym uczuciem, i po kilku chwilach zniknęło. Czasami Kathryn tak bardzo przyzwyczajała się do jego nieobecności, że stroszyła się, gdy po jego powrocie musiała zmieniać niektóre swoje nawyki. A potem, po trzech, czterech dniach cykl zaczynał się na nowo.

Miała wrażenie, że Jack inaczej odczuwał swoje wyjazdy i powroty. Przecież opuszczać kogoś to nie to samo co być opuszczanym.

Jestem tylko podziwianym kierowcą autobusu, zwykły mawiać.

Ale nie aż tak podziwianym, dodawał.

Zwykły mawiać. Usiłowała to pojąć. Próbowwała zrozumieć, że Jacka już nie ma. Lecz widziała jedynie kłęby dymu, przedstawione jak na kreskówkach, i rozchodzące się we wszystkich kierunkach linie. Odsunęła od siebie tę myśl tak szybko, jak się pojawiła.

- Pani Lyons? Czy na parterze jest telewizor, na który mógłbym zerknąć? - usłyszała pytanie Roberta Harta.

- W pokoju od frontu - powiedziała, wskazując dłonią kierunek.

- Chciałbym posłuchać, co mówią w serwisie informacyjnym.

- W porządku - odparła. - Czuję się już dobrze.

Pokiwał głową, ale bez przekonania. Patrzyła, jak wychodzi z kuchni. Zamknęła oczy i pomyślała: Za żadne skarby nie mogę tego powiedzieć Mattie.

Potrafiła sobie wyobrazić, jak by to wyglądało. Otwiera drzwi do pokoju Mattie, gdzie na ścianie wisi plakat Less Than Jake i reklama wyczynowej jazdy na nartach w Kolorado. Na podłodze leżą powywracane na lewą stronę ubrania, noszone w ciągu ostatnich dwóch, trzech dni. W kącie piętrzy się sportowy ekwipunek Mattie: narty, kijki, snowboard, kije do gry w hokeja na trawie. Na korkowej tablicy jest gęsto od rysunków i portretów jej przyjaciółek: Taylor, Alyssy i Kary, piętnastoletnich dziewczyn z końskimi ogonami i kosmykami długich włosów wokół twarzy. Mattie leży skulona w niebiesko-białej pościeli i

udaje, że nic nie słyszy, dopóki Kathryn nie zawoła jej po raz trzeci. Wówczas siada na łóżku, z początku zła, że ją obudzono, zastanawiając się, czy już czas wstawać do szkoły i dlaczego Kathryn weszła do sypialni. Włosy Mattie, piaskoworude, z metalicznie połyskującymi pasemkami, spływają na ramiona i na fioletowy podkoszulek z białym napisem „Ely Lacrosse”, biegnącym w poprzek jej drobnych piersi. Wspiera się na łokciach i unosi w górę.

- Co się stało, mamó? - pyta. Właśnie tak.

- Co się stało, mamó?

I jeszcze raz, nieco podniesionym głosem.

- Mamó, o co chodzi?

A Kathryn klęka przy łóżku i mówi córce, co się stało.

- Nie, mamó! - krzyczy Mattie. - Nie! Mamó!

Kiedy Kathryn otworzyła oczy, dotarły do niej stłumione dźwięki telewizora.

Wstała z kuchennego krzesła i poszła do frontowego pokoju z sześcioma oknami od sufitu do podłogi, wychodzącymi na trawnik i ocean. Zatrzymała się w progu na widok obwieszanej bombkami choinki, stojącej w kącie. Robert Hart siedział na sofie, słuchając wypowiedzi starca, który udzielał wywiadu przed kamerami telewizyjnymi. Nie widziała początku transmisji. Był to program CNN albo CBS. Robert rzucił jej szybkie spojrzenie.

- Na pewno chce pani to oglądać? - zapytał.

- Tak - odpowiedziała. - Wolałabym. Podeszła kilka kroków do telewizora.

Tam, gdzie przebywał stary mężczyzna, padało. Po chwili na dole ekranu pojawiła się nazwa miejscowości. Malin Head, Irlandia. Nie miała pojęcia, gdzie to jest. Nie wiedziała nawet, która to Irlandia. Po policzkach starca spływały krople deszczu, pod jego oczami wyraźnie rysowały się białe worki. Kamera oddaliła się, ukazując rynek, a przy nim białe fasady wymuskanych domów. W samym środku szeregu budynków stał smętnie wyglądający hotel. Udało jej się przeczytać nazwę, umieszczoną na wąskiej markizie: Malin Hotel. Przed wejściem zgromadzili się mężczyźni z kubkami kawy lub herbaty w dłoniach, przyglądający się z pewnym zażenowaniem ekipom telewizyjnym. Kamera ponownie wróciła do starca i na ekranie pojawiło się zbliżenie twarzy. W jego oczach widać było przeżyty szok, usta miał półotwarte, jakby z trudem oddychał. Patrząc na niego, Kathryn pomyślała: Teraz też tak wyglądam. Szara twarz. Oczy wytrzeszczone na coś, czego nawet nie widać. Wargi zwisające jak u złapanej na haczyk ryby.

Dziennikarka, ciemnowłosa kobieta z czarnym parasolem, poprosiła mężczyznę, aby opowiedział, co widział.

Światło księżyca odbijało się w ciemnej wodzie, powiedział z wahaniem.



Miał zachrypnięty głos i mówił z tak silnym akcentem, że na dole ekranu pojawił się zapis jego relacji.

Z nieba spadały kawałki srebra, które lądowały wokół łodzi, opowiadał.

Kawałki fruujące jak ptaki.

Zranione ptaki. Spadały w dół.

Obracały się spiralnie i wirowały.

Zbliżyła się do odbiornika i uklękła na dywanie, tak że jej twarz była na tym samym poziomie co mężczyzny. Rybak ilustrował swoje słowa gestami. Powiedział dziennikarce, że żaden z tych dziwnych kawałków nie wylądował w jego łodzi i kiedy dopłynął tam, gdzie niektóre z nich upadły, już ich nie znalazł, zniknęły lub zatoneły, nie mógł nic znaleźć, nawet używając sieci.

Zwracając się do kamery dziennikarka wyjaśniła, że mężczyzna nazywa się Eamon Gilley. Ma osiemdziesiąt trzy lata, poinformowała, i jest pierwszym naocznym świadkiem, który zawiadomił o katastrofie.

Do tej pory nie pojawił się nikt inny, kto widziałby to samo, i nic jeszcze nie zostało potwierdzone. Kathryn odniosła wrażenie, że dziennikarka bardzo by chciała, aby opowieść Gilleya była prawdziwa, ale czuła się w obowiązku zastrzec, że może być inaczej.

Kathryn wiedziała jednak, że to prawda. Na powierzchni morza widziała odbijające się światło księżyca, rozedrgane i migoczące, srebrne iskierki spadające z nieba, coraz niżej i niżej, jak małe aniołki schodzące na ziemię. Widziała małą łódkę na wodzie i rybaka stojącego na dziobie, z twarzą zwróconą w stronę księżyca, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Widziała, że niemal traci równowagę, aby złapać fruujące kawałki, przesywa powietrze niczym dziecko, które próbuje pochwycić świetliki w letnią noc. I pomyślała także, że to dziwne, ale nawet katastrofa - taka katastrofa, która mrozi krew w żyłach, zapiera dech w piersiach i wali prosto między oczy - może być niekiedy czymś pięknym.

Robert wyłączył telewizor.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- O której, pan mówił, to się stało? Oparł łokcie na kolanach i złożył dłonie.

- Pierwsza pięćdziesiąt siedem. Naszego czasu. Szósta pięćdziesiąt siedem lokalnego.

Miał bliznę nad prawą brwią. Chyba dobiega już czterdziestki, pomyślała, jest raczej w jej wieku niż Jacka. Miał jasną karnację blondyna i brązowe oczy z rdzawymi cętkami na tęczęwkach. Jack miał niebieskie oczy, w różnym odcieniu - jedno w kolorze wyblakłego błękitu, niemal przezroczyste, jak niebo malowane akwarelą, drugie zaś wyraziste, w intensywnym kolorze królewskiego błękitu. To

niezwykle zabarwienie oczu zwracało uwagę ludzi, którzy badawczo przyglądali się jego twarzy, jakby ta asymetria sugerowała brak równowagi, a może nawet coś złego.

Czy to jego zawód? - pomyślała.

- W tym czasie przekazano ostatni komunikat - powiedział związkowiec tak cicho, że ledwie usłyszała.

- Jak on brzmiał? - zapytała.

- Rutynowo.

Nie wierzyła mu. Czy ostatni komunikat może być rutynowy?

- Czy pan wie - zapytała - jak zazwyczaj brzmią ostatnie słowa, które wypowiada pilot, gdy wie, że za moment spadnie? No tak, pan to, oczywiście, wie.

- Pani Lyons - obruszył się.

- Mam na imię Kathryn.

- Jesteś wciąż w szoku. Powinnaś zjeść trochę cukru. Masz w domu sok?

- W lodówce. To była bomba, prawda?

- Niestety, nic więcej nie wiem.

Wstał i poszedł do kuchni. Kathryn uprzytomniła sobie, że jeszcze nie chce zostać sama w pokoju, i udała się za nim. Spojrzała na zegar, wiszący nad zlewozmywakiem. Trzecia trzydzieści osiem. Czy to możliwe, że od czasu, gdy spojrzała na budzik przy łóżku, upłynęło zaledwie czternaście minut?

- Szybko tu dotarłeś - zauważyła, siadając znowu na kuchennym krześle.

Nalał sok do szklanki.

- Jak ci się to udało? - zapytała.

- Mamy samolot - powiedział cicho.

- Nie o to mi chodzi. Chcę wiedzieć, jak to jest zorganizowane? Macie w pogotowiu samolot? Siedzicie i czekacie na katastrofę?

Wręczył jej szklankę z sokiem. Oparł się o zlewozmywak i przeciągnął środkowym palcem prawej ręki w górę między brwiami, od nasady nosa do linii włosów. Wydawało się, że podejmuje jakieś decyzje, ocenia sytuację.

- Nie - powiedział. - Nie siedzę i nie czekam na katastrofę. Ale jeśli coś się wydarzy, mamy opracowane konkretne procedury. Na krajowym lotnisku w Waszyngtonie jest do naszej dyspozycji odrzutowiec. Mogę nim dolecieć do najbliższego większego lotniska. W tym wypadku było to Portsmouth.

- I co dalej?

- Tam czeka na mnie samochód.

- I dostałeś się tu w...

Obliczała, w jakim czasie dotarł z centrali związkowej w Waszyngtonie do Ely w New Hampshire, niedaleko granicy z Massachusetts.

- Zajęło mi to niewiele ponad godzinę - powiedział.

- Ale dlaczego? - zapytała.

- Aby być pierwszym. Aby cię poinformować. Pomóc ci przez to przejść.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie - zauważyła szybko. Zastanowił się chwilę.

- Jest jej częścią - odparł.

Przeciagnęła dłoń po splekanym blacie sosnowego stołu. W te wieczory, gdy Jack był w domu, życie ich trojga, Jacka, jej i Mattie, koncentrowało się wokół tego stołu - czytali gazety, słuchali wiadomości, gotowali, jedli, sprząтали, wykonywali prace domowe, a potem, gdy Mattie poszła do łóżka, rozmawiali lub milczeli, a czasami, jeśli Jack nie wybierał się w drogę, wypijali butelkę wina. Dawniej, gdy Mattie była jeszcze mała i wczesnie kładła się spać, bywało, że zapalali świece i kochali się w kuchni, gdy ją albo Jacka ogarniała nagła namiętność.

Odchyliła do tyłu głowę i zamknęła oczy. Ból promieniował z brzucha do gardła. Poczowała, że ogarnia ją panika, jak gdyby dotarła zbyt blisko przepaści. Zaczerpnęła powietrza tak gwałtownie, że Robert spojrział na nią z niepokojem.

I wtedy szok zmienił się w smutek, tak jakby przeszła z pokoju do pokoju.

Zaatakowały ją wspomnienia. Czowała oddech Jacka na karku, gdy coś jej szeptał. Przelotny dotyk, gdy pośpiesznie całował ją przed wyjściem do pracy. Przypomniła sobie uścisk, jakim obdarzył córkę po jej ostatnim meczu w hokeja na trawie, gdy spocona płakała, ponieważ drużyna Mattie przegrała osiem do zera. Widziała jasną skórę na wewnętrznej stronie ramienia Jacka, odrobinę dziobatą między łopatkami, pozostałość po okresie dojrzewania. Pamiętała niezwykłą wrażliwość jego stóp, sprawiającą, że nie mógł spacerować po plaży bez butów. Ciepłotę jego ciała, która zadziwiała ją zwłaszcza w najzimniejsze noce, jakby wewnętrzne źródło ciepła płonęło bez opamiętania. Wspomnienia napierały, tłoczyły się i brutalnie upominały o miejsce dla siebie. Bezskutecznie usiłowała je powstrzymać.

Człowiek ze związku stał nieruchomo przy zlewozmywaku i patrzył na nią.

- Kochałam go - powiedziała, gdy znowu mogła wydobyć z siebie głos.

Wstała i oderwała papierowy ręcznik z rolki. Wydmuchała nos. Nagle stwierdziła, że traci poczucie czasu. Zastanawiała się, czy czas może się zatrzymać i pochłoniąć ją - na dzień, tydzień, miesiąc, a może na zawsze.

- Wiem - odparł Robert.

- Jesteś żonaty? - zapytała, siadając na krześle.

Wsadził ręce do kieszeni spodni i potrząsnął znajdującymi się tam monetami. Miał na sobie szare spodnie od garnituru. Jack prawie nigdy nie nosił garnituru. Jak wielu mężczyzn, którzy pracują w mundurze, nie ubierał się zbyt dobrze.

- Nie - zaprzeczył. - Jestem rozwiedziony.

- Macie dzieci?

- Dwóch chłopców. Dziewięć i sześć lat.

- Mieszkają z tobą?

- Z moją żoną, w Alexandrii. Była żoną.

- Często ich widzisz?

- Staram się.

- Czemu wzięliście rozwód?

- Przestałem pić - powiedział.

Wyznał to rzeczowo, bez dodatkowych wyjaśnień. Nie była pewna, czy zrozumiała. Jeszcze raz wydmuchała nos.

- Muszę zadzwonić do szkoły - powiedziała. - Jestem nauczycielką.

- Mogą poczekać. I tak nikogo tam nie ma. Wszyscy jeszcze śpią. Spojrzał na zegarek.

- Opowiedz mi o swojej pracy - poprosiła.

- Nie ma o czym opowiadać. Najczęściej są to kontakty z mediami.

- Iloma takimi sprawami już się zajmowałaś? - zapytała.

- Sprawami?

- Katastrofami - wyjaśniła. - Katastrofami. Milczał przez chwilę.

- Do tej pory pracowałem przy pięciu - powiedział w końcu. - Pięciu dużych.

- Pięciu?

- I czterech mniejszych.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła.

Wyrzwał przez okno. Minęło trzydzieści sekund. Może minuta. Znowu miała wrażenie, że Hart podejmuje jakieś decyzje, ocenia sytuację.

- Raz przyjechałem do domu wdowy - zaczął - i zastałem ją w łóżku z innym facetem.

- Gdzie to było?

- W Westport. Connecticut.

- I co się stało?

- Kobieta zeszła na dół w szlafroku, dowiedziała się ode mnie o wypadku, a potem ten facet ubrał się i też zszedł na dół. Był jej sąsiadem. Staliśmy obaj w kuchni i patrzyliśmy na jej rozpacz. To było okropne.

- Znałeś go? - zapytała Kathryn. - Mojego męża?
- Nie - przyznał. - Przykro mi.
- Był starszy od ciebie.
- Wiem.
- Co jeszcze ci o nim powiedzieli?
- Jedenaście lat w Vision. Przedtem Santa Fe, pięć lat. Jeszcze wcześniej Teterboro, dwa lata. Dwa lata w Wietnamie, DC-3, myśliwce. Urodzony w Bostonie. College Świętego Krzyża. Jedno dziecko, córka, piętnaście lat. Zona. Zastanowił się chwilę.
- Wysoki - dodał. - Metr dziewięćdziesiąt. Pokiwała głową.
- Dobra przeszłość. W zasadzie doskonała. Potarł grzbietem jednej dłoni o drugą.
- Powiedzieli ci coś o mnie?
- Tylko tyle, że jesteś piętnaście lat młodsza od swojego męża. I że będziesz tu z córką.

Obserwowała swoje stopy, małe i białe, jakby odpłynęła z nich cała krew. Nie były idealnie czyste.

- Ile osób było na pokładzie? - zapytała.
- Sto cztery.
- Nie mieli kompletu - stwierdziła.
- Nie mieli.
- Ktoś przeżył?
- Trwają poszukiwania...

Przed jej oczami pojawiły się nowe obrazy. Moment, gdy w kokpicie już wiedzą. Co wiedzą? Ręce Jacka na urządzeniach kontrolnych. Ciało szybujące w powietrzu. Nie. To już nie ciało. Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Chcę jej to powiedzieć sama - oznajmiła. Pokiwał szybko głową, jakby to było oczywiste.

- Nie zrozumiałeś - dodała. - Musisz wyjść z domu. Nie chcę, aby ktokolwiek to słyszał lub widział.

- Będę czekał w samochodzie - odparł.

Zdjęła marynarkę, którą jej dał. Zadzwoił telefon, ale żadne z nich się nie ruszyło, aby go odebrać. Z daleka usłyszeli, jak włączyła się automatyczna sekretarka.

Zaskoczył ją głos Jacka, głęboki i sympatyczny, z cieniem bostońskiego akcentu wypowiadał znajome jej słowa. Skryła twarz w dłoniach i czekała, aż nagranie się skończy.

Gdy odsłoniła oczy, zobaczyła, że Robert patrzy na nią. Szybko umknął spojrzeniem w bok.

- Chodzi o to, abym nie rozmawiała z prasą? - spytała. - Dlatego tu jesteś.

Jakiś samochód wjechał na podjazd i pod kołami zachrząścił żwir. Człowiek ze związku wyjrzał przez okno, a następnie wziął od niej marynarkę i zarzucił na ramiona.

- Wszystko po to, abym nie powiedziała czegoś, co pozwoliłoby im sądzić, że to błąd pilota - kontynuowała. - Nie chcecie, aby pomyśleli, że pilot popełnił błąd.

Zdjął słuchawkę z widełek i położył na blacie.

Ostatnio ona i Jack prawie w ogóle nie kochali się w kuchni. Powiedzieli sobie, że Mattie jest już duża i w nocy może wejść do kuchni po coś do jedzenia. Najczęściej wieczorami, gdy Mattie poszła do swojego pokoju, aby słuchać płyt lub rozmawiać przez telefon, siedzieli przy stole, czytając gazety, zbyt zmęczeni, żeby odstawić talerze lub nawet rozmawiać.

- Powiem jej teraz - oświadczyła. Zawahał się.

- Wiesz, że nie zostaniemy tu zbyt długo - wtrącił.

- To ludzie z linii lotniczych, prawda? - upewniła się, wyglądając przez kuchenne okno.

Na podjeździe dostrzegła zarysy dwóch osób, wysiadających z samochodu. Podeszła do schodów.

Spojrzała w górę na pnące się stromo stopnie. Było ich pięćset, co najmniej pięćset. Robiło się ich coraz więcej. Zrozumiała, że coś się zaczęło. Nie była pewna, czy starczy jej sił, aby wejść na samą górę.

Spojrzała na człowieka ze związku, który szedł otworzyć drzwi wejściowe.

- Mam - powiedziała i wtedy się odwrócił. - One zazwyczaj mówią „mamo”.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Promyk słońca, odbity od szyby przejeżdżającego ulicą samochodu, przesuwa się po tylnej ścianie sklepu jak bardzo powolny stroboskop. W sklepie jest zaduch, upał zatyka dech, a w smugach światła widać pyłki kurzu, wiszące w ciężkim powietrzu. Trzyma w ręku szmatkę, stojąc pośrodku labiryntu stołów z mahoniem i orzecha, lamp i starych płócien, książek, które pachną pleśnią. Patrzy na wchodzącego do sklepu mężczyznę. Wygląda na urzędnika, który ma do załatwienia jakąś sprawę, być może się zgubił i chce zapytać o drogę. Ubrany jest w białą koszulę z krótkimi rękawami, które zwisają z ramion jak wiotkie białe flagi. Ciemnogrnatowe spodnie. Na nogach buty, jakie noszą starzy mężczyźni, czarne, ciężkie i wielkie.

- Zamknięte - mówi do niego.

Mężczyzna ogląda się szybko za siebie i widzi na wewnętrznej stronie drzwi tabliczkę „Otwarte”. Zakłopotany drapie się po karku.

- Przepraszam - mówi i odwraca się, aby wyjść.

Zawsze była pod wrażeniem, z jaką szybkością umysł podejmuje decyzje - sekunda, najwyżej dwie, jeszcze zanim ktokolwiek zdąży się poruszyć lub wypowiedzieć słowo. Ma niewiele ponad trzydziestkę, zgaduje. Właściwie nie jest krępy, ale potężnie zbudowany. Barczysty mężczyzna - od razu widać, że nie ma w nim nic anemicznego. Uderza ją zarys jego szczęki, prostokątnej i gładkiej, a także kształt nieco komicznie wyglądających uszu, których koniuszki wyraźnie odstają. Zauważa też, że coś jest nie tak z jego oczami.

- Robię inwentaryzację, ale proszę powiedzieć, czego pan szuka - mówi. Mężczyzna staje w smudze światła, które pada przez okrągłe okno nad drzwiami. Teraz widzi wyraźnie jego twarz.

W kącikach oczu ma drobne zmarszczki, zęby nie są idealne. Włosy krótko obcięte, jak u wojskowego, prawie czarne, zapewne kręciłyby się, gdyby były odrobinę dłuższe. Jest na nich koliste wgniecenie, jakby często nosił na głowie czapkę.

Wkłada ręce do kieszeni spodni. Pyta, czy ma stare szachownice.

- Tak - odpowiada.

Zaczyna iść przez labirynt rzeczy ku przeciwległej ścianie, przepaszając jednocześnie za bałagan. Czuje jego obecność tuż za plecami, czuje, że jej chód i postawa stały się nagle nienaturalne, nazbyt sztywne. Ma na sobie dzinsy, obcisłą, czerwoną bluzkę bez rękawów, z dekoltem w serek, skórzane sandały. Rozpuszczone włosy spływają po karku. Ma wrażenie, że upał i wilgoć, połączone

z kurzem, który unosi się w powietrzu, utworzyły na jej skórze powłokę brudu. Chwyta kątem oka swoje odbicie w starym lustrze na ścianie i widzi wilgotne kosmyki włosów, okalające błyszczącą od potu twarz. Widzi też ramiączko stanika, skrawek bieli wystający spod czerwieni, a także niebieską plamę na bluzce, która zafarbowała się podczas prania.

Szachownica stoi oparta o ścianę, razem z kilkoma starymi obrazami. Mężczyzna wysuwa się przed nią i kuca, aby lepiej widzieć.

Obserwuje jego silne uda, szerokie plecy i miejsce, gdzie wrzyna się pasek od spodni. Zauważa białe naramienniki.

- Co to jest? - pyta, zainteresowany obrazem stojącym obok szachownicy.

Na płótnie namalowany jest hotel na tle impresjonistycznego krajobrazu Isles of Shoals. Hotel jest stary, dziewiętnastowieczny, z głębokimi werandami. Przed nim rozciąga się długi, równo przystrzyżony trawnik. Po bokach widać skaliste nadmorskie wybrzeże.

Mężczyzna prostuje się i wskazuje obraz, na który przedtem nie zwracała najmniejszej uwagi.

- Całkiem niezły - mówi. - Kto go namalował? Ona pochyla głowę i odczytuje podpis z tyłu płótna.

- Claude Legny - wyjaśnia. - Tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt. Jest tu informacja, że pochodzi z wyprzedaży w posiadłości w Portsmouth.

- Przypomina prace Childe'a Hassama - zauważa mężczyzna. Ona nie odpowiada, ponieważ nie wie, kim jest Childe Hassam. Mężczyzna przeciąga palcami po drewnianej ramie, a jej się wydaje, że ktoś wodzi palcami w dół i w górę jej pleców.

- Ile kosztuje? - pyta.

- Zaraz sprawdzę.

Idą razem do lady, na której trzyma wykaz. Znajduje cenę, która wydaje jej się oszałamiająco wysoka. Czuje się zakłopotana, podając mu taką kwotę, ale sklep nie należy do niej i z uwagi na swą babkę powinna starać się jak najwięcej sprzedać.

Wymienia cenę, którą on przyjmuje bez mrugnięcia oka.

- Wezmę go - podejmuje decyzję.

Wręcza jej gotówkę i dostaje rachunek, który wsuwa z roztargnieniem do kieszeni koszuli. Ona zastanawia się, co ten mężczyzna robi w wojsku i dlaczego w środowisku popołudnie nie jest w bazie.

- Czym się pan zajmuje? - pyta, patrząc na naramienniki.

- Przewożę ładunki. Mam teraz przerwę w podróży. Pożyczyłem samochód od kolegi z lotniska i wybrałem się na przejażdżkę.

- A więc pan lata - upewnia się.

- Jestem kimś w rodzaju kierowcy ciężarówki, tylko kursuję samolotem - mówi, przyglądając się jej z uwagą.

- A co pan wozi tymi samolotami?

- Unieważnione czeki.

- Unieważnione czeki?

Śmieje się. Próbuje sobie wyobrazić samolot wypełniony unieważnionymi czekami.

- Miły sklep - mówi mężczyzna, rozglądając się wokół.

- Należy do mojej babki. Krzyżuje ręce na piersiach.

- Ma pan oczy w różnych kolorach - powiada.

- To dziedziczne. Po ojcu. Milczy.

- Ale i jedno, i drugie jest prawdziwe, jeśli to panią interesuje.

- W zasadzie tak.

- Pani ma piękne włosy - mówi.

- To dziedziczne - odpowiada ona.

Kiwa głową i z uśmiechem przyjmuje jej ripostę.

- Jaki to kolor? - pyta.

- Rudy.

- Nie, wydaje mi się...

- To zależy od światła.

- Ile ma pani lat?

- Osiemnaście.

Wydaje się zdziwiony. Wręcz zaskoczony.

- Czemu? - pyta. - A pan?

- Trzydzieści trzy. Myślałem...

- Co pan myślał?

- Że pani jest starsza, sam nie wiem.

Czują to, różnicę wieku, jaka jest między nimi, piętnaście lat.

- Proszę posłuchać - mówi ona.

- To raczej pani niech posłucha. Kładzie dłonie na ladzie.

- Urodziłem się w Bostonie. Wychowywałem się w Chelsea, to dzielnica Bostonu, lepiej, żeby pani jej nie poznała. Chodziłem tam do katolickiej szkoły, a potem do college'u Świętego Krzyża. Moja matka zmarła, gdy miałem dziewięć lat, a ojciec dostał ataku serca, gdy byłem w college'u. Wylosowałem niski numer,

wzięli mnie do wojska i w Wietnamie nauczyłem się latać. Teraz nie mam żadnej dziewczyny, nigdy nie byłem żonaty. Mam pokój z kuchnią w Teterboro. Mieszkanie jest dla mnie za małe i rzadko kiedy...

- Niech pan przestanie - powiedziała.

- Chcę to mieć za sobą.

Wtedy dociera do niej, absolutnie wyraźnie, chociaż przez te osiemnaście lat rzadko miała okazję zrozumieć tego rodzaju sprawy, że oto trzyma teraz wszystko w swoim ręku, że może zacisnąć palce, mocno chwycić i nigdy nie pozwolić, aby to się skończyło, albo otworzyć dłoń i pozwolić temu ulecieć. Po prostu pozwolić ulecieć.

- Wiem, gdzie jest Chelsea - wtrąca.

Mijają sekundy, dziesięć albo dwadzieścia. Stoją w dusznym, ciemnym sklepie, oboje milczą. Ona wie, że mężczyzna chce jej dotknąć. Nawet przez ladę czuje gorączkę jego ciała. Powoli i miarowo wdycha powietrze, żeby nie pokazać mu, z jakim wysiłkiem jej to przychodzi. Ogarnia ją przemożne pragnienie, by zamknąć oczy.

- Duszno tu - mówi on.

- Na zewnątrz też jest gorąco - zauważa ona.

- To nietypowe dla tej pory roku.

- Jest dopiero początek czerwca.

- Ma pani ochotę się przejechać - pyta. - Przewietrzyć?

- Dokąd?

- Wszystko jedno. Po prostu przejechać się.

Pozwala sobie spojrzeć na niego. On uśmiecha się powoli i ten uśmiech ją zaskakuje.

Jadą na plażę i kąpią się w ubraniach. Woda jest zimna, ale powietrze gorące. Ten kontrast sprawia przyjemność. Mundur Jacka nie nadaje się do noszenia. Później będzie musiał pożyczyć nowy. Gdy ona wychodzi z wody, Jack czeka z rękami w kieszeniach i kocem pod pachą. Jego ubranie jest mokre, zwisa z niego, a rękawy koszuli nabrały przezroczystej, cielesnej barwy.

Leżą na kocu, rozłożonym na piasku. Ona drży pod jego mokrą koszulą. On zanurza palce lewej ręki w jej włosach, całuje ją i przesuwą prawą dłoń pod jej bluzką, wzdłuż płaskiego brzucha. Ona czuje się odprężona, rozluźniona i otwarta, jakby ktoś pociągnął za nitkę i rozplatał wszystkie szwy.

Kładzie dłoń na jego dłoni. On jest dziwnie gorący, szorstki, zapiaszczony. Ona jest szczęśliwa. Ogarnia ją czyste i najprawdziwsze szczęście. To dopiero początek, wie o tym.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Jeszeze zanim Kathryn dotarta na szczyt schodów, usłyszała, że Mattie wchodzi do łazienki. Jej córka miała piękne, naturalnie kręcone włosy, ale myła je co rano i uporczywie prostowała na szczotce. Kathryn zawsze się wydawało, że Mattie próbuje ujarzmić swoje włosy, tak jakby zmagająca się z jakąś częścią siebie, która ujawniła się nie tak dawno. Kathryn czekała, aż Mattie wyrośnie z tego. i miała nadzieję, że pewnego dnia jej córka obudzi się i pozwoli swoim włosom pozostać takimi, jakie są. I wtedy Kathryn będzie wiedziała, że z Mattie jest wszystko w porządku.

Mattie obudziły prawdopodobnie samochody na podjeździe, pomyślała Kathryn. Być może słyszała również głosy w kuchni. Jej córka była przyzwyczajona do wstawania, gdy jeszcze się nie rozwidniło, zwłaszcza w zimie.

Wiedziała, że musi wywołać Mattie z łazienki. Uważała, że to nie jest bezpieczne miejsce na przekazanie jej takiej wiadomości.

Stała pod drzwiami. Mattie odkręciła prysznic. Kathryn słyszała, że się rozbiera. Zapukała.

- Mattie! - zawołała.
- Słucham?
- Muszę z tobą porozmawiać.
- Mamo...

Mattie powiedziała to znajomym, śpiewnym tonem, w którym brzmiało rozdrażnienie.

- Nie mogę! - zawołała. - Biorę prysznic.
- Mattie, to ważne. - Co?

Drzwi łazienki otworzyły się gwałtownie. Stała w nich Mattie, owinięta w zielony ręcznik.

Moja kochana, piękna córka, pomyślała Kathryn. Jak mogę jej to zrobić?

Ręce Kathryn zaczęły drżeć. Skrzyżowała je na piersiach i wsunęła dłonie pod pachy.

- Mattie, włóż szlafrok - powiedziała, czując, że zaraz się rozpłaczę. Nigdy nie płakała w obecności Mattie. - Muszę z tobą porozmawiać. To ważne.

Mattie zdjęła szlafrok z wieszaka i posłusznie go włożyła.

- O co chodzi, mamo?

Umysł dziecka nie jest w stanie tego przyjąć, uznała później Kathryn. Ciało dziecka buntuje się przeciwko temu.

Mattie upadła na podłogę, jakby dosięgła ją kula. Wykonywała szalone ruchy rękami nad głową - jak gdyby oganiała się od roju pszczoł, pomyślała Kathryn. Usiłowała przytrzymać jej ręce, ale Mattie odepchnęła matkę i uciekła. Kathryn złapała ją dopiero na trawniku przed domem.

- Mattie, Mattie, Mattie - wyszeptała, gdy dobiegła do niej. I cały czas to samo.

- Mattie, Mattie, Mattie.

Położyła dłonie na karku Mattie i przyciągnęła jej twarz do swojej tak mocno, jak gdyby chciała powiedzieć: Musisz mnie posłuchać, nie masz innego wyjścia.

- Zaopiekuję się tobą - rzekła. Jeszcze raz.

- Posłuchaj mnie, Mattie. Zaopiekuję się tobą.

Wzięła córkę w ramiona. Trawnik był pokryty szronem. Widząc zapłakaną Mattie, pomyślała, że pęknie jej serce. Ale tak było lepiej, to pewne. Tak było lepiej.

Kathryn pomogła Mattie wejść do domu i ułożyła ją na kanapie. Owinęła córkę kocami i rozcierała jej zziębnięte ręce i nogi, czekając, aż przestaną drżeć. Robert przyniósł dziewczynie trochę wody, ale nie mogła nic przełknąć. Przyjechała Julia, babcia Kathryn, która ją wychowywała. Kathryn ledwo zdawała sobie sprawę, że w domu są jeszcze inni ludzie, jakiś mężczyzna i kobieta w kostiumie, którzy stoją w kuchni, czekają.

Słyszała, jak Robert rozmawia przez telefon, a następnie szeptem informuje o czymś ludzi z linii lotniczych. Nie wiedziała, że telewizor jest włączony. Mattie nagle usiadła i spojrzała na nią.

- Czy oni mówili coś o bombie? - zapytała.

I wtedy Kathryn usłyszała komunikat, który dotarł do niej jakby z pewnym opóźnieniem. Czasami człowiek zdaje sobie sprawę, że podświadomie słyszał wszystkie słowa i znajdują się one w jego umyśle, czekając tylko, aż je wezwie.

Później Kathryn myślała o tych komunikatach jak o pociskach. Słowa-pociski, które wbijają się w mózg i eksplodują, zacierając wspomnienia.

- Robert! - zawołała.

Przyszedł do pokoju i stanął przy niej.

- Jeszcze nie ma pewności - powiedział.

- Przypuszczają, że podłożono bombę?

- To tylko teoria. Daj jej to.

- Co to jest?

- Valium.

- Przywiozłeś valium? - zapytała. - Miałeś je ze sobą?



Julia poruszała się po domu jak pielęgniarka na ostrym dyżurze: lekceważąc śmierć i na pozór nie dając się zastraszyć. Postawa matrony i trwała ondulacja na głowie były jedynymi oznakami pogodzenia się z własnym wiekiem. W kilka minut przekonała Mattie, aby wstała z kanapy i poszła na górę. Gdy Julia upewniła się, że Mattie może zostać sama w pokoju, a nawet zechce włożyć dzinsy, wróciła na dół, aby zająć się wnuczką. Weszła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę. Solidnie wzmocniła ją przywiezioną brandy. Poprosiła kobietę z linii lotniczych, aby skłoniła Kathryn do wypicia co najmniej jednego kubka. Następnie Julia wróciła do Mattie i zmusiła ją do umycia twarzy. Valium zaczęło już działać i chociaż Mattie zdarzały się jeszcze nagłe napady rozpacz i buntu, zaczęła się uspokajać. Kathryn wiedziała, że smutek wyczerpuje fizycznie.

Julia przekonała Mattie, aby położyła się do łóżka, a sama znowu zeszła na dół. Usiadła na kanapie obok Kathryn, zaglądając do kubka i sprawdzając, ile zostało w nim herbaty, a potem usiłowała ją namówić, aby wypiała jeszcze trochę. Zapytała wnuczkę, czy ma w domu jakieś środki uspokajające. Robert zaferował valium.

- Kim pan jest? - zapytała Julia, a kiedy się przedstawił, poprosiła o tabletkę.
- Weź to - powiedziała do Kathryn.
- Nie mogę. Piłam brandy.
- I co z tego? Weź.

Julia nie zapytała Kathryn, jak się czuje lub czy wszystko z nią w porządku. Kathryn wiedziała, że według filozofii wyznawanej przez Julię w żadnych okolicznościach nie powinno się tracić panowania nad sobą. W tej chwili nic innego się nie liczy. Łzy, szok, współczucie, na to wszystko nadejdzie pora później.

- To okropne - powiedziała Julia. - Kathryn, wiem, że to okropne. Spójrz na mnie. Ale jedyna droga na drugą stronę prowadzi właśnie tędy. Wiesz o tym, prawda? Kiwnij głową.

- Pani Lyons?

Kathryn odwróciła się od okna. Rita, niewysoka blondynka z linii lotniczych, wkładała płaszcz.

- Wychodzę do pensjonatu.

Rita malowała się szminką w kolorze dębu. Chociaż spędziła w ich domu cały dzień, od czwartej rano, jej twarz była zaskakująco świeża, a granatowy kostium wyglądał jak dopiero wyjęty z szafy. Towarzyszący jej mężczyzna, Jim jakiś tam, także z biura linii lotniczych, już dawno wyszedł. Kathryn nie pamiętała, kiedy dokładnie to się stało.

- Robert Hart jest tu jeszcze - poinformowała ją Rita. - W gabinecie. Kathryn z pewnym podziwem przyglądała się doskonale ułożonym włosom Rity. Ta kobieta do złudzenia przypominała jej pewną spikerkę z wiadomości w Portland. Na początku przeszkadzali jej obcy ludzie, kręcący się po domu, ale szybko uprzytomniła sobie, że samej byłoby jej jeszcze gorzej.

- Zatrzymaliście się w pensjonacie Tides? - zapytała Kathryn.

- Tak. Zarezerwowaliśmy kilka pokoi.

Kathryn pokiwała głową. Domyślała się, że pensjonat Tides Inn, który poza sezonem rzadko gościł więcej niż dwie pary podczas weekendu, teraz jest pełen gości, prasy i ludzi z linii lotniczych.

- Dobrze się pani czuje? - zapytała Rita.

- Tak.

- Czy mogę coś jeszcze dla pani zrobić?

- Nie - zapewniła ją Kathryn. - Wszystko w porządku. Obserwując Ritę, która wychodziła z kuchni, Kathryn pomyślała, że to kompletnie absurdalne stwierdzenie. Śmiesznie puste. Prawdopodobnie już nigdy nic nie będzie w porządku.

Dochodził kwadrans po czwartej po południu, ale na dworze było niemal ciemno. Pod koniec grudnia cienie gęstnieją już po lunchu i przez całe popołudnie światło jest mdłe i rozproszone. Kolory stają się wtedy pastelowe i miękkie, zupełnie inne niż w pozostałych porach roku, i nagle wszystko wydaje się dziwnie nieznanym. Noc opada na ludzi jak powolna ślepotą, wysysając barwy z drzew, nieba, kamieni, zmrożonej trawy i oszronionych hortensji. Przez okno nie widać nic oprócz własnego odbicia.

Kathryn skrzyżowała ręce na piersiach i pochyliła się w stronę zlewozmywaka, wyglądając przez okno. To był długi dzień, długi, koszmarny dzień, tak długi i tak koszmarny, że dawno przestał przypominać jakąkolwiek znaną jej rzeczywistość. Ogarnęło ją głębokie przekonanie, że już nigdy nie zaśnie, że tego ranka przebudziła się ze stanu, do którego nie ma powrotu. Patrzyła, jak Rita idzie do swojego samochodu, zapala silnik i wjeżdża na podjazd. W domu zostało ich teraz czworo: śpiąca w swoim pokoju Mattie, Julia i Kathryn, doglądające jej na przemian, i Robert, który, jak powiedziała Rita, był w gabinecie Jacka. Ciekawe, co tam robi? - zastanawiała się Kathryn.

Przez cały dzień na drodze pod domem i za drewnianą bramą stali ludzie, którzy starali się zajrzeć do środka, oraz inni, usiłujący ich powstrzymać. Ale teraz, domyślała się Kathryn, dziennikarze i operatorzy kamer, producenci telewizyjni i specjaliści od makijażu poszli pewnie do pensjonatu Tides Inn, gdzie mogli coś

wypić, pogawędzić, przedyskutować ostatnie plotki, zjeść kolację i udać się na spoczynek. Czyż dla nich nie jest to po prostu koniec zwykłego dnia pracy?

Kathryn usłyszała ciężkie kroki na schodach, męskie kroki, i przez sekundę pomyślała, że to Jack schodzi do kuchni. Ale natychmiast uświadomiła sobie, że to nie może być Jack, że już nigdy nie usłyszy jego kroków.

- Kathryn.

Nie miał krawatu, rękawy koszuli były podwinięte, a guzik pod szyją odpięty. Jeszcze wcześniej zauważyła, że Robert Hurt ma nerwowy zwyczaj trzymania pióra między palcami i obracania nim w tył i w przód jak batutą.

- Chyba powinnaś o tym wiedzieć - rzekł Robert. - Mówią o technicznej usterce.

- Kto mówi o technicznej usterce?

- Londyn.

- Czy oni wiedzą?

- Nie. W tej chwili to zwykła bzdura. Znaleźli fragment kadłuba samolotu i silnik.

- Och - westchnęła.

Przesunęła palcami po włosach. To był jej nerwowy zwyczaj. Fragment kadłuba, pomyślała. Powtórzyła zdanie w myślach. Usiłowała wyobrazić sobie fragment kadłuba samolotu, wyobrazić sobie, co to może być.

- Który fragment kadłuba? - zapytała.

- Kabinę. Około sześciu metrów długości.

- Czy jakieś...?

- Nie. Nic nie jadłaś cały dzień, prawda? - zapytał.

- Nie szkodzi.

- To niedobrze.

Spojrzała na stół, na którym stały talerze zjedzeniem: zapiekanki, naleśniki, gotowe dania w plastikowych pojemnikach, ciastka, sałatki. Spora rodzina miałaby co jeść przez kilka dni.

- Ludzie tak właśnie postępują - powiedziała. - Jeśli nie wiedzą, co mogą zrobić, przynoszą jedzenie.

Przez cały dzień policjanci z okolicy wchodzili do jej domu, przynosząc różne rzeczy. Kathryn rozumiała takie zachowanie, spotykała się z tym niejednokrotnie, gdy w czyjejs rodzinie zdarzała się śmierć. Dziwiło ją jedynie to, że ciało nie przestaje funkcjonować, wytrzymuje szok, rozpacz, nudności, pustkę wewnętrzną i wciąż domaga się jedzenia, chce być karmione. To wydawało się niestosowne, jak pragnienie seksu.

- Powinniśmy odesłać jedzenie pod bramę - powiedziała Kathryn. - Dla policji i prasy. Tutaj się zmarnuje.

- Nigdy nie częstuj niczym prasy - szybko zaproponował Robert. - Oni są jak psy, czekają na łaskawe spojrzenie. Marzą tylko o tym, aby dostać się do domu.

Kathryn uśmiechnęła się, co wprowadziło ją w zdumienie. Potrafiła się uśmiechnąć. Bolała ją twarz, wysuszona i słona od łez.

- Będę się zbierał - oświadczył, odwijając rękawy koszuli. - Z pewnością chcesz zostać sama z rodziną.

Kathryn wcale nie była pewna, czy chce zostać sama.

- Wracasz do Waszyngtonu?

- Nie, zatrzymam się w pensjonacie. Wpadnę jutro, przed wyjazdem. Sięgnął po marynarkę, wiszącą na oparciu krzesła, i zarzucił ją na ramiona. Z kieszeni wyjął krawat.

- Aha. No tak - bąknęła.

Wsunął krawat pod kołnierzyk koszuli.

- Jestem gotowy - dodał, kończąc wiązać węzeł.

Zadzwoił telefon. Jego dźwięk wydawał się zbyt głośny, zbyt natrętny, obcy. Przez chwilę patrzyła bezradnie na aparat.

- Robercie, ja nie mogę - powiedziała. Podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

- Robert Hart, słucham.

- Bez komentarzy - odparł.

- Bez komentarzy.

Gdy odkładał słuchawkę, Kathryn zaczęła coś mówić.

- Idź na górę i weź prysznic - poradził, przerywając jej. Zdjął marynarkę. - Coś ci podgrzeję.

- Dobrze - zgodziła się z ulgą.

W korytarzu na górze natychmiast straciła orientację. Wydawał się jej bardzo długi, za wiele było drzwi i pomieszczeń. Wspomnienia mijającego dnia spowiły mrokiem pokoje i przykryły grubą warstwą te wcześniejsze. Przeszła przez korytarz i zajrzała do sypialni Mattie. Jej córka i Julia spały na łóżku Mattie. Julia leciutko chrapała. Leżały odwrócone do siebie plecami, przykryte kołdrą. Kathryn patrzyła przez chwilę, jak pościel unosi się i opada nad śpiącymi postaciami, zauważyła też w lewym uchu Mattie błysk jej nowego kolczyka.

Julia poruszyła się.

- Cześć - wyszeptała Kathryn cichutko, aby nie zbudzić Mattie. - Jak ona się czuje?

- Mam nadzieję, że prześpi całą noc - powiedziała Julia, przecierając oczy. - Czy Robert jest tu jeszcze?

- Tak.

- Zamierza u nas zostać?

- Nie wiem. Raczej nie. Myślę, że spędzi noc z innymi w pensjonacie. Kathryn miała ochotę położyć się do łóżka razem z córką i babcią.

W ciągu dnia często czuła, że opuszczają ją siły i ogarnia przemożne pragnienie, aby usiąść. Tutaj panuje wyraźna hierarchia, pomyślała. W obecności Kathryn Mattie mogła czuć się dzieckiem. Natomiast w obecności Julii Kathryn sama oczekiwała pocieszenia i czułości.

W holu na parterze znajdowała się fotografia Julii, nostalgiczne zdjęcie z innej epoki. Julia była ubrana w wąską, ciemną spódnicę, sięgającą nieco za kolana, białą bluzkę i krótki sweterek zapinany na guziki. Na jej szyi błyszczał sznur pereł. Była szczupłą kobietą o wąskiej talii, a jej czarne, błyszczące włosy rozdzielał przedziałek. Miała wyraziste rysy twarzy i bez wątpienia zaliczała się do przystojnych kobiet. Na fotografii Julia siedziała na kanapie i jedną ręką sięgała po coś, co znajdowało się poza kadrem. Paliła papierosa w niezwykle uwodzicielski sposób: trzymała go jakby od niechcienia w szczupłych palcach, a dym wił się cienką smużką wokół jej szyi i podbródka. Kobieta na zdjęciu mogła mieć około dwudziestu lat.

Teraz Julia, dobiegająca osiemdziesiątki, nosiła obszerne dżinsy, zawsze odrobinę za krótkie, i luźne bluzy, kryjące jej wydatny brzuch. Patrząc na tę kobietę o siwych, przerzedzonych włosach, opiekującą się Mattie, nie sposób było dostrzec najmniejszego podobieństwa do tamtej dziewczyny ze zdjęcia, o błyszczących włosach i szczupłej talii. Być może zachowało się coś w oczach, ale czas zniszczył także ich urodę. Teraz oczy Julii były wodniste i straciły prawie cały swój blask. Choć Kathryn często obserwowała to zjawisko, nie była w stanie go pojąć: nic nie ostawało się takie, jakie było kiedyś, ani dom, który się rozpadał, ani twarz kobiety, niegdyś piękna, ani dzieciństwo, ani małżeństwo, ani miłość.

- Nie potrafię tego zrozumieć - powiedziała Kathryn. - Czuję się tak, jakbym tylko na jakiś czas straciła Jacka i musiała go odnaleźć.

- Nie musisz go szukać - oznajmiła Julia. - Jego już nie ma.

- Wiem, wiem.

- Nie cierpiał.

- Nie wiadomo.

- Pan Hart jest tego niemal pewien.

- Nikt jeszcze nic nie wie. To wszystko plotki i spekulacje.



- Powinnaś stąd wyjechać, Kathryn - zasugerowała Julia. - Tu będzie teraz istny dom wariatów. Nie chcę cię straszyć, ale będą musieli z powrotem sprowadzić Charliego i Burta, aby nie wpuszczali nikogo za bramę.

Kathryn poczuła z tyłu powiew zimnego powietrza, które wpadło przez otwarte okno, i wciągnęła je łapczywie w płuca, czując smak soli. Nie wychodziła z domu przez cały dzień, prócz krótkiego pościgu za Mattie.

- Nie wiem, jak długo to potrwa - powiedziała Julia.

- Robert twierdzi, że z pewnością jakiś czas.

Kathryn oddychała głęboko. Czowała się tak, jakby wdychała amoniak, który oczyszczał jej głowę i wyostrzał zmysły.

- Kathryn, nikt ci w tym nie może pomóc. Musisz sama przez to przejść. Wiesz o tym, prawda?

Kathryn na chwilę zamknęła oczy.

- Kathryn?

- Kochałam go - wyznała.

- Wiem o tym. Wiem, że go kochałaś. Ja też. Wszyscy go kochaliśmy.

- Dlaczego to się stało?

- Nie pytaj dlaczego - odrzekła Julia. - Nie ma na to odpowiedzi. Zresztą to nie jest ważne. Nic ci nie pomoże. Tak się stało i już się nie odstanie.

- Ja...

- Jesteś wyczerpana. Połóż się spać.

- Nic mi nie jest.

- Coś ci powiem - zaczęła Julia. - Gdy twoi rodzice się utopili, myślałam, że tego nie przeżyję. Wydawało mi się, że po prostu rozpadnę się na kawałki. Czułam straszny ból. Straszny. Strata syna to coś, czego nie można sobie wyobrazić, dopóki samemu się tego nie przeżyje. A ja winiłam za to twoją matkę, Kathryn. Nie będę udawać, tak było. Ona i twój ojciec stanowili niebezpieczną parę. Gdy pili, byli okropnie nieostrożni i niebezpieczni. Ale zostałam ty, oszołomiona utratą rodziców, którymi się właściwie nie nacieszyłaś. I to mnie uratowało, Kathryn. Uratowało mnie ratowanie ciebie. To, że musiałam się tobą zająć. Przestałam pytać, dlaczego Bobby zginął. Musiałam przestać zadawać sobie to pytanie. Nie było żadnego dlaczego. I teraz też nie ma.

Kathryn położyła głowę na materacu. Julia zaczęła gładzić ją po włosach.

- Kochałaś go. Wiem, że go kochałaś - powiedziała.

Kathryn weszła do łazienki. Odkręciła prysznic i puściła tak gorącą wodę, jaką tylko mogła wytrzymać. Stała bez ruchu, gdy spływała po jej ciele. Miała opuchnięte od płaczu oczy i ciężką głowę. Piekła ją skóra między nosem a górną



wargą, tak często wycierała tego dnia nos. Od rana bolała ją głowa i połknęła już niezliczoną ilość tabletek advilu. Wyobrażała sobie, że jej krew rozrzedziła się i wypływa razem z wodą z prysznica.

Robert powiedział jej wcześniej, że czeka ją jeszcze wiele podobnych dni. Może nie takich okropnych, ale też złych.

Nie wyobrażała sobie, jak przeżyje następny taki dzień.

Nie pamiętała kolejności zdarzeń. Co wydarzyło się najpierw, co potem, a co jeszcze później. Co stało się rano, co po południu, późnym rankiem lub wczesnym popołudniem. Były wiadomości w telewizji, spikerzy, mówiący takie rzeczy, że aż szarpało ją coś w żołądku: Spadł po starcie... Dziecięce ubranka i fotele unoszące się na falach... Tragedia w... Wystarczyło dziewięćdziesiąt sekund i szczątki... Szok i rozpacz po obu stronach... Piętnastoletni T-900... Szczątki porozrzucane... Niezakończona historia lotu 384... Raporty wskazują na... Amerykańsko-brytyjska linia lotnicza... Zbierają się na lotnisku... Federalna Agencja Lotnicza wszczyna dochodzenie... Spekulacje, że ciężki...

A potem Kathryn nawiedziły obrazy, które zapewne nigdy jej nie opuszczą. Wypełniająca cały ekran fotografia z pamiątkowego albumu, zawierającego podobizny absolwentek szkoły średniej; rozległa płaszczyna oceanu, nad którym unosił się helikopter, strącając białe płyty z wierzchołków fal; matka z rozpostartymi ramionami, odpychająca dłońmi powietrze, jakby chciała odegnąć od siebie potok niechcianych słów. Mężczyzna w kompletnym stroju nurka, wyglądający zza burty łodzi; rodziny zebrane na lotnisku. A później, natychmiast po migawce z rodzinami, pojawiły się trzy fotografie, jedna nad drugą, przedstawiające trzech mężczyzn w mundurach i oficjalnych pozach, każda podpisana. Kathryn nigdy przedtem nie widziała tego zdjęcia Jacka i nie miała pojęcia, z jakiej okazji je zrobiono. Z pewnością jednak nie na taką jak ta. Nie na wszelki wypadek. Zastanawiała się jednak, kiedyż może się pojawić w wiadomościach zdjęcie pilota.

Robert uprzedzał ją przez cały dzień, aby nie oglądała telewizji. Ostrzegał ją, że te obrazy zostaną z nią na zawsze. Lepiej ich nie oglądać, nie znać ich, ponieważ będą wracać, w dzień i w nocy.

Tego sobie nie można wyobrazić, powiedział.

Co znaczyło: nie wyobrażaj sobie.

Ale jak mogła tego nie robić? Jak mogła powstrzymać natłok szczegółów, powódź słów i fotografii, rozsadzających jej umysł?

Przez cały dzień niemal bez przerwy dzwonił telefon. Najczęściej odpowiadał Robert lub przekazywał słuchawkę komuś z biura linii lotniczych, ale czasami,

gdy oglądali wiadomości, pozwalał mu dzwonić i wtedy słyszała głosy nagrywające się na automatyczną sekretarkę. Zaintrygowane, zaciekawione głosy dziennikarzy ze stacji nadających wiadomości. Głosy przyjaciół i sąsiadów z miasta, którzy dzwonili, aby powiedzieć, jakie to straszne (Nie mogę uwierzyć, że to Jack... Jeżeli mogę coś dla was zrobić...). Głos starszej kobiety ze związku zawodowego -służbowy, ostry, żądający, aby Robert natychmiast się z nią skontaktował. Kathryn wiedziała, że związek nie chce, aby za przyczynę katastrofy uznano błąd pilota, linie lotnicze też nie chcą, aby był to błąd pilota czy usterka techniczna. Słyszała również, że prawnicy zaczęli już węszyć. Zastanawiała się, czy któryś z nich chciał się z nią skontaktować i czy Robert Hart temu zapobiegł.

Wiedziała, że nurkowie szukają na dnie czarnej skrzynki z zapisem ostatnich słów kapitana. Bała się, że ją znajdą. Nie byłaby w stanie znieść tych nagrań - słuchać głosu Jacka, władczego, kontrolującego sytuację, i potem co? Uważała, że to upiornie nietaktowne nagrywać ostatnie sekundy życia człowieka.

Wyszła spod prysznic, wytarła się i dopiero wtedy zdała sobie sprawę - jak ktoś roztargniony, kto wsiada do samochodu i nagle dociera do niego, że zapomniał kluczyków - iż nie użyła ani mydła, ani szamponu. Ponownie odkręciła wodę i weszła do kabiny. Teraz jej myśli spowijało martwe powietrze, kłaczki waty.

Po raz drugi wyszła spod prysznic, wytarła się i rozejrzała, szukając szlafroka. Koszulka, skarpetki i legginsy, które miała na sobie przez cały dzień, leżały na posadzce, zapomniała jednak o szlafroku. Spojrzała na wieszak na drzwiach.

Wisały tam dżinsy Jacka. Stare, przetarte na kolanach. Pomyślała, że pewno nosił je, gdy był po raz ostatni w domu.

Zdjęła spodnie z wieszaka i położyła je na szafce. Słyszała, jak w kieszeniach brzęczą drobne monety i szeleszczą jakieś papiery. Sięgnęła do tylnej kieszeni i znalazła w niej zwitek kartek, sprasowanych od częstego siadania na nich. Wyjęła znajdujące się wśród nich banknoty, kilka jednodolarówek i dwudziestkę. Był tam również rachunek ze sklepu Ames za przedłużacz, żarówki i puszkę farby. Kwit z pralni: sześć koszul, lekkie krochmalenie, wieszaki. Rachunek ze sklepu Staples za kabel do drukarki i dwanaście długopisów. Rachunek z poczty na dwadzieścia dwa dolary. Domyśliła się, że kupował znaczki. Oprócz tego wizytówka: Barron Todd, Investments. Dwa bilety z loterii. Bilety z loterii? Nie miała pojęcia, że Jack grywał na loterii. Przyjrzała się jednemu z nich. Była tam jakaś notatka ołówkiem: M u A. I kilka cyfr. Mattie u kogo? I co znaczyły te cyfry? Było ich wiele. Kolejny typ na loterię? Rozpostarła zwitek pozostałych papierów i wyjęła dwie

białe kartki w linię. Na jednej było kilka wersów, jakby wiersz zapisany piórem wiecznym, prawdziwym piórem wiecznym. Rozpoznała pismo Jacka.

W wąskim przesmyku na bezlitosnej północy, niekończące się zdrady, nieubłagana, daremna walka.

Ślepa wściekłość ciosów zadawanych w ciemności: walka o przetrwanie głodnych, ślepych komórek w łonie.

Zdumiona oparła się o ścianę. Co to za wiersz i jak go rozumieć? - zastanawiała się. Dlaczego Jack to napisał?

Rozłożyła drugą kartkę w linię. Jack notował na niej rzeczy, o których miał pamiętać. Gdy był w domu, każdego ranka robił taką listę. Przeczytała punkt po punkcie: przedłużacz, zadzwonić w sprawie rynny, kolorowa drukarka Mattie, Bergdorf FedEx szlafrok przywożą dwudziestego.

Bergdorf FedEx. Szlafrok. Przywożą dwudziestego.

Bergdorf Goodman? Dom towarowy w Nowym Jorku?

Usiłowała się skupić i przypomnieć sobie, który to dzień grudnia. Był wciąż siedemnasty, chociaż ciągnął się w nieskończoność. Dwudziestego powinna być jeszcze w szkole, ostatni raz przed świąteczną przerwą. Wtedy Jack byłby w domu. Między kolejnymi wylotami.

Czy miało to jakiś związek z prezentem świątecznym?

Ścisnęła mocno papiery w dłoni. Oparła się o drzwi i wolno osunęła na posadzkę.

Czuła się kompletnie wyczerpana. Z trudem unosiła głowę.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Samochód wypełnia gorące powietrze. Jest tak najedzona po świątecznym obiedzie u Julii, że musi przesunąć nieco siedzenie do tyłu, aby było jej wygodnie. Jack ma na sobie kremowy sweter, który zrobiła dla niego na drutach podczas ich pierwszej, wspólnej zimy. Trochę jej nie wyszedł, ma na plecach drobne mankamenty, ale tylko ona o nich wie. Jack wkłada ten sweter z lojalności do niej na każde święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie, kiedy wyjeżdżają z Santa Fe. Zapuścił trochę włosy, które już się lekko kręczą za uszami. Włożył okulary przeciwsłoneczne, z którymi prawie się nie rozstaje, może z wyjątkiem pochmurnych dni.

- Jesteś w tym dobry - mówi Kathryn.

- W czym?

- W robieniu niespodzianek.

Raz była to niespodziewana podróż do Meksyku. Innym razem, w czasie świąt Bożego Narodzenia, spędzili weekend w Ritzu, podczas gdy ona myślała, że jadą do Bostonu z wizytą do ortopedy, który miał zbadać jego kręgosłup. Dzisiaj, po obiedzie u Julii, powiedział, że chce wziąć ją na przejażdżkę, aby wybrać prezent gwiazdkowy. Tylko we dwoje. Julia może zająć się czteroletnią Mattie, która nie chciała rozstać się ze swoimi nowymi zabawkami.

Wyjeżdżają z Ely i kierują się w stronę Fortune's Rocks, gdzie są letnie domy. Gdy była małą dziewczynką i wędrowała po tamtejszych plażach, wyobrażała sobie, że te domy, opuszczone przez dziesięć miesięcy w roku, mają charakter i osobowość. Ten jest dumny i trochę pretensjonalny, ale po silnym sztormie nabiera nieco skromności. Tamten wysoki i elegancki, podstarzała piękność. Inny wyzywa żywioły, wystawia do przodu swoją twarz, ryzykant. Następny zbyt spokojny, markotny, niedopieszczony i niekochany. Jeszcze jeden oddzielony od reszty, niezależny, którego spokoju nie mącą ani tłumy letnich przybyszów, ani długie, samotne zimowe noce.

- Nie mogę sobie wyobrazić, co to będzie za prezent - mówi Kathryn.

- Zobaczysz.

W samochodzie Kathryn zamyka oczy. Wydaje się jej, że drzemie tylko minutkę, ale po przebudzeniu widzi ze zdziwieniem, że samochód stoi na podjeździe. Na znajomym podjeździe.

- Ogarnia cię nostalgia? - pyta Jacka.

- Coś w tym rodzaju - odpowiada.

Zerka przez przednią szybę na dom. To najpiękniejszy znany jej dom, zawsze tak uważała. Piętrowy, oszalowany białymi deskami, otoczony wspaniałą werandą. Okiennice są w kolorze spłowiałego błękitu, jak ocean w mglisty dzień. Dach kryty jest cedrowym gontem, mocno zwietrzałym, który w jednym miejscu się zapadł, jakby ktoś kawałek zestrugał. Być może dach jest mansardowy, nigdy nie była tego pewna. Na piętrze są regularnie rozmieszczone okna mansardowe, które zdają się sugerować, że w głębi spokojnie i wygodnie śpią ludzie. Patrząc na ten dom, myśli o starych hotelach, starych hotelach nad brzegiem oceanu.

Jack bez słowa wychodzi z samochodu i wstępuje na werandę, a ona idzie za nim. Wyplatane fotele na biegunach i szerokie deski podłogi są spłowiałe i pokryte szarą patyną. Kathryn staje przy poręczy, ogarnia wzrokiem trawnik, sięgając aż do morskiego wybrzeża, gdzie fale rozpryskują się o skały, światło iskrzy się i mieni, iskrzy się i mieni, a potem ponownie zlewa się z oceanem.

W dali, nad oceanem zalega mgła, odświeżająca, czysta mgła, która pojawia się tylko przy pięknej pogodzie. Kathryn nie widzi wyraźnie wysp; raz tam są, raz znikają, to znowu pojawiają się na powierzchni. Po jednej stronie trawnika rozciąga się łąka, po drugiej sady karłowatych gruszek i brzoskwiń. Obok werandy jest zarośnięty ogród, zakomponowany w niecodzienny kształt arkady, prostokąt z doczepionym wachlarzem. W półkolistym łuku stoi biała marmurowa ławka, teraz pokryta pnączami.

Na werandzie wieje lekka wschodnia bryza, przynosząc ze sobą chłód. Kathryn wie, że za chwilę na wodzie pojawią się białe czapy. Pod płaszczem kuli się w sobie.

Za jej plecami Jack otwiera drzwi kuchenne i wchodzi do środka.

- Jack, co robisz? - pyta.

Zaskoczona, idzie za nim przez kuchnię do frontowego pokoju, obszernego pomieszczenia, biegnącego przez całą długość domu od strony oceanu, przyjemnego wnętrza z sześcioma oknami od podłogi do sufitu. Ściany pokryte są wyblakłymi, żółtymi tapetami, postrzępionymi na brzegach. W oknach wiszą żaluzje, podciągnięte na jedną czwartą wysokości nad parapetem, które przypominają Kathryn żaluzje w jej starej szkole.

Minęło już cztery i pół roku od czasu, gdy po raz pierwszy weszli do tego domu i kochali się w sypialni na piętrze. Było to po tym, jak kąpali się w ubraniach. Powiedziała mu wtedy, że zna taki opuszczony dom. Pamięta, jak odpinał jej bluzkę, która opadła na podłogę. Jakże inaczej wyglądał bez koszuli - o wiele młodziej, swobodniej, jak ktoś, z kim mogłaby umawiać się na randki. Ukucnął obok niej i zaczął zlizywać sól z jej skóry. Czowała, że od upału kręci się jej w



głowie. Dotykała wargami pachnącej skóry jego klatki piersiowej, pokrytej jedwabście miękkimi włosami.

Jack mija frontowy pokój i zatrzymuje się, czekając na nią przy schodach. Dom wciąż jest niezamieszany, od wielu lat. Kiedyś mieścił się tu klasztor, potem należał do rodziny z Bostonu, która korzystała z niego w wakacje. Od lat był wystawiony na sprzedaż i Kathryn zastanawiała się, czemu nikt go jeszcze nie kupił. Być może z powodu wielu sypialni, jak w dormitorium, i jednej tylko łazienki na końcu korytarza.

Wyciąga do niej rękę. Wchodząc za nim po schodach, Kathryn myśli, że pewnie chce jej wręczyć prezent w pokoju, gdzie się kiedyś kochali. Nie jest więc zdziwiona, że wchodzi do pokoju o ścianach w kolorze cytryny. W kącie stoi leżanka przykryta kapą o kwiecistym wzorze. Jednak najbardziej niecodziennym sprzętem w tym pokoju jest czerwone krzesło, proste kuchenne krzesło pomalowane lakierem na ognistoczerwony kolor. Krzesło lśni w promieniach słońca - czerwone krzesło na tle cytrynowych ścian, za którymi widać przez okno błękit oceanu. Kathryn dziwi się, jak poprzednim razem, co to za kaprys kazał malarzowi wybrać takie zaskakujące zestawienie barw.

- Miałem telefon z Vision - mówi nagle Jack.

- Vision?

- Nowa linia lotnicza, brytyjsko-amerykańska. Bardzo szybko się rozwija. W ciągu kilku lat z pewnością zaproponują mi międzynarodowe trasy.

Uśmiecha się triumfalnym uśmiechem mężczyzny, który zaplanował niespodziankę i właśnie ją ujawnia.

Kathryn wysuwa do przodu nogę, chce do niego podejść.

- Jeśli podoba ci się ten dom, możemy go kupić.

To zdanie zatrzymuje ją w miejscu. Przykłada dłonie do piersi.

- Byłeś tu? - dziwi się. On kiwa głową.

- Z Julią.

- Julia wie o tym? - z niedowierzaniem pyta Kathryn.

- Chcieliśmy zrobić ci niespodziankę. Dom jest zrujnowany. Wymaga mnóstwa pracy. To oczywiste.

- Kiedy tu z nią przyjechałeś?

- Dwa tygodnie temu. Miałem śródlądowanie w Portsmouth. Kathryn usiłuje sobie przypomnieć. Przed oczami przesuwają się jej kolejne dni grudnia w postaci liczb na kartkach kalendarza. Każda jego podróż zlewa się z następną. Żadnej z nich nie pamięta dokładnie.

- Julia wie o tym? - pyta jeszcze raz.



- Przyjęli naszą ofertę - mówi Jack.

- Naszą ofertę?

Czuje się tępa i mało rozgarnięta. Niespodzianki piętrzą się przed nią, a ona nie nadąża z ich przyswajaniem.

- Poczekaj tutaj - mówi Jack.

Wstrząśnięta siada na czerwonym krześle. Światło wpadające przez boczne okno rysuje słoneczny prostokąt na narzucie. Ma ochotę zwinąć się na tej plamie, aby ogrzać ręce i nogi.

Jak on mógł, zastanawia się. W tak ważnej sprawie? To nie to samo co schowanie prezentu w biurku. I wciągnął innych ludzi. Prawdziwych agentów nieruchomości. I Julię. Czy Julia jest w stanie utrzymać taki sekret? Tylko dlatego, że to ma być niespodzianka, sama sobie odpowiada. A Jack potrafi milczeć.

Potrząsa głową. Nie może sobie wyobrazić, aby ona złożyła ofertę kupna domu bez porozumienia z Jackiem.

Jack wraca z butelką szampana i dwoma kieliszkami. Kathryn rozpoznaje kieliszki z domu Julii.

- Jestem szczęśliwy, że tu jesteś - mówi Jack. - Jestem szczęśliwy, że mam cię tutaj.

Obserwuje, jak otwiera butelkę szampana. To właśnie Jack robi najlepiej, myśli. Potrafi sprawić, że rzeczy się zdarzają.

Kathryn chce poczuć się szczęśliwa. Po chwili, gdy przetrawiła nowinę, wydaje się jej, że będzie szczęśliwa.

- Będziesz dojeżdżał do Bostonu? - pyta.

- Już to sprawdziłem. Jedzie się stąd piętnaście minut.

Mój Boże, pomyślała, był tu i już sprawdził, ile czasu zajmuje dojazd.

Jack napelnia szampanem oba kieliszki i wręcza jej jeden. Wypijają razem. Drży jej ręka i wie, że on to widzi. Jack odstawia kieliszek i podchodzi do niej. Bierze ją za rękę, Kathryn wstaje i oboje patrzą przez okno. On szepcze jej do ucha.

- Będziemy mieli własny dom - mówi. - Będziesz mieszkać nad wodą. Zawsze tego pragnęłaś. Mattie będzie tu chodzić do szkoły. A ty dostaniesz tu pracę nauczycielki, gdy tylko uzyskasz dyplom. Julia jest zachwycona, że będziesz, że będziemy blisko niej.

Kathryn wolno kiwa głową.

Jack odsuwa włosy z jej szyi i przesuwając językiem wzdłuż linii karku, aż do nasady włosów. Ona drży z podniecenia, jak zwykle w takiej chwili, i odstawia

kieliszek z szampanem na parapet. Pochyla się i przyciska czoło do framugi okiennej. W szybie widać ich niewyraźne odbicia.

RS

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Chciałbym, żebyś coś zjadła. Robert siedział przy stole i kończył porcję chili. - Nie mogę - powiedziała. Spojrzała na jego pusty talerz. - Za to ty byłeś głodny. Odsunął od siebie talerz.

Było późno, ale Kathryn nie miała pojęcia, która jest godzina. Mattie i Julia spały na górze. Na stole, poza chili, znajdował się bochenek czosnkowego chleba, sałata i szklanka z letnią herbatą. Wcześniej zmusiła się, aby umoczyć kawałek chleba w chili, ale gardło odmówiło jej posłuszeństwa i nie była w stanie przełknąć ani kęsa. Miała na sobie świeże ubranie - dżinsy, granatową bluzę, skarpetki i skórzane buty. Włosy wciąż były wilgotne po kąpieli. Wiedziała, że ma opuchnięte oczy, nos i usta. Pomyślała, że tam na podłodze w łazience płakała dłużej niż w ciągu całego dnia. Być może nawet więcej niż w całym swoim życiu. Czuła się wysuszona, pusta, jakby wypłakała wszystkie łzy.

- Przykro mi - powiedział Robert.

- Z jakiego powodu? - zapytała. - Ze nie mogę jeść? Wzruszył ramionami.

- Z powodu tego wszystkiego.

- Wykonujesz przedziwny zawód - oznajmiła nagle. - Czemu to robisz?

Wydawał się zaskoczony jej pytaniem.

- Czy mogę zapalić? - zapytał. - Jeśli wolisz, wyjdę przed dom. Jack nienawidził palaczy, nie tolerował palenia w swojej obecności.

- Na dworze jest piętnaście stopni - zauważyła. - Oczywiście, możesz zapalić tutaj.

Patrzyła, jak się odwrócił, sięgnął do kieszeni marynarki wiszącej na oparciu krzesła i wyjął paczkę papierosów.

Zapalił, oparł łokcie na stole, a dłonie złożył pod podbródkiem.

Dym unosił się przed jego twarzą. Zaciągnął się mocno.

- Ach - westchnął.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Czemu to robię? - powtórzył jej pytanie i przełknął ślinę. - Myślę, że dla pieniędzy.

- Nie wierzę ci - zaproponowała.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Chyba pociąga mnie intensywność przeżyć - wyznał. - W sferze ludzkich doświadczeń.

Milczała. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że słyszy muzykę. Art Tatum. Gdy brała prysznic, Robert włączył płytę kompaktową.

- To mogę zrozumieć - powiedziała.

- Lubię obserwować, jak ludzie z tego wychodzą - dodał.

- Naprawdę? Wychodzą z tego? - zapytała.

- Kobiety zwykle tak, jeśli da im się dość czasu. Niestety... - Przerwał. - Przykro mi - powtórzył.

- Robi mi się niedobrze, gdy ludzie ciągle mówią, jak im przykro. Naprawdę.

- Dzieci przechodzą to dużo gorzej - ciągnął wolno. - Podobno dzieci są odporne, ale to nieprawda. Zmieniają się... nieszczęście przekształca ich psychikę i w końcu się dostosowują. Prawie nigdy nie spotyka się przybitych nieszczęściem mężczyzn, bo kobiety rzadko bywają pilotami. Ale gdy spotykałem takich mężczyzn, byli to zwykle ojcowie. Szaleli z rozpacz, lecz to już inna historia.

- Wcale się nie dziwię, że szaleli z rozpacz - powiedziała Kathryn. Pomyślała o Jacku jako ojcowi i o tym, że byłby chory z rozpacz

i smutku, gdyby Mattie leciała samolotem. Jack i Mattie byli ze sobą bardzo życzliwi. W ich wzajemnych stosunkach niemal nie dochodziło do tarć i drobnych konfliktów, jakie zdarzały się w kontaktach Mattie z Kathryn. Od samego początku Mattie traktowała Jacka inaczej.

Gdy wszyscy troje przeprowadzili się do Ely, a Mattie chodziła jeszcze wtedy do przedszkola, Jack „zatrudnił” ją jako swoją asystentkę przy remoncie domu, przy malowaniu, zdrapywaniu ścian, naprawie okien. Ciągle z nią rozmawiał. Nauczył ją jeździć na nartach, a potem każdej zimy zabierał w góry na wakacje, najpierw na północ New Hampshire i Maine, a potem do Kolorado. W domu razem oglądali mecze lub godzinami siedzieli przy komputerze. Za każdym razem, gdy Jack wracał po rejsie do domu, szedł najpierw do Mattie lub ona biegła do niego. Łączyły ich najlepsze z możliwych stosunki między ojcem a dzieckiem: było im ze sobą dobrze.

Tylko raz Jack nakrzyczał na Mattie. Kathryn doskonale zapamiętała wściekłość na jego twarzy, gdy dowiedział się, że Mattie zepchnęła ze schodów swojego kolegę. Ile mieli lat? Cztery? Może pięć? Jack złapał Mattie za ramię, dał jej klapsa w pupę, a potem niemal zawlókł ją do jej pokoju i zatrzasnął drzwi z taką furją, że nawet Kathryn była przerażona. Jego zachowanie było tak żywiołowe, reakcja tak szybka, że Kathryn zaczęła podejrzewać, iż karano go w ten sposób w dzieciństwie i na krótką chwilę stracił nad sobą panowanie. Później usiłowała porozmawiać z nim na ten temat, ale Jack, którego twarz wciąż była purpurowa z gniewu, nie chciał dyskutować. Powiedział tylko, że nie wie, co w niego wstąpiło.

- Jesteś specjalistą w tej dziedzinie - powiedziała do Roberta.

Rozejrzał się po blacie, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć za popielniczkę. Kathryn wyjęła talerzyk spod filiżanki i pchnęła ku niemu po stole. Robert zgasił papierosa na talerzyku i zabrał się do sprzątania naczyń.

- Niezupełnie - zaproponował.

- Ja się tym zajmę - zaproponowała. - I tak już dużo zrobiłeś. Zawahał się.

- Proszę - nalegała. - Dam radę pozmywać naczynia.

Usiadł i wyciągnął kolejnego papierosa z paczki. Kathryn podeszła do zmywarki i zaczęła wkładać do niej brudne naczynia.

- Lubię myśleć, że tworzę coś w rodzaju kokonu wokół rodziny - powiedział - izolując ją od świata zewnętrznego.

- Który narzuca się w tak groteskowy sposób - dodała.

- Który narzuca się w tak groteskowy sposób.

- Powstrzymywanie - powiedziała. - Na tym polega twoja praca. Na powstrzymywaniu.

- Opowiedz mi o swojej pracy - poprosił. - Czego uczysz?

- Muzyki i historii. Prowadzę też zespół muzyczny.

- Poważnie?

- Poważnie. W naszej szkole jest tylko siedemdziesięciu dwóch uczniów.

- Lubisz uczyć? - zapytał. Zastanowiła się chwilę.

- Tak - odparła. - Bardzo lubię. Mam jednego, może dwóch naprawdę wybitnych uczniów. W zeszłym roku posłaliśmy jedną dziewczynę do konserwatorium w Nowej Anglii. Lubię te dzieciaki.

- Życie wygląda inaczej, kiedy mąż jest pilotem - powiedział. Pokiwała głową. Pomyślała o nieregularnym rytmie dnia, o tym, że

nigdy nie urządzali świąt we właściwym czasie. O tym, jak Jack chciał dostać śniadanie o siódmej wieczorem lub kolację i kieliszek wina o siódmej rano. Rzeczywiście, prowadzili odmienne życie niż inne rodziny. Jack wyjeżdżał na trzy dni, wracał na dwa i tak trwało przez dwa, trzy miesiące. A potem przez następny miesiąc pracował cztery dni, bywał w domu przez sześć, a Kathryn i Mattie musiały przywyknąć do nowego rytmu. Ich życie nie miało w sobie nic z rutyny, jak bywało w innych rodzinach - żyły odcinkami czasu. Krótszy kawałek, gdy Jack był w domu, nieco dłuższy, gdy go nie było. A kiedy wyjeżdżał, wydawało się, że z domu uszło trochę powietrza, że cicho osiadał w miejscu.

I niezależnie od tego, jak wiele uwagi Kathryn poświęcała Mattie i jak dobrze czuły się we własnym towarzystwie, Kathryn zawsze się wydawało, że żyją w

zawieszeniu - czekając, kiedy zacznie się prawdziwe życie, czekając, kiedy Jack pojawi się w drzwiach.

Kathryn zastanawiała się, siedząc przy stole z Robertem, czy teraz czuje się podobnie - zawieszona w czasie, czekając, aż Jack pojawi się w drzwiach.

- Jak często dojeżdżał? - spytał Robert.

- Stąd? Ze sześć razy w miesiącu.

- To nieźle. Jak długo się jedzie na lotnisko? Pięćdziesiąt minut?

- Tak. Czy trzymasz w swoim gabinecie spakowaną walizkę? - zapytała. - Spakowaną i gotową?

Zawahał się.

- Mam taką małą - odpowiedział.

- Zatrzymasz się w pensjonacie?

- Tak, ale jeśli chcesz, mogę się przespać na kanapie.

- Nie. Wszystko będzie dobrze. Jest Mattie i Julia. Opowiedz mi coś jeszcze - poprosiła.

- O czym?

Włożyła ostatni brudny talerz do zmywarki i zamknęła maszynę. Wytarła ręce w ręcznik i zawiesiła go na uchwycie szuflady.

- O tym, jak to jest, gdy wchodzisz do takiego domu. Podrapał się po karku. Nie był wysoki, ale sprawiał takie wrażenie, nawet gdy siedział. Wyobraziła go sobie jako biegacza.

- Kathryn, to jest...

- Powiedz mi.

- Nie.

- To pomaga.

- Nie, nie pomoże ci.

- Skąd wiesz? - spytała ostro. - Czy my, żony, jesteśmy takie same? Czy reagujemy podobnie?

Słyszała gniew w swoim głosie, gniew, który czaił się w niej przez cały dzień. Bańki gniewu pojawiające się na powierzchni cieczy, które potem pękają. Usiadła przy stole, naprzeciw niego.

- Oczywiście, że nie - powiedział.

- A jeśli okazuje się to nieprawdą? - zapytała. - Jeśli dostajesz wiadomość, powiadamasz żonę, a potem okazuje się, że to nieprawda?

- To się nie zdarza.

- Czemu nie?



- Zwykle spędzam sporo czasu, stojąc przy bramie domu, trzymam w ręku telefon komórkowy i czekam na absolutnie pewne potwierdzenie. Może trudno ci w to uwierzyć, ale nigdy nie miałem ochoty powiedzieć kobiecie, że jej mąż nie żyje, jeśli rzeczywiście tak nie jest.

- Przykro mi.

- Myślałem, że ten zwrot jest zabroniony. Uśmiechnęła się.

- Przeszkadzają ci te pytania? - zapytała.

- Zastanawiam się, dlaczego je zadajesz, ale nie, nie mam nic przeciwko.

- No to zapytam cię jeszcze o to: bałeś się, że coś powiem prasie. Co takiego by cię zaniepokoiło?

Rozluźnił krawat i rozpiął najwyższy guzik koszuli.

- W takiej sytuacji żona pilota jest zrozpaczona, to oczywiste. Jeśli powie coś w obecności dziennikarzy, natychmiast zostanie to zarejestrowane. Wdowa może na przykład powiedzieć, że mąż narzekał ostatnio na stan techniczny samolotu. Lub może wyrzucić z siebie: „Wiedziałam, że tak będzie. Mąż mówił, że linia lotnicza obciąła ostatnio wydatki na szkolenie personelu”.

- No dobrze, ale co w tym złego? To może być prawda.

- Gdy ludzie są w szoku, mówią rzeczy, których później by nie powiedzieli. Rzeczy, których wcale nie zamierzali powiedzieć. Ale jeśli ich słowa zostaną zarejestrowane, nie ma odwrotu.

- He masz lat? - zapytała.

- Trzydzieści osiem.

- Jack miał czterdzieści dziewięć.

- Wiem.

- Co robisz między kolejnymi katastrofami?

- Sformułowałbym to inaczej - odparł, kręcąc się na krześle. - Nie czekam na katastrofę. Mam inne zajęcia.

- Na przykład?

- Bardzo dokładnie zajmuję się dochodzeniami przeprowadzanymi każdorazowo po katastrofie. Zajmuję się też rodzinami pilotów. Ile lat ma ten dom?

- Zmieniasz temat.

- Zgadza się.

- Wybudowano go w 1905 roku. Pierwotnie był tu klasztor. Miejsce odosobnienia.

- Jest piękny.

- Dziękuję. Ale sporo przy nim pracy. Niszczyje szybciej, niż jesteśmy w stanie go naprawiać.

Powiedziała: my.

Wszystko budziło jej zachwyty w tym domu, który wydawał się ciągle inny, w zależności od światła, pory roku, koloru wody, temperatury powietrza. Kathryn kochała nawet jego mankamenty: wybrzuszone podłogi w sypialniach, zbyt płytkie szafy, które były dostosowane do mnisich habitów, okna ze staroświeckimi okiennicami, chroniącymi przed sztormem, które z trudem zakładali każdej jesieni i zdejmowali wiosną (Jack odkrył, że są jak płatki śniegu, każda inna, i dopóki nie wpadł na pomysł, aby je oznaczyć, zakładanie okiennic przypominało dopasowywanie puzzli przez ludzi stojących na drabinie), ale po wyczyszczeniu same w sobie były pięknymi przedmiotami. Prawdę powiedziawszy, czasami trudno było oderwać się od patrzenia przez te okna, co niejednokrotnie trochę przeszkadzało, zwłaszcza gdy czekała robota. Kathryn często siadywała w długim frontowym pokoju i marzyła na jawie. Zatapiała się wtedy w rozmyślaniach o tym, jak w takim domu, w takim miejscu na ziemi byłoby łatwo odpoczywać od świata, wybrać życie w samotności i kontemplacji, całkiem podobne do życia jego pierwszych lokatorek, sióstr zakonu świętego Jana Baptysty z Bienfaisance, dwudziestu zakonnic w wieku od dziewiętnastu do osiemdziesięciu dwóch lat, poślubionych Chrystusowi i ubóstwu. Gdy siedziała we frontowym pokoju, wyobrażała sobie długi stół refektarzowy z ławką ustawioną z jednej jego strony, aby podczas posiłków siostry mogły widzieć ocean. Bo chociaż ślubowały ubóstwo, mieszkały w cudownej okolicy.

Przez wiele lat Kathryn usiłowała znaleźć miejsce, gdzie siostry miały kaplicę. Szukała na trawniku i w sadzie, ale nigdzie nie było śladów fundamentów. Czyżby kaplica była w domu, zastanawiała się, w pomieszczeniu, które służyło im jako jadalnia? Czy siostry zdemontowały przed wyprowadzką domowy ołtarz, zabierając ze sobą krzyż i figurę Matki Boskiej? A może wędrowały przez rozległe, słone i podmokłe tereny, rozciągające się pomiędzy Fortune's Rocks i miastem Ely Falls, aby wziąć udział we mszy w kościele pod wezwaniem Świętego Józefa, razem z francuskokanadyjskimi imigrantami?

- Mieszkasz tu od jedenastu lat, prawda? - zapytał Robert.

- Tak.

Zadzwoił telefon i oboje drgnęli na jego dźwięk. Minęło dwadzieścia, może trzydzieści minut od ostatniego dzwonka i prawdopodobnie była to tego dnia najdłuższa przerwa od pierwszych, porannych alarmów. Patrzyła, jak Robert podnosi słuchawkę.

Miała zaledwie dwadzieścia trzy lata, gdy z Jackiem przeprowadzili się w okolice Ely. Kathryn niepokoiła się, czy ludzie z miasta nie potraktują ich z

niechęcią. Miała teraz dom nad morzem, a jej mąż był pilotem w Vision. Nie mieszkała już, jak kiedyś, w Ely, ale w Fortune's Rocks, efemerycznym, ulotnym świecie letników, którzy, mimo że byli stałymi klientami w sklepie jej babki i z niewątpliwie protekcyjną ciekawością odnosili się do małego miasteczka i jego dziwnego czaru, pozostawali w gruncie rzeczy całkowicie anonimowi. Mieli gładkie, opalone ciała i pozornie niewyczerpane zasoby gotówki. Chociaż Martha Ingerbretson, właścicielka jedyne sklepu spożywczego w Fortune's Rocks, mogłaby opowiedzieć sporo historyjek o facetach w szortach koloru khaki i białych podkoszulkach, płacących niebotyczne rachunki - za wódkę, homary i specjalność Marthy, czekoladowe konfetkake - a potem ogłaszających bankructwo. Jedynym śladem po nich były często tablice z napisem „Na sprzedaż”, ustawione w piasku przed fasadami domów na plaży, wartych czterysta tysięcy dolarów.

Jednak miejscowe pokłady serdeczności dla Julii Hull były bardzo głębokie i starczyło jej także dla Jacka i Kathryn. Udało im się włączyć w życie Ely i ułatwić Mattie adaptację w tamtejszych szkołach. Chociaż zawód Jacka nie pozwalał mu zbyt aktywnie uczestniczyć w życiu miasteczka, grywał jednak w tenisa w lokalnej lidze, razem z Hugh Reneyem, zastępcą dyrektora tutejszej szkoły średniej i Arthurem Kahierem, właścicielem stacji benzynowej na końcu miasta. Choć Mattie została poczęta z taką łatwością, Jack i Kathryn, o dziwo, nie mieli więcej dzieci. Przekonywali się nawzajem, że Mattie daje im maksimum szczęścia i dlatego nie chcą podejmować trudu wychowania kolejnego dziecka.

Kathryn przyglądała się Robertowi, który rozmawiał przez telefon. Odwrócił się na chwilę i zerknął na nią, ale natychmiast podjął rozmowę.

- Bez komentarzy - powiedział.
- Nie sędzę.
- Bez komentarzy.
- Bez komentarzy.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na szafkę, wiszącą nad telefonem. Potem wziął do ręki długopis i zaczął nim pstrykać.

- Co się stało? - zapytała. Odwrócił się.
  - Cóż, przypuszczaliśmy, że tak będzie - rzekł.
  - Co to znaczy?
  - O całej sprawie będzie głośno najwyżej przez dwadzieścia cztery godziny, a potem przejdzie do historii.
  - Co to znaczy?
- Spojrzał na nią ostro i wziął głęboki wdech.

- Twierdzą, że to był błąd pilota - wyrzucił z siebie. Zamknęła oczy.
  - To tylko spekulacje - powiedział szybko. - Wydaje im się, że znaleźli jakieś dane dotyczące lotu, które nie trzymają się kupy. Ale, uwierz mi, nie mogą być jeszcze niczego pewni.
  - No tak.
  - Poza tym - rzekł cicho - znaleziono już kilka ciał. Pomyślała, że jeśli uda się jej powoli wdychać i wydychać powietrze, wszystko będzie dobrze.
  - Jeszcze ich nie zidentyfikowano - dodał szybko.
  - Ile?
  - Osiem.
- Usiłowała to sobie wyobrazić. Osiem ciał. Całe? W kawałkach? Chciała zapytać, ale nie zrobiła tego.
- Będzie ich więcej - powiedział. - Wciąż je wydobywają. Brytyjczycy? - zastanawiała się. A może Amerykanie? Kobiety czy mężczyźni?
  - Kto to był? Kto dzwonił?
  - Reuters.
- Wstała od stołu i poszła do łazienki. Przez chwilę bała się, że będzie wymiotować. To jest reakcja zwrotna, pomyślała, niemożność przyswojenia informacji, odruch, aby je z siebie wykasłać. Spryskała twarz zimną wodą i wytarła ręcznikiem. Z trudem rozpoznała swoje odbicie w lustrze.
- Gdy wróciła do kuchni, Robert znowu rozmawiał przez telefon. Jedną rękę przyciskał do piersi, dłoń wcisnął pod pachę. Rozmawiał cicho, odpowiadając „tak” i „OK”. Spojrzał na nią, gdy stanęła w drzwiach.
- Później - powiedział i odłożył słuchawkę. Zapanowała długa cisza.
  - Jakie jest prawdopodobieństwo, że to był błąd pilota? - zapytała.
  - Siedemdziesiąt procent.
  - Jaki błąd? Co się stało?
  - Zwykle jest cała seria wydarzeń, które prowadzą do tego ostatniego, a ono najczęściej bywa określane jako błąd pilota, ponieważ wówczas zawsze są w to zaangażowani piloci.
  - Rozumiem.
  - Mogę cię o coś zapytać? - Tak.
  - Czy Jack był... Zawahał się.
  - Czy Jack był jaki?
  - Czy Jack był czymś poruszony lub zmartwiony? Robert spojrział na nią wyczekująco.
  - Ostatnio?

- Ja wiem, że to okropne pytanie - przyznał. - Ale wcześniej czy później będziesz musiała na nie odpowiedzieć. Jeśli było coś takiego, jeśli zdarzyło się coś, o czym wiesz lub co pamiętasz, będzie lepiej, jeżeli teraz o tym porozmawiamy.

Zastanawiała się, co odpowiedzieć. To dziwne, pomyślała, jak głęboko znamy jakąś osobę lub wydaje się nam, że ją znamy, gdy jesteśmy zakochani - nasiąknięci, przesyleni miłością - aby później odkryć, że być może wcale nie znaliśmy jej tak dobrze, jak nam się wydawało. Albo że ona nas nie знаła tak dobrze, jak mieliśmy nadzieję. Na początku zakochana osoba rozkoszuje się każdym słowem i gestem, a następnie usiłuje utrzymać intensywność swojego uczucia tak długo, jak to możliwe. Niestety, jeśli para jest ze sobą dość długo, ta intensywność mija. Tak to już jest, pomyślała Kathryn, to naturalna potrzeba, aby ewoluować od stanu bycia chorem z miłości do życia z kimś, kto także się zmienia, aż po pewnym czasie para jest gotowa do wychowywania dziecka.

Niektórym zakochanym to się nie udaje, wiedziała o tym na przykładzie swoich rodziców. Odkąd tylko pamiętała, zawsze łączyło ich uczucie pożądania, pragnienia i niekończące się napięcie. Chociaż jej ojciec był notorycznie niewierny i z pewnością ranił tym matkę Kathryn, to właśnie ona - Kathryn była tego pewna - zniweczyła nikłą szansę na szczęście w ich małżeństwie. Bowiem to właśnie ona była całkowicie niezdolna, aby zapomnieć o czasach, gdy miała dwadzieścia dwa lata i spotkała Bobby'ego Hulla, który zakochał się w niej i nadał sens jej życiu. Przez cały rok, kiedy pobrali się i poczęli Kathryn, Bobby Hull nie spuszczał wzroku ze swojej żony, ani na chwilę nie zostawiał jej samej. Matka Kathryn poczuła się, po raz pierwszy w życiu, zarówno głęboko kochana, jak również niezwykle piękna. Był to narkotyk silniejszy nawet od burbona, którego zakosztowała po raz pierwszy, gdy się poznali. Tamten rok, który zdaniem Kathryn był najwspanialszym w całym życiu jej matki i o którym Kathryn wiedziała więcej, niż powinna była, ponieważ jako dziecko wiele się nasłuchiwała podczas kłótni rodziców, stał się niezwykle ważny, a w miarę upływu czasu niemal święty. A ojciec Kathryn, nawet gdy ustępował i naprawdę chciał sprawić żonie przyjemność, nie był w stanie przywrócić atmosfery z tamtego czasu. Kathryn wydawało się zawsze, że tragedią jej matki było to, że Bobby Hull stopniowo tracił nią zainteresowanie. Z początku proces ten postępował w sposób zupełnie naturalny, ponieważ nawet do szaleństwa zakochani w sobie ludzie muszą w jakimś momencie pomyśleć o życiu, pracy, zająć się dziećmi, ale stał się, wkrótce po tym, jak jej matka poczuła ten odpływ uczuć i zdała sobie z niego sprawę, a w zasadzie nawet przyklepiła mu etykietkę, sposobem bycia. Kathryn



wciąż pamiętała, jak matka z sypialni na górze wykrzykiwała rozhisteryzowanym, udreńczonym głosem jedno i to samo słowo: dlaczego? Czasami (na wspomnienie o tym Kathryn zadrżała) matka błagała Bobby'ego Hulla, aby powiedział jej, że jest piękna, co natychmiast wywoływało u niego chęć przekory i jako człowiek uparty nie chciał dawać żonie dowodów miłości, chociaż bardzo ją kochał i mógłby jej to powiedzieć, gdyby go nie prosiła.

W jej własnym małżeństwie, rozmyślała Kathryn, to prawdopodobnie ona bardziej niż Jack przeżywała proces przechodzenia od bycia kochankami do bycia parą. Uważała jednak, że w ich związku zmiana ta pojawiła się później niż w innych i że powinni czuć się szczęściarzami. Czy stało się to, gdy Mattie miała jedenaście lat? Dwanaście? Wtedy poczuła po raz pierwszy, że Jack zaczął się od niej niezauważalnie odsuwać. Nie mogła wskazać niczego konkretnego ani dokładniej tego określić. W każdym małżeństwie, tak jej się zawsze wydawało, para tworzy swój własny seksualny repertuar, odgrywany w sypialni, czasami po cichu w miejscach publicznych lub chociażby przez telefon, repertuar, który bywa wielokrotnie powtarzany z tymi samymi dialogami, tym samym zachowaniem na scenie, tymi samymi partiami odgrywanymi przez ciało, służącymi jako podniety dla wyobraźni. Jednak gdy jeden z partnerów zmienia nieco swoją rolę lub opuszcza pewne kwestie, sztuka nie przebiega już tak jak przedtem. Drugi aktor, nieświadomy jeszcze, że coś się zmieniło, czasami płacze się, myli lub przestaje orientować w zmienionej choreografii.

Właśnie tak stało się z nimi. W łóżku Jack coraz rzadziej odwracał się w jej stronę. A gdy już się kochali, odnosiła wrażenie, że nie ma w tym dawnej iskry. Stopniowo odchodzili od siebie, tak powoli, że czasami niemal niedostrzegalne, aż pewnego dnia Kathryn zdała sobie sprawę, że nie kochali się przez ponad dwa tygodnie. Myślała wtedy, że być może Jack potrzebuje więcej snu. Miał bardzo intensywny rozkład lotów i często wyglądał na przemęczonego. Lecz czasami zamartwiała się też, że być może ona jest temu winna, może stała się zbyt bierna. Postanowiła więc wykazać więcej fantazji i aktywności, ale jej wysiłek nie przyniósł oczekiwanej poprawy.

Kathryn postanowiła, że nie będzie narzekać. Nie wpadała też w panikę. Nawet nie próbowała na ten temat rozmawiać. Ale wkrótce zorientowała się, że ceną, jaką zapłaciła za swoją wytrwałość, jest subtelna mgiełka, jaka zaczęła ją otaczać, welon, który uniemożliwiał jej i Jackowi swobodny kontakt. Po pewnym czasie ta mgiełka zaczęła ją denerwować.

I wtedy doszło do kłótni. Jedynej naprawdę okropnej kłótni w ich małżeństwie. Ale teraz nie chciała o tym myśleć.



- Nic takiego nie miało miejsca - powiedziała Robertowi. - Chyba pójde się położyć.

Pokiwał głową.

- To było udane małżeństwo - oświadczyła. Pogładziła dłonią blat stołu.

- Naprawdę udane - powtórzyła.

Pomyślała jednak wtedy, że każde małżeństwo przypomina instrument do odbierania fal radiowych, które przyplływają i odpływają. Najczęściej odbiór był czysty, rozumiała Jacka. Ale czasami zdarzały się zakłócenia. W takich momentach wydawało się jej, że niemal wcale go nie słyszy, jakby jego przekaz dla niej popłynął przez stratosferę w złym kierunku.

- Czy powinniśmy zawiadomić jeszcze kogoś z jego rodziny? - zapytał Robert.

Kathryn potrząsnęła głową.

- Był jedynakiem. Matka zmarła, gdy miał dziewięć lat - wyjaśniła. - A ojca stracił, gdy był w szkole średniej.

Zastanawiała się, czy Robert Hart też o tym wiedział.

- Jack nigdy nie opowiadał o swoim dzieciństwie - ciągnęła. - Prawdę powiedziawszy, prawie nic nie wiem o tym okresie jego życia. Zawsze mi się wydawało, że nie był wówczas szczęśliwy.

Dzieciństwo Jacka było jednym z tematów, o których, jak sądziła, zawsze zdąży z nim porozmawiać.

- Mówię poważnie - wtrącił Robert. - Jak chcesz, z przyjemnością tu zostanę.

- Nie, powinieneś iść. Gdybym kogoś potrzebowała, mam Julię. Czym się zajmuje twoja była żona?

- Pracuje dla senatora Hansona. Z Wirginii.

- Gdy pytałeś mnie o Jacka - powiedziała Kathryn - chodziło ci także o to, czy popadał w depresję?

- Tak.

- Otóż zdarzyło się coś takiego. Nie nazwałbym tego depresją, ale był bardzo przygnębiony.

- Opowiedz mi o tym - poprosił Robert.

- Chodziło o jego pracę - powiedziała. - To było jakieś pięć lat temu. Czuł się zmęczony pracą w firmie. A przez krótki czas nawet bardzo zmęczony. Zaczął wtedy rozmyślać o odejściu, podjęciu innej pracy, napomykał o akrobatyce lotniczej. Wspominał o rosyjskim samolocie typu JAK-27, o ile pamiętam. A także o założeniu własnego interesu. Wiesz, szkoła latania, czarterowanie samolotów itd.

- Ja także się nad tym zastanawiałem - odparł Robert. - Myślę, że każdemu pilotowi zdarza się to raz czy dwa razy w życiu.

- Jack mówił, że firma za szybko się rozrasta. Stała się zbyt anonimowa i Jack prawie nie znał załogi, z którą latał. Wielu pilotów było Brytyjczykami i mieszkało w Londynie. Tęsknił także za ręcznym sterowaniem, do którego przywykł wcześniej. Chciał znowu poczuć maszynę. Kiedyś dostaliśmy pocztą broszury, reklamujące dziwnie wyglądające małe samoloty, i Jack posunął się nawet do tego, że zapytał mnie, czy pojedę z nim do Boulder, gdzie mieszka pewna kobieta, sprzedająca swoją szkołę. Oczywiście, musiałam się zgodzić - w rewanżu za to, co kiedyś zrobił dla mnie. Poza tym martwił mnie jego zły nastrój i zastanawiałam się, czy naprawdę nie potrzebuje zmiany. Niemniej jednak poczułam ulgę, gdy wkrótce potem przestał o tym mówić. Później nigdy już nie wspominał o odejściu z firmy.

- To było pięć lat temu?

- Mniej więcej. Nie mam poczucia czasu. Pamiętam, że pomogło, gdy zaczął latać na trasie Boston-Heathrow. Byłam taka szczęśliwa, że kryzys minął, iż bałam się wracać do tego tematu. Teraz tego żałuję.

- Czy poza tym jeszcze kiedyś wydawał ci się załamany? - zapytał Robert.

- Nie. Raczej nie.

Pomyślała, że byłoby niemożliwe stwierdzić, jaki kompromis zawarł ze sobą Jack. Wydawało się, że umieścił swoje niezadowolenie w tym samym miejscu, w którym schował swoje dzieciństwo - w zamkniętej piwnicy.

- Wyglądasz na zmęczonego - zauważyła Kathryn.

- Bo jestem.

- Chyba powinieneś już iść. Milczał. Nie ruszał się.

- Jak ona wygląda? - zapytała. - Chodzi mi o twoją żonę. Byłą żonę.

- Jest w twoim wieku. Wysoka. Ma krótkie ciemne włosy. Bardzo ładna.

- Wierzyłam mu, że nie zginie - powiedziała Kathryn. - Czuję się oszukana. Czy nie brzmi to okropnie? Przecież on nie żyje, a ja żyję. Mógł cierpieć. Wiem, że cierpiał, nawet jeśli krótko, przez kilka sekund.

- Ty cierpisz teraz.

- To nie to samo.

- Zostałaś oszukana - przytaknął. - Ty i twoja córka.

Na wspomnienie córki Kathryn poczuła, że coś ściska ją w gardle. Zasłoniła twarz dłońmi, jakby chciała dać mu do zrozumienia, żeby nic więcej nie mówił.

- Musisz to wytrzymać - powiedział cicho. - To przebiega własnym rytmem.

- Czuję się tak, jakby przejeżdżał po mnie pociąg. Pociąg, który się nie zatrzymuje.

- Chciałbym ci pomóc, ale niewiele mogę zrobić - przyznał Robert. - Żałoba wytrąca człowieka z równowagi. Nie ma w niej nic pozytywnego.

Oparła głowę o blat stołu i zamknęła oczy.

- Musimy zorganizować pogrzeb, prawda? - zapytała.

- Porozmawiamy o tym jutro.

- Ale jeśli nie ma ciała?

- Jaką religię wyznajesz?

- Żadną. Kiedyś byłam metodystką. Julia wciąż jest metodystką.

- A Jack?

- Katolikiem. Ale nie praktykował. Nie należeliśmy do żadnego kościoła. Nie mieliśmy ślubu kościelnego.

Poczuła, że Robert dotknął jej włosów. Lekko. Przelotnie.

- Pójdę już - powiedział.

Kiedy Robert wyszedł, Kathryn siedziała chwilę bez ruchu, a potem wstała i przeszła przez wszystkie pomieszczenia na parterze, gasząc światło. Zastanawiała się, co właściwie oznacza określenie „błąd pilota”. Skręt w lewo, gdy powinien był skręcić w prawo? Złe skalkulowanie ilości paliwa? Niewykonanie poleceń? Przypadkowe naciśnięcie jakiejś dźwigni? W jakim innym zawodzie błąd człowieka powoduje śmierć stu trzech osób? Motorniczego pociągu? Kierowcy autobusu? Kogoś, kto pracuje z chemikaliami, odpadkami nuklearnymi?

To nie mógł być błąd pilota, powiedziała sobie. Dla dobra Mattie, nie mogło tak być.

Przez dłuższą chwilę stała u szczytu schodów, a potem ruszyła korytarzem.

W sypialni poczuła chłód. Drzwi przez cały dzień były zamknięte. Powoli jej oczy przywykły do ciemności. Łóżko było rozścielone, tak jak je zostawiła o trzeciej dwadzieścia cztery rano.

Obeszła je dookoła i przyjrzała mu się w taki sposób, w jaki robią to zwierzęta - czujnie i z uwagą. Wygładziła kołdrę i popatrzyła na widoczną w świetle księżycy poszewkę. Była kremowa, z flaneli, jak zwykle w zimie. Ile razy kochali się na tym łóżku w ciągu szesnastu lat małżeństwa? - zastanawiała się. Dotknęła dłonią kołdry. Była zużyta i gładka. Miękka. Ostrożnie usiadła na brzegu, sprawdzając, czy jest w stanie to wytrzymać. Już sobie nie ufała, nie miała pewności, jak jej ciało zareaguje na takie doświadczenie. Jednak gdy usiadła, nie poczuła nic. Przyszło jej na myśl, że podczas tego długiego dnia być może traciła powoli czucie. Zmysły nic więcej nie były już w stanie znieść.

- Błąd pilota - powiedziała głośno, sprawdzając własną reakcję.

Ale to nie mógł być błąd pilota, szybko przegnała tę myśl. Z pewnością prawda okaże się inna.

Położyła się w ubraniu na łóżku. To będzie od dzisiaj moje łóżko, pomyślała. Tylko moje. Cała sypialnia będzie tylko moja.

Spojrzała na budzik przy łóżku: dziewiąta dwadzieścia siedem.

Ostrożnie - jakby rejestrowała w sobie ruchy sejsmiczne - położyła się i nakryła brzegiem kołdry. Wyobrażała sobie, że w pościeli czuje zapach Jacka. Było to możliwe, gdyż od jego wyjazdu we wtorek jej nie zmieniała. Jednak nie ufała już swoim zmysłom, nie wiedziała, co jest rzeczywiste, a co pozorne. Zauważyła wiszącą na krześle koszulę Jacka. Od samego początku ich małżeństwa zwykła sprzątać dom tuż przed powrotem Jacka. Wiedziała, że teraz nie będzie chciała zdjąć jego koszuli z krzesła. Być może minie wiele dni, zanim odważy się jej dotknąć, podjąć ryzyko trzymania jej przy twarzy, ryzyko związane z jego zapachem, który mogłaby poczuć w tej koszuli. Ale jeśli już sprzątnie wszystkie ślady po Jacku, z czym zostanie?

Przysunęła się na swoją stronę łóżka i spojrzała na zalany światłem księżyca pokój. Przez otwarty lufcik dobiegał szum fal.

Przed oczami pojawił się jej obraz Jacka w wodzie, odbijającego się od piaszczystego dna oceanu.

Podciągnęła kołdrę, zakrywając usta i nos. Wolno oddychała przez materiał, żeby w ten sposób zapanować nad uczuciem paniki. Przyszło jej na myśl, czy nie wślizgnąć się do sypialni córki i nie położyć na podłodze, przy łóżku, na którym spały Mattie i Julia. Czy przypuszczała, że będzie w stanie spędzić tę pierwszą samotną noc w małżeńskiej sypialni?

Zerwała się z łóżka i poszła do łazienki, gdzie Robert zostawił fiolkę z valium. Wzięła jedną tabletkę, a potem na wszelki wypadek drugą. Zastanawiała się chwilę nad trzecią. Usiadła na brzegu wanny i czekała, aż proszki zaczną działać.

Przez moment rozważała, czy nie położyć się spać na kanapie w pokoju gościnnym. Gdy mijała gabinet Jacka, zauważyła, że ktoś zostawił w nim zapalone światło. Otworzyła drzwi.

Gabinet był jasny i pozbawiony wyraźnych akcentów kolorystycznych - tylko biel, metal, plastik, szarość. Rzadko zaglądała do tego nieprzytulnego pokoju bez zasłon w oknach, z wieloma metalowymi szafkami wzdłuż ścian. Typowo męskie wnętrze.

Odnosiła wrażenie, że wnętrze to posiada swój własny porządek - znany tylko Jackowi. Na masywnym metalowym biurku stały dwa komputery, klawiatura,

faks, dwa aparaty telefoniczne, skaner, filiżanki po kawie, zakurzone modele samolotów, kubek z jakimś czerwonym sokiem (domyśliła się, że zostawiła go Mattie) i niebieski gipsowy stojak na długopis, który Mattie zrobiła dla Jacka, gdy była w drugiej klasie.

Spojrzała na faks. Paliło się kontrolne światełko.

Podeszła do biurka i usiadła przy nim. Był tu wcześniej Robert, korzystał z telefonu i faksu. Kathryn otworzyła szufladę po lewej stronie biurka. W środku były dzienniki pokładowe Jacka, jedne grube i ciężkie, w plastikowych okładkach, inne małe, mieszczące się w kieszeni koszuli. Oprócz tego w szufladzie leżała latarka, otwieracz do kopert z kości słoniowej, który przywiózł dwa lata temu z Afryki, podręczniki obsługi samolotów, którymi już nie latał, i książka o radarze pogodowym. Oprócz tego treningowa kasetka wideo, naramienniki z Santa Fe i jakieś przyrządy, które wyglądały jak instrumenty pokładowe.

Zamknęła tę szufladę i otworzyła drugą pośrodku biurka. Znalazła tam komplet kluczy, które mogły pochodzić dawnego mieszkania w Santa Fe. Wzięła do ręki stare okulary do czytania w szylkretowej oprawce, które Jack przejechał samochodem kempingowym. Upierał się, że jeszcze z nich skorzysta. W szufladzie było też kilka pudełek spinaczy, ołówki, długopisy, bandaż elastyczny, plastry, dwie baterie, zapasowa wtyczka. Podniosła bloczek samoprzylepnych kartek i zobaczyła pod spodem zestaw do szycia z hotelu Marriott. Uśmiechnęła się na jego widok, podniosła do ust i pocałowała.

Otworzyła dużą szufladę na segregatory po prawej stronie biurka. Zamiast segregatorów leżała w niej sterta papierów wysokości trzydziestu centymetrów. Wyjęła je i położyła na kolanach. Papiery były gromadzone jak popadnie, bez żadnego porządku. Wśród nich znalazła kartki urodzinowe od Mattie, służbowe notatki, lokalną książkę telefoniczną, plik formularzy dotyczących ubezpieczenia zdrowotnego, jakiś szkic wypracowania Mattie, katalog wydawniczy książek o lotnictwie, własnoręcznie zrobioną kartkę walentynkową, którą dała Jackowi rok temu. „Walentynie, kocham to, co robisz z moim umysłem”, przeczytała na frontowej stronie. Otworzyła ją. „...i to, co robisz z moim ciałem”. Zamknęła oczy.

Po chwili wróciła do papierów. Te, które już przejrzała, oparła o pierś i zaczęła kartkować pozostałe. Były tam między innymi spięte spinaczami wyciągi z konta Jacka. Oboje z Jackiem mieli osobne konta. Ona płaciła za swoje ubrania i Mattie, za jedzenie i inne rzeczy do domu, a Jack za całą resztę. Pieniądze, które udało mu się odłożyć, miały być dla nich, gdy przejdą na emeryturę.

Z trudem już otwierała oczy. Zebrała pozostałe papiery i włożyła je z powrotem do szuflady. Dopiero wtedy zauważyła, że w szparze utkwiała jakaś nieotworzona



koperta, śmieć pocztowy, kolejna propozycja do wyrobienia karty Visa. Bay Bank - 9,9 %. To bardzo stara przesyłka, pomyślała.

Wyjęła kopertę i już miała zamiar wyrzucić ją do kosza na śmieci, gdy z tyłu zauważyła jakieś notatki zrobione przez Jacka. Jeszcze jedna lista rzeczy do zapamiętania: zadzwonić do apteki w Ely Falls, zadzwonić do Alexa, depozyt w banku, wydatki w marcu, zadzwonić do Larry'ego Johnsona w sprawie podatków, zadzwonić do Finna w sprawie samochodu kempingowego. Finn, o ile dobrze pamiętała, był sprzedawcą dodge'a-plymoutha w Ely Falls. Kupili od niego cztery lata temu samochód kempingowy i od tamtej pory nie kontaktowali się z Tommym Finnem.

Odwróciła kopertę. Z tyłu był jeszcze jeden zapisek, także wykonany ręką Jacka. „Muire, 3.30”.

Kto to jest Muire? - zastanawiała się Kathryn. Randall Muire z banku? Czyżby Jack ubiegał się o pożyczkę?

Jeszcze raz obejrzała dokładnie kopertę. Sprawdziła datę na znaczku pocztowym. Wysłana była cztery lata temu.

Wsunęła kopertę do szuflady i zamknęła ją nogą.

Miała ogromną ochotę się położyć. Zamknęła za sobą drzwi gabinetu Jacka i weszła do pokoju gościnnego, swojego schronienia. Położyła się na kanapie przykrytej narzutą w kwiaty i momentalnie zasnęła.

Obudziły ją głosy - krzyczący, niemal histeryczny i drugi, spokojniejszy, ale usiłujący się przebić ponad tym pierwszym.

Kathryn wstała i otworzyła drzwi, a wtedy dźwięki dotarły do niej znacznie wyraźniej. Usłyszała Mattie i Julię, które były w salonie na dole.

Gdy Kathryn zeszła, obie klęczały na podłodze, Julia we flanelowej piżamie, Mattie w podkoszulku i szortach. Wokół nich walały się papiery do pakowania, rozrzucone na kształt groteskowego ogrodu: czerwone, złote, niebieskie i srebrne, omotane kilometrami kolorowej wstążki.

Julia spojrzała na Kathryn.

- Obudziła się i zeszła na dół - wyjaśniła. - Usiłowała zapakować swoje prezenty.

Mattie przywarła całym ciałem do dywanu, zwinięta w pozie embrionalnej.

Kathryn położyła się obok córki.

- Nie wytrzymam tego, mam - wyrzuciła z siebie Mattie. - Wszędzie go widzę. Jest w każdym pokoju, siedzi na każdym krześle, widzę go w oknach, na tapecie. Po prostu nie mogę tego znieść.



- Chciałaś zapakować prezent dla taty? - zapytała Kathryn, głaszcząc córkę po włosach i policzkach.

Mattie pokiwała głową i rozplakała się.

- Zabiorę ją do siebie - zdecydowała Julia.

- Która godzina?

- Minęła północ. Wezmę ją do domu i położę spać - powiedziała Julia.

- Pojadę z wami - oświadczyła Kathryn.

- Nie - zaprotestowała Julia. - Jesteś wyczerpana. Zostań tu i wracaj do łóżka. Ja zajmę się Mattie. Musi się gdzieś przenieść, w neutralne miejsce, do neutralnej sypialni.

Kathryn pomyślała, że to bardzo trafne określenie, ponieważ w głębi duszy czuła, że są zamieszane w jakąś wojnę, że mogą się stać ofiarami tej walki.

Gdy Julia pakowała torbę Mattie, Kathryn leżała cały czas obok córki, głaszcząc ją po plecach. Od czasu do czasu ramionami Mattie wstrząsały konwulsyjne dreszcze. Kathryn zaczęła jej śpiewać piosenkę, którą wymyśliła, gdy Mattie była dzieckiem. Zaczynała się tak: „M jak Matigan...”.

Gdy Julia i Mattie wyjechały, Kathryn poszła do swojej sypialni. Tym razem, czując się dużo silniejsza, wślizgnęła się pod kołdrę.

Nic się jej nie śniło.

Rano usłyszała szczekanie psa. Było coś niepokojąco znajomego w szczekaniu psa. Poczowała napięcie, podobne do tego, gdy człowiek staje na światłach i widzi, że samochód za nim jedzie zbyt szybko.

Włosy Roberta były wilgotne i świeżo uczesane. Wyraźnie widziała ślady grzebienia. Miał na sobie inną koszulę, błękitną, z materiału przypominającego drelich i ciemnoczerwony krawat. Koszula na drugi dzień, pomyślała leniwie.

Na blacie kuchennym stała filiżanka kawy. Robert trzymał ręce w kieszeniach spodni i przechadzał się po kuchni.

Spojrzała na zegarek. Była szósta czterdzieści. Czemu przyszedł tak wcześnie? - zastanawiała się.

Gdy zobaczył ją przy schodach, wyjął ręce z kieszeni i ruszył ku niej. Położył dłonie na jej ramionach.

- Co się stało? - zapytała z niepokojem.

- Wiesz, co to jest czarna skrzynka? - zapytał.

- Tak - powiedziała. - Urządzenie, które nagrywa wszystkie głosy w kokpicie.

- Zgadza się. Właśnie ją znaleźli.

- I?

Zawahał się. Sekundę.

- Mówią, że to było samobójstwo.

RS

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Obejmując ją ramieniem, idzie w kierunku samolotów. Wydają się zbyt małe, jak zabawki, na które wdrapują się dzieci, przechodzą przez nie, siadają w środku. Upał, mocny i piekący, promieniuje z chodnika. To męski świat, myśli Kathryn, z jego dziwnymi maszynami, salami odpraw, wieżą. Wokół niej wszystko jest z metalu, lśniące lub matowe w promieniach słońca.

Wydaje się przejęty, ale idzie zwawo. Samolot jest ładny, z białoczerwonymi oznakowaniami. Podaje jej rękę, gdy wchodzi na skrzydło, a potem przeciska się przez mały otwór kokpitu, którego rozmiar ją przeraża. Jak coś tak zasadniczego jak sterowanie samolotem może się odbywać w tak niepozornym wnętrzu? Latanie, które zawsze wydawało się Kathryn czymś nieprawdopodobnym, teraz jawi się jej jako wprost niemożliwe. Powtarza sobie, jak zwykle gdy jedzie samochodem z nieporadnym kierowcą lub znajduje się na drodze w czasie karnawałowych szaleństw, że to się wkrótce skończy, trzeba tylko jeszcze trochę wytrzymać.

Jack wciąga się na swoje miejsce. Ma okulary z opalizującymi, błękitnymi szklami. Mówi, żeby zapięła pasy, i podaje jej słuchawki, wyjaśniając, że ułatwią im porozumiewanie się w huku silnika.

Samolot podskakuje po wyboistym pasie startowym. Chwieje się i trzęsie. Chce mu powiedzieć, żeby się zatrzymał, że zmienia zdanie. Samolot nabiera szybkości, przestaje podskakiwać i unosi się w powietrze.

Serce tłucze się jej w piersi jak szalone. Jack odwraca się do niej, uśmiecha z pewnością siebie i rozbawieniem, jakby chciał powiedzieć: Będzie fajnie, tylko się odpręż.

Przed nią rozciąga się błękitna przestrzeń. Co stało się z ziemią? Ma przed oczami obraz samolotu, który wzbija się na niebotyczną wysokość, leciutko się przechyla, a potem spada, zgodnie z prawami natury. Jack pokazuje gestem za okno.

- Spójrz tylko - mówi.

Lecą nad wybrzeżem, tak wysoko, że powierzchnia wody wydaje się całkiem nieruchoma. Ocean jest ciemnognatowy. Na wyspie, którą można dostrzec z wybrzeża, widać sosny, całe połacie porośnięte sosnami. Dostrzega też łódź i biały ślad, jaki rysuje za sobą na wodzie. Ciemną plamę Portsmouth. Połyskujące skały Isles of Shoals. Szuka Ely, wydaje się jej, że je widzi, nawet drogę prowadzącą do domu Julii.

Jack przechyla samolot przed skretem, a ona wyciąga przed siebie ręce w geście samoobrony. Chce mu powiedzieć, żeby był ostrożny, ale natychmiast się powstrzymuje. To oczywiste, że będzie ostrożny. Nieprawdaż?

Jakby w odpowiedzi Jack gwałtownie skręca i podnosi samolot do góry, tak ostro, że wydaje się jej, jakby sprawdzał działanie praw fizyki. Jest przekonana, że spadną. Woła go, ale jest tak skupiony na tym, co robi, że nie odpowiada.

Grawitacja wciskają w fotel. Samolot wykonuje długą, pionową pętlę i przez sekundę, na samym szczycie, maszyna nieruchomieje, odwrócona do góry nogami, płamka zawieszona nad Atlantykiem. Chwilę potem samolot nurkuje na drugi koniec pętli. Kathryn krzyczy i łapie się czego popadnie. Jack rzuca jej jedno, szybkie spojrzenie i ustawia samolot w pozycji niemal pionowej w stosunku do ziemi. Obserwuje go, jak radzi sobie ze sterami, widzi jego spokojne ruchy, skupienie na twarzy. Zadziwia ją, jak człowiek może zmusić samolot do takich sztuczek - sztuczek z grawitacją, z prawami fizyki, z losem.

I nagle świat się wycisza. Jakby niespodziewanie dla samego siebie, samolot zaczyna spadać. Nie jak kamień, raczej jak liść, kołysząc się trochę i w pewnym momencie nurkując w prawo. Ze ściśniętym sercem patrzy na Jacka. Samolot obraca się jak szalony, nosem w dół. Zgięta w pałak, nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu.

Gdy korkociąg się kończy, znajdują się kilkadziesiąt metrów nad wodą. Widzi białe grzbiety fal, drgające na spokojnej powierzchni oceanu. Ku własnemu zaskoczeniu Kathryn wybucha płaczem.

- Wszystko w porządku? - pyta ją szybko, widząc łzy. Kładzie rękę na jej udzie. Potrząsa głową. - Nie powinienem był tego robić - mówi.

- Przepraszam. Myślałem, że ci się spodoba.

Odwraca się i patrzy na niego. Przykrywa ręką jego dłoń i bierze głęboki wdech.

- To było wstrząsające - mówi z całym przekonaniem.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

W samochodzie czuła się jak w chłodni. W pośpiechu zapomniała zabrać z domu rękawiczki i z trudem trzymała kierownicę. Ile stopni mrozu było na zewnątrz? Piętnaście? Dwadzieścia? Poniżej pewnego punktu właściwie przestaje to już mieć znaczenie, pomyślała. Czuła napięcie w ramionach, gdyż mocno pochylała się do przodu, starając się niczego nie dotknąć, nawet oparcia fotela, dopóki w samochodzie nie zacznie działać ogrzewanie.

Po wiadomości otrzymanej od Roberta, który zresztą nalegał, aby Kathryn nie dawała jej wiary, chciała jak najszybciej być z Mattie. Gdy stała przy schodach, patrząc na twarz Roberta, ogarnęło ją przemożne pragnienie zobaczenia córki. Wypełniało ją tak gwałtownie jak strumień wody słoik. Przebiegła obok Roberta i zarzuciła kurtkę na ubranie, w którym spała, włożyła buty i zdjęła z wieszaka kluczyki. Wsiadła do samochodu kempingowego, zjechała z długiego podjazdu, mijając przy bramie kilku mężczyzn, którzy biegli w jej stronę do domu, i przez spory kawałek drogi jechała z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Dopiero gdy na jakimś zakręcie o mało nie wpadła w poślizg, zatrzymała się na poboczu drogi z Fortune's Rocks do Ely. Siedziała z czołem opartym na kierownicy.

To nie mogło być samobójstwo, pomyślała Kathryn. Samobójstwo było nieprawdopodobne, niewyobrażalne. Nie do pomyslenia. Wykluczone.

Nie wiedziała, jak długo tak siedziała, może dziesięć minut. Potem ruszyła w dalszą drogę, tym razem wolniej, ogarnięta jakimś dziwnym spokojem - spokojem zrodzonym być może z wyczerpania - lub po prostu odrętwiała. Pojedzie do Mattie, powtarzała sobie, a to, co mówią o Jacku, okaże się nieprawdą.

Słońce wyłoniło się zza horyzontu, oświetlając zaśnieżone trawniki delikatnym różem i przecinając je długimi, błękitnymi cieniami drzew i samochodów. Miasto było jeszcze uśpione i ciche, chociaż gdzieś tam Kathryn widziała kłęby spalin za stojącymi na podjeździe autami, co oznaczało, że ich właściciele ogrzewali już szyby i wnętrze samochodu. Pod okapami dachów niektórych domów wisały sznury kolorowych lampek, a przez okna widać było przystrojone choinki. Minęła budynek kryty niebieskim gontem. W panoramicznym oknie wisi sznur kolorowych żarówek. „Wygląda jak sklep z częściami samochodowymi”, skomentował kiedyś Jack, gdy przejeżdżali obok razem.

Tak kiedyś powiedział. I nigdy już nie powie. Upływ czasu zaczynał na nią działać. Może już trochę przyzwyczała się do nieobecności Jacka. Myśl o tym, że on nie żyje, nachodząca ją z nagłą wśród innych myśli, wspomnienie o nim, jego



obraz, nie poruszyły nią tak gwałtownie jak poprzedniego dnia. Jak szybko umysł się przystosowuje, pomyślała, nawet jeśli dzieje się to w niezauważalny sposób. Może po całej serii szoków ciało uodparnia się jak po szczepieniu i każdy kolejny szok wywołuje już mniejszy efekt. A może ten chwilowy stan odrętwienia jest tylko ciszą przed burzą. Skąd ma wiedzieć? Nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś podobnego.

Jechała przez centrum Ely. Przed sklepami zapalały się światła. Ziemia kontynuowała swoją podróż na wschód i miasto Ely ukazało się jej w słońcu. Minęła sklep z artykułami metalowymi i tani magazyn Beekmana, który uchował się w cieniu wielkiego domu towarowego, postawionego przy drodze numer dwadzieścia cztery, chociaż na półkach często było tam mnóstwo kurzu i mało towaru. Minęła pusty budynek, w którym niegdyś mieścił się sklep z tkaninami, wyrabianymi w lokalnej fabryce tekstylnej, gdy jeszcze pracowała pełną parą. Minęła knajpkę Bobbin, jedyne miejsce w mieście, gdzie można było się napić i zjeść kanapkę. Lokal był otwarty, obok parkowały już trzy samochody. Spojrzała na zegarek. Siódma pięć. Za dziesięć minut wpadnie tu Janet Riley, nauczycielka ze szkoły średniej, i Jimmy Hirsch, agent z firmy MetLife, jedno na bułkę z kremowym serem, a drugie na kanapkę z jajecznicą. To prawda, że według zwyczajów niektórych ludzi można nastawiać zegarek, pomyślała Kathryn, a potem, z powodu zamyślenia do rutyny innych mieszkańców miasteczka, regulować go w ciągu dnia.

Kathryn doceniała pewne walory rutyny, która w domu Julii stanowiła niezbędną zaporę przed chaosem. Jack, oczywiście, również akceptował owe działania, zwłaszcza w swojej pracy, która wymagała od człowieka, aby stał się maszyną i w określonych warunkach zachowywał zawsze w ściśle określony sposób. Ale dziwne było to, że gdy tylko wysiadł z samolotu, nienawidził rutyny. Dopuszczał różne możliwości i zawsze był na nie przygotowany. W ich domu to on zwykle mawiał: „Dla odmiany wybierzmy się dziś na lunch do Portsmouth” lub „Zabierzmy Mattie ze szkoły i jedźmy na narty”.

Kathryn minęła budynek szkoły średniej, znajdujący się na granicy centrum miasta. Pracowała w niej już siedem lat, odkąd po sprowadzeniu się do Ely uzyskała specjalizację nauczycielską. Budynek był stary, z olbrzymimi oknami. Był już wiekowy, gdy Julia chodziła tutaj do szkoły. Obecnie uczęszczało do niej mniej uczniów niż za czasów Julii, kiedy w okolicy jeszcze dobrze prosperował przemysł.

W perspektywie kilku kolejnych przecznic Kathryn widziała za oknami białe domy z czarnymi okiennicami, stojące na niewielkich działkach, z których wiele

było ogrodzonych białymi płotami, przydającymi Ely sporo uroku. Domy pochodziły głównie z epoki wiktoriańskiej, ale zdarzały się także starsze, w stylu kolonialnym. Jednak już za granicą niewielkiego centrum zabudowa miasteczka stawała się coraz rzadsza i rozciągała jak cukierek toffi, a domy były oddzielone od siebie terenami leśnymi lub słonymi moczarami. Na końcu drogi, którą jechała Kathryn, mnie więcej po pięciu kilometrach, znajdował się kamienny dom.

Wjechała w dobrze sobie znany zakręt i samochód zaczął wspinać się na wzgórze. Nie widziała światła w domu, domyśliła się więc, że Mattie i Julia jeszcze śpią. Zatrzymała samochód, wysiadła i przez chwilę stała bez ruchu. Rano, między zanikającą ciszą nocy a nadchodzącym zgiełkiem dnia, zawsze zdarzał się taki moment, kiedy Kathryn wydawało się, że czas zatrzymuje się na ułamek sekundy, a cały świat zamiera w bezruchu i oczekiwaniu. Ziemia pokryta była cienką warstwą śniegu, który spadł trzy dni temu i jeszcze nie stopniał. Śnieg na skałach zamarzał, tworząc cienką warstewkę.

Dom Julii stał na wzgórzu, co czasami było utrapieniem, chociażby przy wnoszeniu zakupów, ale za to z okien roztaczał się przepiękny widok na zachód. Budynek był stary, z połowy dziewiętnastego wieku. Kiedyś należał do zabudowań gospodarczych odległej o prawie dwa kilometry farmy. Z jednej strony domu biegła wąska droga, z drugiej wznosił się kamienny murek. Za nim rozciągał się sad z pokrzywionymi jabłonkami, na których pod koniec lata pojawiają się różowe owoce.

Zatrzasnęła drzwi auta, poszła ścieżką prowadzącą do drzwi frontowych i weszła do środka. Julia nigdy nie zamykała domu, ani wtedy, gdy Kathryn była jeszcze mała, ani teraz, gdy inni uznali to za konieczne. W kuchni Kathryn rozpoznała znajomy, charakterystyczny zapach pomarańczowego biszkoptu i czosnku. Zdjęła kurtkę i położyła ją na krześle w salonie.

Dom nie był duży, ale wysoki na dwa piętra. Gdy zginęli rodzice Kathryn, Julia namówiła ją, aby zajęła ich sypialnię na samej górze. Po pewnym wahaniu Kathryn przeniosła tam swoje książki i biurko, które ustawiła przy oknie. Na pierwszym piętrze były dwie maleńkie sypialnie, z których jedną zajmowała Julia, na parterze zaś kuchnia i salon. Stały w nim meble, pochodzące z początków małżeństwa Julii - spłowiała, brązowa kanapa, dwa wyściełane krzesła, które powinny mieć nową tapicerkę, dywan, mały stolik i olbrzymi fortepian, zajmujący niemal całą pozostałą przestrzeń.

Trzymając się poręczy, Kathryn weszła po wąskich schodach na samą górę, do swojego dawnego pokoju. Sypiała w nim Mattie, gdy zostawała tu na noc, co zdarzało się dość często. Podeszła do okna i odrobinę rozsunała zasłony, aby

zobaczyć córkę. Mattie spała jak zwykle w pozycji embrionalnej, jej pluszowy tygrys leżał pod łóżkiem. Kathryn prawie nie widziała twarzy córki, cała była zakryta pościelą. Ciemne włosy rozsypały się na poduszce, pod kołdrą widać było zarys jej delikatnego ciała.

Kathryn cicho podeszła do krzesła przy łóżku, skąd mogła lepiej obserwować córkę. Nie chciała jej jeszcze budzić, nie była dostatecznie przygotowana na reakcję Mattie, gdy przypomni sobie wiadomość, jaką przyniósł poprzedni dzień. Ale Kathryn będzie przy niej, gdy to się stanie.

Mattie uniosła głowę z poduszki, odwróciła się i zmieniła pozycję.

Słońce było już nad horyzontem, światło dzienne usiłowało przebić się przez zasłony, tworząc jasną smugę po lewej stronie podwójnego mahoniowego łóżka, tego samego, na którym spali rodzice Kathryn. Kathryn zastanawiała się czasami, czy w tamtych czasach pary kochały się częściej niż teraz, z uwagi na to, że łóżka były dużo węższe. Mattie poruszyła się we śnie, jakby chciała się do czegoś przytulić. Kathryn podniosła pluszowego tygrysa i położyła go obok śpiącej córki. Przez chwilę czuła na palcach ciepły oddech Mattie. Potem, zapewne wyczuwając obecność matki, Mattie zeszywniała. Kathryn położyła się natychmiast obok córki i przytuliła się do niej. Mocno trzymała ją w objęciach i czuła jej przyspieszony oddech.

- Jestem tutaj - powiedziała.

Mattie milczała. Kathryn zwolniła uścisk i zaczęła głaskać córkę po włosach. Były grube, poskręcane w loki, jeszcze nierozczesane, co zwykle było pierwszą rzeczą, jaką Mattie robiła każdego ranka. Loki odziedziczyła po Jacku, kolor włosów po Kathryn. Po Jacku miała też błękitne oczy, każde w innym odcieniu, co jeszcze do niedawna napawało ją dumą. Była zdania, że taki znak, wyróżniający ją od innych, czyni ją w pewien sposób osobą wyjątkową. Jednak wraz z nadejściem okresu dorastania, w którym każda cecha, nawet odrobinę odróżniająca młodą osobę od jej rówieśników, wywołuje poważne frustracje, zaczęła nosić szkła kontaktowe, niwelujące różnicę odcieni. Oczywiście, zdejmowała je na noc.

Pościel poruszyła się, jakby ktoś szarpnął za nią od spodu. Kathryn delikatnie odsunęła kołdrę, która zakrywała twarz Mattie. Jej córka z całej siły zaciskała zęby na kawałku poszwy.

- Mattie, proszę cię. Udusisz się.

Kathryn próbowała wyciągnąć z jej ust materiał, ale Mattie nie zwalniała uchwytu. Słyszała, jak córka ciężko oddycha przez nos. Na jej powiekach wisiały łzy, gotowe upaść na poduszkę, gdyby tylko mrugnęła. Spojrzała na Kathryn z

blaganiem i gniewem w oczach. Kathryn zobaczyła, że mięśnie twarzy Mattie powoli się rozluźniają.

Jeszcze raz delikatnie pociągnęła za poszwę. Mattie niespodziewanie otworzyła usta i sama ją wypuściła.

- To nic nie da - powiedziała, gdy mogła już normalnie oddychać.

Mattie brała prysznic. Julia stała przy kuchence w krótkim, czerwonym szlafroku z tkaniny na pledy, zarzuconym na piżamę, pamiętającą jeszcze czasy prezydenta Cartera. Uważała, że nawet jeśli znudzi jej się jakiś strój, nie jest to jeszcze wystarczający powód, aby kupować nowy. Inna niepisana zasada Julii brzmiała: Jeśli nie wkładasz jakiegoś ubrania przez rok, należy je komuś dać.

Wyglądała na zmęczoną, jej skóra miała odcień kredy. Kathryn ze zdziwieniem zobaczyła, a może po prostu dopiero teraz zauważyła zgrubienie na karku Julii, przez co jej głowa i ramiona wydawały się bardziej wysunięte do przodu.

- Robert jest wciąż w pensjonacie? - zapytała Julia, a jej plecy przypominały miękką beczkę z czerwonego pledu.

- Nie - szybko odpowiedziała Kathryn, nie chcąc myśleć o Robercie ani o tym, co powiedział lub czego nie powiedział. - Spędził noc w pensjonacie, ale teraz jest u nas w domu.

Postawiła kubek z kawą na drewnianym stole, przykrytym ceratą, którą przytrzymywały pinezki. Przez lata cerata zmieniała kolor, z czerwonego na niebieski, a potem na zielony, ale jej powierzchnia wciąż była czysta i gładka.

Julia postawiła przed Kathryn talerz z jajecznicą i tostem.

- Nie mogę - powiedziała Kathryn.

- Zjedz. Nabierzesz sił.

- Mój żołądek...

- Nie pomożesz Mattie, jeśli nie będziesz miała dość siły. Widzę, że cierpisz, ale jesteś przede wszystkim matką tej dziewczyny i to jest teraz najważniejsze, czy ci się podoba, czy nie.

Zapadła długa cisza.

- Słucham? - zapytała Kathryn. Julia usiadła przy stole.

- Przepraszam - szepnęła. - Nerwy mi puszczają.

- Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć - powiedziała nagle Kathryn. Julia spojrzała na nią z uwagą.

- To plotka. Głupia. Okropna.

- Jaka?

- Wiesz, co to jest czarna skrzynka?

Julia odwróciła gwałtownie głowę w stronę drzwi. W progu stała Mattie, niepewna, co zrobić dalej, jakby zapomniała, jak się zachować. Wilgotne włosy zmoczyły na karku błękitną bluzę, sięgającą talii. Miała na sobie wąskie dżinsy, wystrzępione nogawki zachodziły na adidas. Jej stopy były wyraźnie skierowane do środka, co nadawało jej od pasa w dół dziecięcą sylwetkę, zadziwiająco kontrastującą z dojrzałą, kobiecą górą. Mattie wsunęła palce do kieszeni spodni i uniosła ramiona. Oczy miała czerwone od płaczu. Przechyliła głowę tak, że włosy opadły na jedną stronę. Jej wargi drżały. Nerwowo splotła włosy w węzeł, ale zaraz ponownie je rozpuściła.

- Cześć. Co się dzieje? - zapytała bohatersko, wpatrując się w podłogę. Kathryn odwróciła głowę. Nie chciała, aby Mattie widziała łzy, które napłynęły jej do oczu.

- Mattie - odezwała się, gdy już mogła mówić. - Usiądź i zjedz jajecznicę z grzanką. Prawie nic wczoraj nie jadłaś.

- Nie jestem głodna.

Mattie odsunęła krzesło, to, które stało najdalej od matki, i usiadła niepewnie na samym brzegu. Ramiona miała zgarbione, ręce złożone na kolanach, a stopy ułożone w kształcie litery V.

- Mattie, proszę - nalegała Kathryn.

- Mamo, nie jestem głodna, rozumiesz. Zabierz to.

Julia chciała się wtrącić, ale Kathryn spojrzała na nią i pokręciła głową.

- Zjedz cokolwiek - powiedziała z naciskiem.

- No dobrze, może grzankę - zgodziła się niechętnie Mattie.

Julia podała jej talerz z grzanką i filiżankę herbaty. Mattie odrywała od skórki małe jak hostia kawałki chleba i przeżuwała każdy powoli i beznamiętnie, aż zostawiła samą skórkę. Niczego więcej nie tknęła.

- Muszę iść do szkoły? - zapytała.

- Dopiero po feriach świątecznych - powiedziała Kathryn. Mattie była blada, wymizerowana, jakby uszły z niej siły życiowe.

Skóra między brwiami i na koniuszkach nozdrzy była zaczerwieniona i pokryta drobnymi krostkami. Siedziała zgarbiona nad oskubanym tostem, wpatrując się w nieapetyczny, zimny kwadrat na talerzu.

- Chodźmy na spacer - zaproponowała Kathryn.

Mattie wzruszyła ramieniem - tylko jednym - co było jeszcze bardziej zniechęcające, niż gdyby wzruszyła dwoma.

Na drzwiach kuchennych, nad głową Mattie, wisiała wyszywana choinka, kupiona na przedświątecznym kiermaszu parafialnym wiele lat temu i wyjmowana



z pudełka na strychu każdego roku na początku grudnia. Julia nie miała wielu ozdób świątecznych, lecz trzymała się zasady, żeby co roku wyjmować te, które wisiały rok wcześniej.

Boże Narodzenie. Kathryn nie chciała o tym myśleć, ale ten temat wciąż tkwił w zakamarkach umysłu, jak tępy ból głowy.

Wstała.

- Włóż kurtkę - powiedziała do Mattie.

Zimno ostudziło jej umysł, zmusiło ciało do szybszego ruchu. Za kamiennym domem droga zmieniała się w ścieżkę, która pięła się zakosami do Ely Mountain. Wzgórze nie było strome, porastały je ciemne sosny, dzikie sady jabłoni i połacie czarnych jagód, co tworzyło uroczy krajobraz. W późnych latach osiemdziesiątych firma budowlana chciała postawić na wzgórzu osiedle luksusowych domów, przygotowano nawet grunt i wykopano fundamenty. Jednak właściciel firmy zbankrutował po sześciu miesiącach recesji, która wycisnęła swe piętno na całym New Hampshire. Teraz wyrósł tam niewysoki zagajnik, a z wzniesionych fundamentów roztaczał się wspaniały widok na zachód, na Ely i Ely Falls, a także na całą dolinę.

Mattie nie włożyła czapki. Szła, trzymając ręce wciśnięte w kieszenie czarnej, błyszczącej kurtki. Kathryn już dawno przestała upominać Mattie, aby nosiła czapkę i zapinała kurtkę. Czasami, wychodząc po pracy ze szkoły, ze zdziwieniem obserwowała stojące na chodniku dziewczyny, które przy temperaturze czterdziestu stopni nosiły tylko flanelowe, porozpinane koszule, narzucone na cienkie podkoszulki.

- Mamo, zbliża się gwiazdka - powiedziała Mattie.

- Wiem.

- Co zrobimy?

- A co chcesz robić?

- Nie obchodzić świąt. Bo ja wiem. A może obchodzić. Naprawdę nie wiem.

- Może poczekamy kilka dni i wtedy zdecydujemy?

- Och, mamo!

Mattie zatrzymała się, wcisnęła zwinięte pięści w oczy i rozplakała się żałośnie. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Kathryn objęła ją, ale Mattie natychmiast wyswobodziła się z uścisku.

- Boże! Mamo. Kiedy wczoraj w nocy wyjęłam prezent dla niego... Mattie szlochała rozpaczliwie. Kathryn wyczuwała jednak, że jej córka jest zbyt poruszona, zbyt roztrzęsiona, aby znieść jej dotyk.

Kathryn zamknęła oczy i czekała. Wolno liczyła w myślach, tak jak robiła to wtedy, gdy starła sobie skórę o drzwi zmywarki lub przycięła oknem palec. Jeden, dwa, trzy, cztery. Jeden, dwa, trzy, cztery. Gdy usłyszała, że płacz nieco przycichł, otworzyła oczy. Lekko popchnęła córkę, jak to pewnie robi owczarek pilnujący owiec lub krów. Mattie była zbyt oszołomiona, by się opierać.

Kathryn podała jej chusteczkę i czekała, aż dziewczyna wytrze nos.

- Kupiłam mu płytę kompaktową - powiedziała Mattie. - Stone Tempie Pilots. Powiedział, że ich lubi.

Liście i zamarznęty śnieg utworzyły po obu stronach polnej drogi skomplikowane desenie. Ziemia była poryta koleinami.

- Mamo, nie róbmy gwiazdki w domu, dobrze? Nie wiem, czy zniosłabym teraz święta u nas.

- Urządzimy Boże Narodzenie u Julii - zaproponowała Kathryn.

- Będziemy przygotowywać pogrzeb?

Kathryn usiłowała nadążyć za Mattie, która narzuciła szybkie tempo marszu, a zadawane pytania wydobywały się z jej ust pod postacią obłoczków pary. Kathryn pomyślała, że Mattie zapewne zadawała sobie to pytanie przez całą noc i teraz wreszcie odważyła się wypowiedzieć je na głos.

Jednak nie umiała jej odpowiedzieć. Jeśli nie odnajdą ciała, czy będzie mogła urządzać pogrzeb, czy tylko uroczystości żałobne? A jeśli tylko uroczystości, to czy lepiej zrobić to teraz, czy może trochę poczekać? A co będzie, jeśli odbędą się uroczystości żałobne, a tydzień później znajdą ciało Jacka?

- Nie wiem - szczerze przyznała Kathryn. - Muszę porozmawiać z... Niemal wypowiedziała imię Roberta, ale w porę się powstrzymała.

- ...Julią - dokończyła.

Chociaż, ku własnemu zdziwieniu, to właśnie z Robertem chciała o tym porozmawiać.

- Muszę brać w tym udział? - zapytała Mattie. Kathryn zastanowiła się chwilę.

- Tak, powinnaś - uznała. - Wiem, że to bardzo trudne. Mówi się jednak, że lepiej być na pogrzebie ukochanej osoby. To rodzaj zamknięcia. Jesteś już na tyle duża, że możesz w tym uczestniczyć. Gdybyś była młodsza, nie zgodziłabym się.

- Nie chcę niczego zamykać, mamo. Nie mogę. Chcę, aby wszystko było jak dawniej.

Kathryn doskonale rozumiała, co jej córka ma na myśli. Ale jednocześnie czuła, że powinna zrobić dla Mattie to, co Julia zrobiła dla niej. Zastanawiała się, kiedy może przestać być rozsądną matką i przyznać, że czuje się tak samo zagubiona jak jej dziecko.

- Mattie, on nie wróci.

Mattie wyjęła ręce z kieszeni, skrzyżowała ramiona na piersi i zwinęła dłonie w pięści.

- Skąd wiesz, mamó? Jak możesz być tak absolutnie pewna?

- Robert Hart powiedział, że nikt nie przeżył. Że nikt nie mógłby przeżyć takiej eksplozji.

- Skąd on to wie? To nie było pytanie.

Przez pewien czas szły w milczeniu. Mattie zaczęła kołysać rękami i wyraźnie przyspieszyła. Przez chwilę Kathryn starała się za nią nadążyć, ale szybko się zorientowała, że nie powinna. O to właśnie chodziło.

Patrzyła, jak Mattie idzie coraz szybciej i szybciej, aż wreszcie zaczyna biec. Za zakrętem zniknęła jej z oczu.

Kathryn nie miała pojęcia, jak przeżyją święta Bożego Narodzenia, do których zostało już tylko siedem dni. Wypadek sprawił, że jej świat wypadł z toru i cała rodzina poruszała się teraz po zupełnie innej orbicie - wszyscy blisko siebie, ale jacyś inni.

Gdy Kathryn znalazła Mattie, dziewczyna siedziała na betonowych fundamentach. Ciężko oddychała, jak to się zdarzało po meczu hokejowym. Spojrzała na matkę.

- Przepraszam, mamó.

Kathryn rozejrzała się. Widok, na szczęście, pozostał taki sam. Po drugiej stronie wzgórza rozciągał się Atlantyk. Gdyby weszły na sam szczyt, zobaczyłyby ocean. Niemal było go czuć.

- Ogłosimy na jakiś czas moratorium w sprawie przeprosin, dobrze? - zaproponowała Kathryn.

- Wszystko będzie z nami dobrze, prawda, mamó?

Kathryn usiadła obok córki i objęła ją. Mattie położyła głowę na jej ramieniu.

- Z pewnością - powiedziała Kathryn. Mattie kopnęła grudkę śniegu.

- Wiem, że tobie też jest ciężko, mamó. Bardzo go kochałaś, wiem.

- Tak, kochałam.

- Widziałam kiedyś film dokumentalny o pingwinach. Znasz ich zwyczaje?

- Niezbyt dobrze - przyznała Kathryn.

Mattie wyprostowała się. Jej twarz nagle odżyła i nabrała rumieńców. Kathryn wysunęła rękę spod jej ramienia.

- No więc samiec wybiera sobie samicę ze stada, które czasami liczy setki sztuk. Nie mam pojęcia, jak one dostrzegają jakieś różnice, przecież wyglądają identycznie. A gdy już ją wybierze, udaje się na poszukiwanie pięciu gładkich

kamieni, które składa samicy pod nogami. Jeśli ona też go lubi, przyjmuje te kamienie i na nich powstanie nowe życie.

- Wzruszające - powiedziała Kathryn.

- Po obejrzeniu tego filmu pojechaliśmy z klasą do Bostonu, do oceanarium. I tam były pingwiny, które się parzyły. Mamo, to było cudowne. Samiec krył samicę i wyglądał jak leżący na niej koc, potem zakolysał się i nagle spadł. Oba ptaki wyglądały na wyczerpane, ale szczęśliwe. Delikatnie dziobały się po szyjach, jakby były zakochane. Tylko chłopak, który stał koło mnie, Dennis Rollins, straszny palant, nie znasz go, ciągle robił głupie uwagi. To było beznadziejne.

Kathryn delikatnie potargała włosy Mattie. Zbierało się jej na płacz.

- Wiesz mamo, ja już to robiłam.

Dłoń Kathryn znieruchomiała we włosach Mattie.

- Czy rozmawiamy o tym, o czym myślę, że rozmawiamy? - zapytała cicho.

- Jesteś wściekła?

- Czy jestem wściekła?

Kathryn potrząsnęła głową, oszołomiona. Powoli zamknęła usta. Nie wiedziała, co ją bardziej zdziwiło: wyznanie Mattie czy łatwość, z jaką je uczyniła.

- Kiedy? - spytała Kathryn.

- W zeszłym roku.

- W zeszłym roku?

Kathryn była zdumiona. To się zdarzyło rok temu, a ona o niczym nie wiedziała?

- Pamiętasz Tommy'ego? - zapytała Mattie.

Kathryn zamrugwała powiekami. Tommy Arsenault, o ile dobrze pamiętała, był ładnym, ciemnowłosym chłopcem o ponurym usposobieniu.

- Miałaś wtedy tylko czternaście lat - powiedziała z niedowierzaniem Kathryn.

- Prawie czternaście - sprostowała Mattie, jakby punktem honoru było rozpocząć życie seksualne jak najwcześniej, nawet w wieku trzynastu lat.

- Ale dlaczego? - zapytała Kathryn, czując od razu, że to głupie pytanie.

- Jesteś zdenerwowana.

- Nie. Nie jestem zdenerwowana. Jestem tylko... zaskoczona, tak mi się wydaje.

- Chciałam po prostu spróbować - powiedziała Mattie. Kathryn poczuła, że boli ją głowa. Widok ze wzgórza rozpraszał jej myśli. Zamknęła oczy. Mattie dość późno dostała okres, dopiero w grudniu zeszłego roku, i o ile Kathryn dobrze pamiętała, od tamtej pory miała tylko trzy miesiączki. A więc gdy to się stało, mogła nawet nie być jeszcze dojrzała seksualnie.

- Tylko raz? - zapytała Kathryn z nadzieją w głosie, której nie była w stanie ukryć.

Mattie zawahała się, jakby częstotliwość zbliżeń seksualnych była tematem zbyt intymnym, aby rozmawiać o tym z własną matką.

- Nie, kilka razy. Kathryn milczała.

- Wszystko w porządku, mamó. Nie mam z tym żadnych problemów. Nie kochałam go, nic z tych rzeczy. Chciałam się tylko dowiedzieć, jak to jest, i się dowiedziałam.

- Bolało?

- Na początku. Ale potem mi się spodobało.

- I byłaś ostrożna?

- Oczywiście, mamó. Myślisz, że narażałabym się na ryzyko? Jakby seks sam w sobie nie był ryzykiem.

- Nie wiem, co o tym myśleć.

Mattie zwinęła włosy w węzeł na karku.

- A co z Jasonem? - zapytała Kathryn, mając na myśli jej aktualnego chłopaka.

Ze wszystkich przyjaciół Mattie tylko Jason, wysoki blondyn pasjonujący się koszykówką, miał dość odwagi, aby zadzwonić wczoraj i zapytać, czy Mattie dobrze się czuje.

- Nie, nie robiliśmy tego. To z powodu jego religii. Powiedział, że nie może. Mnie to nie przeszkadza. Nie nalegam.

- To dobrze - zdołała wykrztusić Kathryn.

Ilekoć wyobrażała sobie ten moment w życiu Mattie, miała nadzieję, jak wiele matek, że jej córka pozna seks w połączeniu z miłością. A jak wyobrażała sobie rozmowę z córką na ten temat? Z pewnością nie tak.

Mattie uścisnęła ją.

- Biedna mama - powiedziała.

W jej głosie brzmiała drwina, ale też uczucie.

- Czy wiesz - zapytała Kathryn - że na początku osiemnastego stulecia w Norwegii ścinano każdą kobietę, która odbyła seks przedmałżeński, jej głowę zatykano na żerdzi, a ciało grzebano tam, gdzie ją ścięto?

Mattie spojrzała na nią w taki sposób, w jaki Kathryn wyobrażała sobie, że spojrzałyby na nią, gdyby dostała ataku serca.

- Mamó?

- To tylko historyczny szczegół - powiedziała Kathryn. - Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś.



- Chciałam to zrobić wcześniej, ale pomyślałam... - Mattie zagryzła wargi. - No więc, pomyślałam, że się zdenerwujesz i z pewnością powiesz wszystko tatusiowi. - Jej głos zadrżał na wspomnienie ojca. - Na pewno nie jesteś wściekła? - zapytała ponownie.

- Wściekła? Nie. Wściekłość nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi tylko o to... że to bardzo ważna część życia, Mattie. Naprawdę ma znaczenie. To coś szczególnego. Jestem o tym przekonana.

Kathryn czuła, że mówi banały. Czy seks to coś szczególnego? Czy cokolwiek znaczy? A może to tylko zupełnie naturalny akt, wykonywany biliony razy dziennie na całym świecie, na najbardziej nieprawdopodobne sposoby, niektóre wręcz przerażające? Tak naprawdę nie wiedziała, co myśli na ten temat, i zastanawiała się, jak często rodzice wpadają w pułapkę i mówią z sentymentem o sprawach, w które tak naprawdę wcale nie wierzą.

- Teraz to wiem - powiedziała Mattie. - Musiałam spróbować. Wzięła Kathryn za rękę. Palce Mattie były skostniałe z zimna.

- Pomyśl tylko o pingwinach - powiedziała pojednawczo Kathryn. Mattie roześmiała się.

- Mamo, jesteś zwariowana.

- Wiem o tym. Wstały.

- Mattie, posłuchaj mnie.

Kathryn spojrzała na córkę. Chciała powiedzieć Mattie o plotkach, o tych potwornych pogłoskach, o których i tak z pewnością niedługo się dowie. Jednak gdy uniosła w górę twarz córki i zobaczyła malujący się na niej ból, nie mogła się na to zdobyć. Robert powiedział, aby absolutnie nie wierzyła tym plotkom. Czemu więc miałaby ranić Mattie, tłumaczyła sobie. Jednak poczuła coś w rodzaju rodzicielskiej winy, to samo co zawsze, gdy odsuwała od siebie trudne problemy.

- Kocham cię, Mattie - powiedziała. - Nie masz pojęcia, jak bardzo cię kocham.

- Och, mamo, najgorsze jest to, że...

- Co? - zapytała Kathryn, odsuwając od siebie córkę i szykując się na kolejną rewelację.

- Tego ranka, gdy tata wyjeżdżał, przyszedł do mojego pokoju i zapytał, czy pójdę z nim na mecz w piątek, po jego powrocie. A ja byłam w złym humorze i chciałam się najpierw zorientować, co Jason będzie robił w piątek wieczorem, zapytałam więc, czy możemy z tym poczekać. I myślę... nie, ja wiem. On poczuł się zraniony, mamo. Wyczytałam to z jego twarzy.

Usta Mattie zaczęły drżeć. Kathryn pomyślała, że kiedy płacze, wygląda bardzo dziecinnie. Wciąż jest jeszcze dzieckiem.

Jak miała jej wytłumaczyć, że takie odrzucenia zdarzają się bez przerwy? Rodzice czują się zranieni i muszą się z tym pogodzić, widzą, jak dzieci odsuwają się od nich, najpierw niepostrzeżenie, a potem coraz bardziej zdecydowanie.

- On to zrozumiał - skłamała Kathryn. - Naprawdę. Rozmawialiśmy o tym, zanim wyjechał.

- Naprawdę?

- Żartował nawet, że gra teraz drugie skrzypce, ale naprawdę potrafił się z tym pogodzić. Kiedy robił sobie z czegoś żarty, to znaczyło, że wszystko jest w porządku.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę.

Kathryn zdecydowanie kiwała głową, chcąc, aby córka jej uwierzyła. Mattie pociągnęła nosem. Wytarła usta w rękaw kurtki.

- Masz jeszcze chusteczki? - zapytała. Kathryn dała jej jedną.

- Za dużo płakałam - powiedziała Mattie. - Czuję, że pęknie mi głowa.

- Znam to uczucie - odparła Kathryn.

Gdy wróciła, Julia siedziała przy stole. Zrobiła im gorącą czekoladę, którą Mattie wypila z przyjemnością. Sącząc ostrożnie gorący napój, Kathryn zauważyła, że Julia ma czerwone oczy. Z niepokojem pomyślała, że jej babka płakała, gdy została sama w domu.

- Dzwonił Robert - poinformowała ją Julia.

- Zatelefonuję do niego z twojej sypialni - powiedziała Kathryn.

Julia zajmowała, co było dość zaskakujące, najmniejszy pokój w całym domu. Zawsze podkreślała, że nie potrzebuje dużo miejsca. Stało w nim tylko pojedyncze łóżko, co było w zgodzie z wyznawaną przez nią filozofią, że mniej to więcej. Wnętrze nie było jednak pozbawione uroku, kobiecego wdzięku, który Kathryn utożsamiała z kobietami pokolenia Julii. Długie, marszczone zasłony z perkalu, wyściełane krzesło, obite jedwabiem w brzoskwiowym kolorze, różowa kordonkowa narzuta na łóżko i wreszcie mebel, którego Kathryn niemal już nie widywała - toaletka z firanką. Kathryn często wyobrażała sobie przy niej młodą Julię, układającą długie włosy, być może myślącą o mężu i nadchodzącym wieczorze.

Telefon stał na toalecie. Jakiś głos, którego Kathryn nie rozpoznała, odezwał się po pierwszym dzwonku.

- Czy mogę rozmawiać z Robertem Hartem? - zapytała.

- Kto mówi?

- Kathryn Lyons.

- Chwileczkę.

W słuchawce słyszała inne męskie głosy. Wyobraziła sobie swoją kuchnię pełną mężczyzn w garniturach.

- Kathryn.

- Co się stało?

- Dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest.

- Powiedziałem twojej babci.

- Tak myślałam.

- Przyjadę po ciebie.

- To zbyteczne. Przecież mam samochód.

- Zostaw go tam.

- Dlaczego? Co się stało?

- Potrzebuję wskazówek, jak dojechać.

- Robert.

- Są tu ludzie, którzy chcą ci zadać kilka pytań. Myślę, że powinniśmy przedtem porozmawiać. Poza tym chyba nie chcesz, aby przyjechali do domu Julii. Jest tam twoja córka.

- Robert, przerażasz mnie.

- Wszystko w porządku. Zaraz cię tu przywiozę. Kathryn powiedziała mu, jak dojechać.

- Robert, jakie pytania?

Po drugiej stronie linii zapadła krótka cisza. Wydawało jej się, że cisza jest absolutna, jakby wszystkie głosy w jej kuchni zamarły.

- Będę za pięć minut - powiedział.

Gdy Kathryn weszła do kuchni, Mattie dmuchała na czekoladę w kubku.

- Muszę jechać - oznajmiła Kathryn. - W naszym domu są pewni ludzie, z którymi muszę porozmawiać. Z linii lotniczych.

- W porządku - odparła Mattie.

- Zadzwoń do ciebie - obiecała Kathryn, całując córkę na pożegnanie.

Kathryn czekała na końcu podjazdu. Podniosła kołnierz kurtki, ręce trzymała w kieszeniach. Dzień był mroźny, powietrze suche i przejrzyste, ani podmuchu wiatru. Zwykle była to jej ulubiona pogoda.

Już z daleka zobaczyła nadjeżdżający samochód, szary kształt, poruszający się szybko na drodze z miasta. Robert zaparkował, pochylił się i otworzył jej drzwi.

Usiadła, odwracając się do niego przodem. Czowała, jak klamka uwiera ją w plecy. W jaskrawym słońcu widziała każdy szczegół jego twarzy: niebieskawy cień na

szczęce, gdzie rosłaby broda, gdyby się nie golił, fragment białej skóry poniżej bokobrodów, na granicy zeszłorocznej opalenizny, pogłębiony cień pod podbródkiem. Robert zaciągnął ręczny hamulec i zwrócił się w jej stronę, kładąc ramię, niby most, między dwa przednie fotele.

- Co? - zapytała.

- Pojawiło się dwóch inspektorów z wydziału bezpieczeństwa, którzy chcą z tobą porozmawiać.

- Przyszli do mojego domu?

- Tak.

- Muszę odpowiadać na ich pytania?

Odwrócił głowę i spojrzał na kamienny dom, a potem znowu na nią. Przez chwilę pocierał kciukiem górną wargę.

- Tak - odrzekł po namyśle. - Jeśli czujesz się wystarczająco silna. Zawsze możesz powiedzieć, że nie czujesz się na siłach.

Pokiwała powoli głową.

- Nie zdołam ochronić cię przed dochodzeniem w sprawie wypadku. Ani przed postępowaniem prawnym.

- Postępowaniem prawnym?

- Gdyby...

- Myślałam, że to tylko okrutna plotka.

- Bo tak jest. W tym momencie.

- Ale dlaczego? Co ja mogę wiedzieć? Co jest na tej taśmie? Robert zaczął stukać palcami wolnej ręki po kierownicy. Zastanawiał się.

- Jakiś Anglik, technik z brytyjskiego odpowiednika naszego wydziału bezpieczeństwa, który przebywał w pomieszczeniu, gdzie po raz pierwszy odsłuchano nagrania z czarnej skrzynki, zadzwonił do swojej znajomej z BBC w Birmingham. Najprawdopodobniej opowiedział jej o tych nagraniach. Trudno teraz na sto procent zakładać, jakie były jego i jej motywacje, aby ujawnić ten materiał, ale możemy snuć pewne przypuszczenia. CNN powtórzyło informację za BBC. A więc w najlepszym razie są to wiadomości z czwartej ręki.

- Jednak mogą być prawdziwe.

- Mogą.

Kathryn zmieniła pozycję na fotelu, prostując nogi. Skrzyżowała ręce na piersiach.

Robert wyjął z kieszeni koszuli kartkę białego, błyszczącego papieru. Wręczył jej faks.

- Tak dokładnie brzmiał komunikat nadany przez CNN - powiedział.

Faks był dość nieczytelny. Drukowane litery, niektóre źle odbite, przepływały jej przed oczami. Z wysiłkiem zaczęła czytać od samego początku.

CNN dowiedziało się ze źródła zbliżonego do ekipy przeprowadzającej dochodzenie w sprawie Vision Lot 384, że nagrania zarejestrowane w czarnej skrzynce mogą, podkreślamy, mogą sugerować sprzeczkę, która miała miejsce na moment przed eksplozją T-900, między kapitanem Jackiem Lyonsem, pilotem z Vision o jedenastoletnim stażu, a brytyjskim mechanikiem pokładowym Trevorem Sullivanem. Według niepotwierdzonych jeszcze informacji Sullivanowi zepsuły się słuchawki i w pięćdziesiątej ósmej minucie lotu sięgnął do służbowej torby kapitana Jacka Lyonsa. Przedmiot, który Sullivan wyjął z jego torby, mógł, ponownie podkreślamy, mógł być przyczyną eksplozji, która rozerwała na kawałki T-900 i spowodowała śmierć stu czterech pasażerów i załogi. Nasze źródła informują też, że zapis ostatnich kilku sekund Vision Lot 384 może wskazywać na to, że między kapitanem Lyonsem a mechanikiem Sullivanem doszło do szamotaniny, podczas której Sullivan krzychał

Dziś rano Daniel Gorzyk, rzecznik prasowy wydziału bezpieczeństwa, zdecydowanie zaprzeczył tym doniesieniom, które określił jako kłamliwe i nieodpowiedzialne. Powtórzmy raz jeszcze, że ten raport pochodzi z anonimowego źródła, od osoby, która twierdzi, że była obecna przy przesłuchiowaniu taśmy z czarnej skrzynki. Jak już informowaliśmy, skrzynka została znaleziona ubiegłej nocy w wodach niedaleko Malin Head w Republice Irlandii...

Kathryn zamknęła oczy i zapadła się głęboko w fotel.

- Co to znaczy? - zapytała.

Robert przez chwilę wpatrywał się w sufit auta.

- Po pierwsze, nie wiemy nawet, czy to prawda. Wydział bezpieczeństwa wystosował już ostry sprzeciw. Osoba, która przekazała te informacje, została natychmiast dyscyplinarnie zwolniona z pracy. Nie podano nazwiska tego człowieka, on sam też się nie ujawnił. Po drugie, nawet jeśli informacja jest prawdziwa, niczego jeszcze nie dowodzi. Nic również nie znaczy. To pewne.

- Ależ znaczy - zaoponowała Kathryn. - Coś się wydarzyło.

- Tak, coś się wydarzyło - przyznał Robert.

- Mój Boże - westchnęła.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wpatruje się w blat kuchenny, w zatłuszczone garnki i brudne szklanki, nieumytą patelnię, w nieapetycznie wyglądającą stertę gnijących w zlewie warzyw, w zmywarkę pełną czystych naczyń, które powinna wyjąć, zanim uprzątnie kuchnię. Z góry dobiegają stłumione dźwięki uderzeń w klawiaturę, a potem odgłos włączenia się do sieci.

Spogląda w dół na swoją wełnianą spódnicę, czarne rajstopy i wygodne pantofle. Tego popołudnia miała pozalekcyjne zajęcia z zespołem muzycznym i późno wróciła do domu. Wszyscy troje zjedli obiad prawie w kompletnym milczeniu, czego powodem było raczej zmęczenie, jak sobie to tłumaczyła, niż napięcie. Potem Jack poszedł do gabinetu, a Mattie do siebie, ćwiczyć na klarncie. Kathryn została w kuchni.

Wchodzi po schodach na piętro, do gabinetu męża. Staje cicho w drzwiach, trzymając w ręku kieliszek wina, i opiera się o framugę. Nie odzywa się, przez głowę przelatują jej tylko strzępy myśli, niedokończone zdania. Oznaki frustracji.

Być może za dużo wypła.

Jack patrzy na nią lekko zdziwiony. Ma na sobie flanelową koszulę i džinsy. Ostatnio nieco przytył, może z pięć kilogramów. Gdy nie dba o siebie, ma tendencję do przybierania na wadze.

- Co się stało? - pyta go.

- O co ci chodzi?

- Chodzi mi o to, że wróciłeś po pięciu dniach nieobecności w domu. Podczas obiadu słowem się do mnie nie odezwałeś. Chwilę porozmawiałeś z Mattie. A potem, oczywiście, zniknąłeś, zostawiając mnie z brudnymi naczyniami.

Wydaje się, że jest zaskoczony tymi oskarżeniami, podobnie jak, prawdę powiedziawszy, ona sama. Mruga oczami. Odwraca głowę do czegoś, co przeciąga jego uwagę na ekranie.

- Nawet teraz nie obchodzi cię to, co mówię. A w ogóle, co takiego piekielnie interesującego widzisz na ekranie komputera?

Jack zdejmuje ręce z klawiatury i kładzie łokcie na oparciach krzesła.

- O co ci chodzi? - pyta.

- O ciebie - mówi. - I o mnie.

- I?

- Nas nie ma - mówi. - Nas po prostu nie ma. - Pociąga łyk wina. - Ciebie nie ma - mówi. - Zwykle byłeś taki... sama nie wiem... romantyczny. Ciągle prawiliś

mi komplementy. A teraz nie pamiętam, kiedy ostatni raz powiedziałaś, że jestem piękna.

Drżą jej wargi, odwraca głowę. Słyszy głos swojej matki, dobiegający z piętra w domu Julii, i czuje, że zbiera się jej na wymioty. Błagalny głos matki, która prosi męża, aby jej powiedział, że jest piękna. Czyżby ten poniżający dialog tkwił we mnie cały czas i czekał na odpowiednią chwilę? - zastanawia się. Rodzaj groteskowego dziedzictwa?

Wzrusza ramionami. Nie chce jednak przejść nad tym do porządku dziennego. Już od miesiący Jack zachowuje się z dziwną rezerwą, jest nieswój, ciągle przepracowany. Nadmiar pracy można tolerować, myśli Kathryn, pod warunkiem, że ten stan się kiedyś skończy.

- Mój Boże - mówi, a jej głos podnosi się o ton. - Od miesiący nie wychodziliśmy razem na kolację. Gdy jesteś w domu, zawsze siedzisz przy komputerze.

Jack opiera się plecami o krzesło.

Co może odpowiedzieć mężczyzna, któremu żona zarzuca, że od dawna nie mówił jej, iż jest piękna? - zastanawia się Kathryn. Ze po prostu zapomniał? Że nadal tak sądzi, tylko tego nie mówi? Że w jego oczach wciąż jest olśniewająco piękna?

Gdy ludzie zaczynają się kłócić, pojawia się pewne niebezpieczeństwo, przyznaje Kathryn. Nawet jeśli wiedzą, że słowa, które wypowiadają, są jak najbardziej słuszne, zawsze im się wymknie coś, od czego nie ma już odwrotu. Nie mogą się cofnąć, wyhamować. Sama to czuje, i zaraz odczuje to Jack.

- Odpieprz się - mówi wolno Jack i wstaje z krzesła.

Kathryn wzdraga się. Nagle uświadamia sobie, że Mattie stoi na dole, przy schodach. Nie zauważyła jej, gdy wcześniej wyrażała swoje święte oburzenie.

- Mów ciszej - upomina męża.

Jack opiera ręce na biodrach. Jego twarz czerwienieje, co zdarza się zawsze, gdy jest wściekły, a więc dość rzadko. Nie mają za sobą długiej historii kłótni małżeńskich.

- Odpieprz się - powtarza. Tym razem głośniej, chociaż wciąż panuje nad głosem. - Tyram pięć dni bez wytchnienia. Wracam do domu, żeby się dobrze wyspać. Siadam przed komputerem, bo chcę się odrobinę zrelaksować. I zanim mrugnę okiem, przychodzisz tu i zaczynasz narzekać.

- A więc wracasz do domu, żeby się dobrze wyspać? - pyta z niedowierzaniem.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- To nie zdarzyło się tylko dzisiaj - mówi Kathryn. - Tak jest od wielu miesięcy.

- Miesiący? - Tak.
- Co mianowicie zdarza się od miesięcy?
- Jesteś nieobecny. Bardziej interesuje cię komputer niż ja.
- Odpieprz się - odpowiada i idzie w stronę schodów.

Kathryn słyszy, jak zbiega po stopniach. Słyszy, jak otwierają się drzwi lodówki, a zaraz potem dociera do niej dźwięk otwieranej puszkę piwa.

Gdy pojawia się w kuchni, Jack pije piwo jednym haustem. Potem odstawia z hukiem na blat pustą puszkę i patrzy przez okno.

Obserwuje jego profil, twarz mężczyzny, którego kocha. Ma zaczepnie wysuniętą szczękę, co ją przeraża. Już chce zrezygnować, podejść do niego i przeprosić, objąć i powiedzieć, że go kocha. Jednak zanim jest w stanie wykonać jakiś ruch, ponownie nachodzi ją uczucie opuszczenia, to właśnie chciała mu powiedzieć, i skrucha natychmiast ustępuje miejsca poczuciu krzywdy. Dlaczego miałyby się wycofać?

- Już ze mną nie rozmawiasz - oskarża go. - Mam wrażenie, że już cię nie znam.

Jego szczęki poruszają się wolno, zaciska zęby. Wrzuca puszkę do zlewu, pełnego brudnych naczyń.

- Chcesz, żebym odszedł? - pyta, patrząc na nią.

- Odszedł?

- Tak, czy chcesz z tym skończyć?

- Nie, nie chcę z tym skończyć - zastrzega się zaskoczona. - O czym tym mówisz? Zwariowałeś?

- Ja zwariowałem?

- Tak, właśnie ty. Powiedziałaś tylko, że za długo przesiadujesz przy komputerze, a ty...

- Ja zwariowałem? - powtarza, tym razem głośniej.

Gdy ją mija, próbuje go chwycić go za ramię i zatrzymać, ale on odpycha jej rękę. Stoi w kuchni jak skamieniała, wsłuchując się w szybkie, ciężkie kroki po schodach, trzask drzwi od gabinetu, przytłumione odgłosy gwałtownie przesuwanych na biurku przedmiotów i wrywanych kabli.

Odchodzi i zabiera ze sobą komputer?

A po chwili widzi przerażona, jak po schodach spada monitor.

Uderza w gipsową ściankę przy schodach. Fragmenty szarego plastiku i przydymionego szkła z roztrzaskanego ekranu lecą na stopnie i kuchenną podłogę. To bardzo spektakularny gest, głośny i teatralny.

Kathryn wzdycha, wie bowiem, że sprawy zaszły za daleko, co więcej to ona go sprowokowała.

I natychmiast przychodzi jej na myśl Mattie.

Gdy Kathryn powoli wchodzi na górę, omijając roztrzaskany monitor, na korytarzu pojawia się ubrana w piżamę Mattie.

- Co się stało? - pyta, chociaż Kathryn przypuszcza, że córka doskonale wie, co się stało, wszystko słyszała.

Jacka ogarniają wyrzuty sumienia po dokonaniu tego dziecinnego aktu, którego świadkiem było jego własne dziecko.

- Mattie - mówi Kathryn - tatuś zwał ze schodów swój komputer. Jest bałagan, ale nic się nie stało.

Mattie obrzuca ich oboje spojrzeniem, które mimo jej jedenastu lat doskonale oddaje całą sytuację. Jednak Kathryn widzi, że mina córki wyraża pełną wyższości czujność przemieszaną z czystym przerażeniem.

Jack odwraca się do Mattie i przytula ją do siebie. Ten gest jest jednoznaczny, uznaje Kathryn. Nie ma co udawać, że nic się nie zdarzyło. Ale chyba lepiej nie mówić tego głośno.

I wtedy Jack otwiera ramiona, i obejmuje także Kathryn. Wszyscy troje stoją na korytarzu, kołysząc się, płacząc i powtarzając, jak im przykro, całując się i tuląc do siebie, a potem śmiejąc się troszkę przez łzy, wycierają nosy w chusteczki higieniczne, które miała Mattie.

Tej nocy Kathryn i Jack kochają się tak, jak nie robili tego od miesiący - z pasją, jak gdyby odgrywali tę sztukę z otwartymi ustami, gryząc się, zaciskając uda i wykręcając sobie ręce.

To nocne apogeum namiętności zmienia, na pewien czas, charakter ich małżeństwa: częściej zaglądają sobie w oczy, mijając się w korytarzu, starają się mówić sobie nawzajem coś istotnego, podczas spotkań czule się całują, zarówno w domu, jak i przy samochodzie, a także kilka razy publicznie, co szczególnie cieszy Kathryn. Jednak po niedługim czasie wszystko się kończy, a ich stosunki wracają do normalnego stanu, jaki był wcześniej. To znaczy, że tak jak wszystkie inne pary, które zna Kathryn, żyją w stanie powolnego zamierania, czują, że każdego dnia odrobinę, choć bez męczarni, ich ubywa.

Co w sumie znaczy, myśli Kathryn, że jest to całkiem dobre małżeństwo.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nigdy przedtem nie widziała czegoś podobnego - ani w telewizji, ani w kinie, gdzie tego typu widowisko, co właśnie zrozumiała, traci swoją bezpośredniość, jaskrawość kolorów, grozę. Wzdłuż drogi przy plaży, w sporej odległości od skrzyżowania w stronę ich domu, parkowały samochody osobowe i mikrobusy, zagrzebane tylnymi kołami w piaszczyste pobocze. Na bocznych ścianach aut Kathryn zauważyła napisy WBZ, WNBC i CNN, obok biegł jakiś facet z kamerą. Zgromadzeni na drodze ludzie zaczęli się przyglądać ich samochodowi, interesowało ich, kto jest w środku. Robert siedział sztywny, mocno trzymając kierownicę, jakby w każdej chwili oczekiwał ataku. Kathryn walczyła ze sobą, aby nie odwrócić głowy lub nie zakryć twarzy.

- Przypomnij mi, czemu to zrobiliśmy? - zapytała cicho, ledwo poruszając wargami.

Dziennikarze i fotoreporterzy tłoczyli się przy drewnianej bramie, prowadzącej na teren posiadłości. Jack i Kathryn nie wybierali jej, została jeszcze z czasów, gdy był tu klasztor. Kathryn szczerze zdziwiła się, że brama wciąż działa: sami nigdy jej nie zamykali.

- Poślemy kogoś do twojej babki - powiedział Robert.

- Julii się to nie spodoba.

- Obawiam się, że raczej nie ma wyboru - zauważył Robert. - A być może będzie nam wdzięczna.

Wskazał ręką tłum wokół samochodu.

- Niedługo oni wszyscy będą na trawniku przed jej domem.

- Nie pozwolę, żeby zbliżyli się do Mattie - oznajmiła Kathryn.

- Moim zdaniem Julia wygląda bardzo groźnie - zauważył sarkastycznie Robert.

- Nie jestem pewien, czy chciałbym mieć z nią do czynienia.

Ktoś mocno uderzył w okno obok siedzenia pasażera. Kathryn wzdrygnęła się. Robert usiłował podjechać możliwie blisko bramy. Rozglądał się dokoła, szukając policjanta, ale nagle drogę zatarasowała im grupa mężczyzn i kobiet, krzyczących do nich przez szyby.

- Pani Lyons, słyszała pani nagranie?

- Czy to ona? Wally, czy to ona?

- Zrób jej zdjęcie.

- Czy może pani to skomentować? Czy sądzi pani, że to było samobójstwo?

- Kim jest ten facet w samochodzie? Jerry, czy on jest z linii lotniczych?

- Pani Lyons, jak wytłumaczyć...



Dla Kathryn głosy te brzmiały jak szczekanie psów. Krzyżące usta wydały jej się olbrzymie i zaślinione, barwy się uwydatniły, a potem nagle wyblakły. Pomyślała, że zaraz zemdleje. Jak to możliwe, że jest obiektem takiego zainteresowania, ona, która wiodła tak bardzo normalne życie?

- Jezus Maria! - zawołał Robert, gdy ktoś walnął obiektywem w szybę. - On rozbił aparat.

Kathryn wyprostowała się w fotelu, aby spojrzeć ponad głowami tłumu, i zauważyła Burtę Searsa, wysokiego, chudego mężczyznę, zgarbionego ze starości, który chodził tam i z powrotem pod bramą od strony domu. Miał na sobie tylko górną część munduru, jakby w pośpiechu nie mógł znaleźć reszty. Kathryn pomachała do niego przez przednią szybę, usiłując zwrócić jego uwagę, jednak Burt sprawiał wrażenie mocno przerażonego zaistniałą sytuacją, wodził nieprzytomnym wzrokiem dookoła, tak samo bezradny po swojej stronie bramy, jak oni po swojej. Zataczał rękoma niezgrabne koła, jakby kierował ruchem, co niezbyt dobrze mu wychodziło.

- Tam jest Burt - powiedziała. - Za bramą. Przeszedł już na emeryturę, ale najwyraźniej został wezwany na pomoc.

- Teraz ty prowadź - polecił jej Robert. - Zablokuj za mną drzwi. Jak on ma na nazwisko?

- Sears.

Płynnym ruchem, tak pewnym, że zanim ktokolwiek się zorientował, już było po wszystkim, Robert wysiadł z samochodu i zatrzasnął za sobą drzwi. Kathryn prześlizgnęła się niezgrabnie nad drążkiem zmiany biegów i usiadła na miejscu dla kierowcy, natychmiast blokując drzwi. Patrzyła, jak Robert, z rękoma w kieszeniach płaszcz, toruje sobie drogę przez tłum reporterów i dziennikarzy. Tak głośno zawołał „Burt Sears”, że wszyscy na moment zamarli w miejscu, przyglądając się kroczącemu przez tłum mężczyźnie. Kathryn powoli posuwała się do przodu, wykorzystując próżnię, jaka się za nim tworzyła.

Zastanawiała się, co by było, gdyby zbity tłum ludzi na drodze nie chciał się rozstąpić?

Patrzyła, jak Robert otwiera bramę. Dookoła samochodu wszędzie widziała kamery, kobiety w kostiumach, mężczyzn w wiatrówkach, ale wciąż posuwała się naprzód, ponaglana przez machającego do niej spod bramy Roberta. Przez chwilę zaniepokoiła się, że tłum wciśnie się za nią, wejdzie do domu jak procesja, groteskowa procesja z zamkniętą w aucie wdową, pszczołą w słoiku. Jednak niepisane prawo, o którym nie wiedziała i którego do końca nie rozumiała,

zatrzymało ich przed bramą, chociaż z łatwością mogli zepchnąć na bok Burta i Roberta. Gdy znalazła się na podjeździe, zatrzymała auto.

- Ruszaj - powiedział Robert, siadając na fotelu pasażera. Drżącymi rękoma uruchomiła samochód i wolno ruszyła do przodu.

- Jazda! - dorzucił dość obcesowo.

Gdy Kathryn zobaczyła kłębiący się przed bramą tłum, pomyślała, że jej dom będzie bezpiecznym schronieniem, gdy tylko uda im się tam dotrzeć. Jednak szybko zdała sobie sprawę, że to tylko złudzenie. Jej oczom ukazały się cztery auta zaparkowane na podjeździe, których nie widziała od bramy, jedno miało wciąż otwarte drzwi, a w środku dzwonił telefon. Cztery samochody oznaczały co najmniej tyle samo gości.

Wyłączyła silnik.

- Nie musisz tego robić teraz - powiedział.

- Kiedyś i tak będę musiała.

- Możliwe.

- Czy powinnam mieć prawnika?

- Związek zadba o to. - Położył dłoń na jej ramieniu. - Po prostu nie odpowiadaj tym facetom na żadne pytanie, o ile nie będziesz absolutnie pewna, co chcesz powiedzieć.

- Niczego nie jestem pewna - przyznała.

Byli w kuchni i w pokoju od frontu: mężczyźni w czarnych garniturach i Rita, którą poznała wczoraj, tym razem ubrana na popielato. Pierwszy podszedł do Kathryn potężny mężczyzna w owalnych okularach w drucianej oprawce, z włosami nazbyt wysmarowanymi żelem. Zauważyła, że kołnierzyk wpija mu się w szyję. Był czerwony na twarzy. Idąc kołysał się, w sposób typowy dla otyłych mężczyzn, torując sobie drogę brzuchem.

- Pani Lyons - powiedział, wyciągając do niej rękę. - Jestem Dick Somers.

Podala mu dłoń. Jego uścisk był formalny i wilgotny. Zadzwoił telefon i Kathryn poczuła wdzięczność do Roberta, że nie jest sama i nie musi podnieść słuchawki.

- Skąd? - zapytała.

- Jestem inspektorem z wydziału bezpieczeństwa. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Wszystkim nam jest bardzo przykro z powodu tej tragedii.

Z drugiego pokoju dobiegł Kathryn niski, spokojny męski głos z telewizora.

- Dziękuję - odparła.

- Wiem, że to bardzo ciężki czas dla pani i dla córki - dodał.

Na dźwięk słowa „córka” na jej twarzy musiał się pojawić wyraz niepokoju, zauważyła bowiem, że mężczyzna spojrział na nią badawczo.

- Niestety, muszę zadać pani kilka pytań - powiedział.

Na blacie w kuchni stało kilka styropianowych kubków po kawie, a na stole dwa jaskraworóżowe pudełka Dunkin' Donuts. Kathryn poczuła nagle ochotę na pączka, zwykłego pączka umoczonego w gorącej kawie, który rozpływa się w ustach. Przypomniała sobie, że od trzydziestu sześciu godzin nic nie jadła.

- To mój kolega, Henry Boyd. - Somers przedstawił jej młodego mężczyznę z jasnymi włosami.

Uścisnęła mu dłoń.

Podeszło do niej jeszcze czterech mężczyzn w mundurach Vision, każdy z czapką wetkniętą pod ramię, w mundurach ze złotymi guzikami i galonami, tak dobrze znajomymi, że Kathryn zapało dech w piersiach. Poinformowali ją, że pracują dla linii lotniczych, w biurze głównego pilota. Jak dziwnie brzmią te wyrazy współczucia, subtelności, wyważone kondolencje, kiedy wyraźnie widać, że oni wszyscy w napięciu czekają na wiadomości, pomyślała Kathryn.

Z grupy wystąpił mężczyzna o włosach w kolorze opiłków żelaza.

- Pani Lyons, jestem Bill Tierney, główny pilot - przedstawił się. - Rozmawialiśmy wczoraj chwilę przez telefon.

- Tak, pamiętam - powiedziała.

- Proszę mi pozwolić raz jeszcze wyrazić, w swoim imieniu i w imieniu linii lotniczych, jak bardzo jest nam przykro z powodu śmierci pani męża. Był doskonałym pilotem, jednym z naszych najlepszych.

- Dziękuję.

Słowa „bardzo przykro” zdawały się fruwać po kuchni. Dziwiła się, dlaczego te wszystkie wyrazy współczucia są tak samo wymęczone, takie do siebie podobne. Czy nie ma innego języka dla wyrażenia smutku? Zastanawiała się, ile razy główny pilot wyobrażał sobie, że kieruje te słowa do wdowy po jednym z jego pilotów, być może nawet ćwiczył je na głos. Tym młodym liniom lotniczym nigdy dotąd nie przydarzyła się taka katastrofa.

- Co może mi pan powiedzieć o nagraniu z czarnej skrzynki? - zapytała głównego pilota.

Tierney ściągnął wargi i potrząsnął głową.

- Nie wydano żadnego oficjalnego komunikatu w tej sprawie - oświadczył Somers, podchodząc do niej.

- Rozumiem - odparła Kathryn, zwracając się do inspektora. - Ale przecież pan coś wie, mam rację? Pan wie, co jest na tej taśmie?

- Niestety, nie wiem.

Ale za okularami w drucianej oprawce widziała jego spłoszone, wymijające spojrzenie.

Kathryn stała na środku kuchni, w zimowych butach, džinsach i kurtce, główny obiekt wnikliwej obserwacji. Poczowała się nieco zmieszana, jakby popełniła poważne uchybienie towarzyskie.

- Ktoś z państwa zostawił otwarty samochód - powiedziała, wskazując ręką w stronę podjazdu.

- Może usiądziemy w salonie - zaproponował Somers.

Czując się jak intruz we własnym domu, Kathryn weszła do frontowego pokoju, oświetlonego rozproszonym światłem wpadającym przez sześć okien. Wszystkie krzesła były zajęte poza wysokim fotelem na biegunach, stojącym przy oknie. Był to fotel Jacka, nie jej, i czuła się w nim jak karlica. Zauważyła, że ktoś wyłączył telewizor.

Somers najwyraźniej nadawał ton spotkaniu. Stał, podczas gdy pozostali siedzieli.

- Chciałbym pani zadać jedno lub dwa pytania - oznajmił, wkładając ręce do kieszeni spodni. - To trochę potrwa. Może nam pani opowiedzieć, jak zachowywał się pani mąż w niedzielę, tuż przed wyjazdem na lotnisko?

Kathryn zauważyła, że nikt niczego nie nagrywa ani nie robi notatek. Somers wydawał się jej aż nadto bezceremonialny. A zatem to nie jest oficjalna rozmowa, prawda?

- Nie mam zbyt wiele do powiedzenia - rzekła. - Zachowywał się jak zwykle. Około czwartej po południu wziął prysznic, włożył mundur, zszedł na dół i wyczyścił buty.

- A pani gdzie wtedy była?

- Spotkaliśmy się w kuchni. Żeby się pożegnać.

Słowo „pożegnać” wywołało ułucie smutku i Kathryn zagryzła wargi. Usiłowała przypomnieć sobie tę niedzielę, ostatni dzień pobytu Jacka w domu. W jej pamięci zapisały się fragmenty, kawałki wspomnień, migające jak srebrzyste błyski w ciemności. Miała wrażenie, że był to zwykły dzień, w którym nie zdarzyło się nic nadzwyczajnego. Pamiętała, że gdy przechodziła z kuchni do pralni widziała Jacka, który opierał stopę na wysuniętej szufladzie, a w dłoni trzymał kawałek starego koca w zieloną kratkę. Kiedy szedł potem do samochodu, zwróciła uwagę na jego długie ręce, nawet dłuższe niż zwykle, pewnie dlatego, że niósł ciężkie torby. Coś do niej powiedział przez ramię. Trzymała w ręku ścierkę. „Nie zapomnij zatelefonować do Alfreda. I umów się z nim na piątek”.

Wyczyścił buty. Wyszedł z domu. Powiedział, że wróci w czwartek. Marzła, stojąc w drzwiach, nieco zirytowana, że sam tego nie zrobił. To znaczy nie zadzwonił do Alfreda.

- Czy Jack telefonował do kogoś tego dnia? - zapytał Somers. - Z kimś rozmawiał?

- Nie mam pojęcia - powiedziała.

Zastanawiała się, czy Jack rozmawiał z kimś tego dnia? Oczywiście, mógł. O ile się orientowała, mógł rozmawiać nawet z dwudziestoma ludźmi.

Robert skrzyżował ręce na piersi. Wydawało się, że z wielkim zainteresowaniem studiuje stół z kubkami po kawie. Na stole leżały książki o sztuce, kamienny talerz, który przywieźli z Jackiem z Kenii, i emaliowana szkatułka z Hiszpanii.

- Pani Lyons - ciągnął Somers. - Czy pani mąż wydawał się czymś poruszony lub zmartwiony w dniu wyjazdu lub dzień wcześniej?

- Nie - odparła. - Nie zauważyłam nic odbiegającego od normy. Pamiętam, że zepsuł się nam prysznic. Męża trochę to zdenerwowało, ponieważ niedawno był naprawiany. Pamiętam, że prosił, abym zadzwoniła do Alfreda.

- Kim jest Alfred?

- Alfred Zacharian. Hydraulik.

- Kiedy prosił panią o kontakt z Alfredem?

- Właściwie dwa razy. Pierwszy raz na górze, na dziesięć minut przed wyjściem z domu. A potem gdy już szedł do samochodu.

- Czy Jack pił alkohol przed wyjazdem na lotnisko?

- Nie odpowiadaj - ostrzegł ją Robert.

Kathryn skrzyżowała nogi i pomyślała o winie, które razem z Jackiem pili do kolacji w sobotę, a także potem, i szybko przeliczyła, na ile godzin przed lotem wypił ostatni kieliszek. Co najmniej osiemnaście. A zatem w porządku. Jak to się mówi? Dwanaście godzin od butelki do sterów?

- W porządku - zwróciła się do Roberta. - Nie pił żadnego alkoholu - odpowiedziała Somersowi.

- Zupełnie nic?

- Ani kropli.

- Czy pani pakowała jego walizkę?

- Nie, nigdy tego nie robiłam.

- A jego torbę podręczną?

- Nie. Zdecydowanie nie. Nigdy do niej nawet nie zaglądałam.

- Czy zwykle rozpakowywała pani jego bagaż?



- Nie. To była sprawa Jacka. Zawsze sam zajmuje się swoim bagażem. Dotarli do niej słowa „sam zajmuje się”. Czas terazniejszy. Spojrzała na mężczyzn w pokoju, którzy badawczo na nią patrzyli.

Zastanawiała się, czy linie lotnicze także będą chciały ją przesłuchać. Być może powinnam jednak mieć adwokata, pomyślała. Ale jeśli byłoby to konieczne, czyż Robert by jej tego nie doradził?

- Czy pani mąż miał bliskich przyjaciół w Wielkiej Brytanii? - zapytał Somers. - Czy utrzymywał regularne kontakty z kimś z tego kraju?

- W Wielkiej Brytanii?

- W Anglii.

- Wiem, co to jest Wielka Brytania - odparła. - Nie rozumiem tylko związku tego pytania z omawianą sprawą. Znał wiele osób w Wielkiej Brytanii. Latał z nimi.

- Czy zauważyła pani, że na państwa kontach bankowych dokonano jakichś większych operacji, wpłat lub wypłat? - zapytał Somers.

Zadawała sobie pytanie, do czego to wszystko zmierza, co znaczy? Czuła się tak, jakby usuwał się jej grunt spod nóg, jakby w każdej chwili mogła wpaść w szczelinę.

- Nie rozumiem - zaczęła.

- Czy w ciągu ostatnich kilkunastu tygodni, lub wcześniej, zauważyła pani jakieś dziwne wpływy lub wydatki z waszych kont?

- Nie.

- Czy w ciągu ostatnich tygodni spostrzegła pani, że mąż dziwnie się zachowuje?

Dla dobra Jacka powinna odpowiedzieć na to pytanie. Chciała na nie odpowiedzieć.

- Nie - rzekła.

- Nic, co by panią zaskoczyło?

- Nic.

Do pokoju weszła Rita z linii lotniczych i wszyscy mężczyźni spojrzeli na nią. Pod żakietem nosiła ozdobną jedwabną bluzkę. Kathryn nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz miała na sobie kostium. Do szkoły niemal zawsze wkładała spodnie i sweter, czasami żakiet, a gdy pogoda była wyjątkowo paskudna, dzinsy i wysokie buty.

- Pani Lyons? - zwróciła się do niej Rita. - Telefonuje pani córka. Chciałaby z panią bezzwłocznie rozmawiać.

Kathryn, pełna niepokoju, zerwała się z fotela i udała za Ritą do kuchni. Spojrzała na zegar nad zlewozmywakiem. Była dziewiąta czternaście.

- Mattie - powiedziała, podnosząc leżącą na blacie słuchawkę.

- Mamo?

- Co się stało, kochanie?

- Mamo, zatelefonowałam do Taylor. Chciałam po prostu z kimś porozmawiać. A ona zachowywała się jakoś dziwnie.

Głos Mattie był spięty i podniesiony, Kathryn wiedziała, że ten ton zwiastuje nadciągającą histerię. Zamknęła oczy i przycisnęła czoło do drzwi szafki.

- Zapytałam ją, o co chodzi - mówiła dalej Mattie - a Taylor powiedziała, że w wiadomościach podali, że to było samobójstwo.

Kathryn mogła sobie wyobrazić twarz Mattie po drugiej stronie linii, szeroko otwarte oczy, rozbiegany, przerażony wzrok. Domyślała się, jak ta wiadomość dotknęła Mattie, jak jej córka przeżyła plotkę usłyszaną od Taylor. Taylor, będąc zupełnie normalną nastolatką, musiała być dumna, że pierwsza przekazała Mattie tę informację. A potem z jaką satysfakcją musiała dzwonić do wszystkich wspólnych przyjaciół, aby z detalami opowiedzieć im o reakcji Mattie.

- Och, Mattie - rzekła. - To tylko plotka. Media zawsze szukają takich sensacji i rozpowszechniają je, zanim informacja zostanie potwierdzona. To okropne. Nieodpowiedzialne. To nie jest prawda. Przysięgam, że to nie jest prawda. Jestem tu z przedstawicielami wydziału bezpieczeństwa linii lotniczych i oni zdecydowanie zaprzeczają takim plotkom.

Na linii zapanowała cisza.

- Ale, mamo - odezwała się po chwili Mattie. - A jeśli to okaże się prawdą?

- To nie jest prawda.

- Skąd ty to możesz wiedzieć?

Kathryn usłyszała nutę rozdrażnienia w głosie córki. Wyraźną i niewątpliwą. Czemu nie powiedziała jej wszystkiego w czasie porannego spaceru?

- Po prostu wiem - powiedziała. Znowu zapadła cisza.

- Zapewne masz rację - przyznała Mattie.

- Mattie, przecież znałaś swojego ojca.

- Może.

- Co to znaczy?

- Może go nie znałam - powiedziała Mattie. - Może był nieszczęśliwy.

- Gdyby twój ojciec był nieszczęśliwy, wiedziałabym o tym.

- Ale skąd można wiedzieć, że się kogoś naprawdę zna? - zapytała.

Postawienie tej kwestii chwilowo przerwało potok pytań i odpowiedzi, a Kathryn ogarnęła fala niepewności. Wiedziała jednak, że Mattie nie zniesie już więcej niepewności, niezależnie od tego, jak bardzo chciała prowokować matkę. Kathryn była tego pewna.

- To się czuje - powiedziała może bardziej zawadiacko niż z przekonaniem.
- Czy czujesz, że dobrze mnie znasz? - zapytała Mattie.
- Dość dobrze.

I nagle zdała sobie sprawę, że dała się zwabić w pułapkę. Mattie była w tym dobra, od zawsze.

- No więc, wcale mnie dobrze nie znasz - oświadczyła Mattie tonem, z którego przebijała zarówno satysfakcja, jak i strach. - Nie znasz nawet połowy moich myśli.

- W porządku - zgodziła się niechętnie Kathryn. - Ale to coś zupełnie innego.
- Wcale nie.

Kathryn zaczęła masować sobie nadgarstkiem czoło.

- Mamo, a jeśli to prawda, czy to znaczy, że tatuś zamordował tych wszystkich ludzi? Czy to byłoby morderstwo?

- Gdzieś ty to usłyszała? - zapytała szybko Kathryn, tak jakby Mattie była małym dzieckiem, które powtarza jakieś wulgarnie słowo, zasłyszane być może w szkole lub od kolegów.

Ale to słowo było wulgarnie. I przerażające. Tym bardziej przerażające, że wypowiedziane przez jej piętnastoletnią córkę.

- Nigdzie tego nie usłyszałam, mamo. Mogę przecież sama pomyśleć, prawda?
- Posłuchaj, Mattie. Poczekaj na mnie. Zaraz do ciebie przyjadę.

- Nie, mamo. Nie przyjeżdżaj. Nie chcę, żebyś przyjeżdżała. Nie chcę, żebyś opowiadała mi kłamstwa dla polepszenia sytuacji. Nie chcę słuchać żadnych kłamstw. Nie będę się lepiej czuła i nie chcę niczego udawać. Chcę, żebyś zostawiła mnie w spokoju.

Jak piętnastoletnia dziewczyna może z niezachwianym spokojem mówić taką prawdę? - zastanawiała się Kathryn. Prawda to coś, czego większość dorosłych nie jest w stanie tolerować. Być może młodość jest bliżej rzeczywistości, uznała, nie upłynęło bowiem dość czasu, aby nauczyć się udawania, tworzenia fikcji.

Kathryn stłumiła impuls, aby podnieść głos i po prostu przewyciężyć obawy i wątpliwości córki, ale wiedziała, że nie powinna teraz wywierać na nią presji.

- Mamo, tu są jacyś mężczyźni - powiedziała Mattie. - Tacy dziwni. Kręcą się wokół domu.

- Wiem, Mattie. To są ludzie z ochrony, którzy mają was chronić przed prasą, telewizją i ciekawskimi.

- Czy myślisz, że ktoś obcy będzie chciał wejść do środka? Kathryn nie chciała niepokoić córki więcej, niż to było konieczne.

- Nie, nie wejdą - uspokoiła ją. Ale prasa może być natarczywa. Posłuchaj, nie denerwuj się. Niedługo do was przyjadę.

- Dobrze - powiedziała Mattie bezbarwnym głosem.

Kathryn stała przez chwilę przy blacie kuchennym, trzymając w ręku słuchawkę. Żałowała, że rozmowa już się skończyła. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić natychmiast do Mattie, aby ją uspokoić, ale wiedziała, że to by nic nie dało. Doświadczenie mówiło jej, że współżycie z nastolatką wymaga czasami ustępstw. Kathryn odwiesiła słuchawkę i podeszła do drzwi frontowego pokoju. Oparła się o framugę. Skrzyżowała ręce na piersiach i obserwowała grupę pilotów i inspektorów.

Na twarzy Roberta malowało się pytanie.

- Czy wszystko w porządku, pani Lyons? - zapytał Somers z wydziału bezpieczeństwa.

- W porządku - odparła Kathryn. - Wszystko w porządku poza tym, że moja córka stara się pogodzić z myślą, że jej ojciec być może popełnił samobójstwo i skazał na śmierć sto trzy osoby.

- Pani Lyons...

- Czy wolno mi zadać panu pytanie, panie Somers?

Kathryn słyszała gniew w swoim głosie, tak jak przedtem w głosie Mattie. Być może złość jest zaraźliwa, pomyślała.

- Tak, oczywiście - ostrożnie powiedział inspektor.

- Znając materiały, które teoretycznie znajdują się w czarnej skrzynce, jaki inny scenariusz poza samobójstwem bierze pan pod uwagę?

Somers wydawał się zbity z tropu.

- Nie wolno mi teraz o tym dyskutować, pani Lyons. Kathryn wyprostowała ręce, splatając przed sobą dłonie.

- Ach tak? - rzekła spokojnie.

Spojrzała na swoje stopy, a zaraz potem na twarze siedzących w pokoju mężczyzn. Były oświetlone od tyłu, światłem z sześciu okien, i nad ich głowami tworzyły się aureole.

- A zatem mnie także nie wolno odpowiadać teraz na pańskie pytania - odparła.

Robert wstał.

- Nasza rozmowa dobiegła końca - oznajmiła.

Szła przed siebie po trawniku, chowając głowę przed wiatrem. Na trawie pokrytej szronem pozostawały odciski jej drobnych stóp. Po kilku minutach znalazła się przy wale z granitowych głazów, wypolerowanych przez morskie fale. Wskoczyła na kamień wielkości wanny i poczuła, że się z niego ześlizguje, a wtedy uprzytomniła sobie, że jedynym sposobem, aby utrzymać równowagę, jest posuwanie się do przodu, skakanie z jednego kamienia na drugi. Po chwili dotarła do „płaskiej skały”, nazwanej tak przez Mattie, gdy miała pięć lat i po raz pierwszy wędrowała po kamienistym brzegu. Od tego czasu płaska skała stała się ulubionym miejscem ich dwóch na piknik w upalne dni. Kathryn zeskoczyła z kamienia na otoczony głazami piaszczysty kawałek plaży wielkości pół metra kwadratowego - pomieszczenie na świeżym powietrzu, schronienie przed wiatrem, kryjówka. Odwróciła się plecami do domu i usiadła na wilgotnym piasku. Wysunęła ręce z rękawów i skrzyżowała na piersiach pod kurtką.

- Cholera - powiedziała do swoich stóp.

Szum morza wypełnił ją całą, wyrzucając z jej myśli głosy i twarze tych ludzi z domu, twarze powleczone cienką warstwą współczucia, ledwo przesłaniającą rysy nabrzmiałe ambicją, twarze o poważnych ustach pod uprzejmymi spojrzeniami. Wsłuchiwała się w łagodny grzechot kamyków, toczonych przez odpływające fale. Zawarte w tych kamykach wspomnienia przekomarzały się z nią, drażniły. Zamknęła oczy i usiłowała się skoncentrować, ale po chwili dała za wygraną i właśnie wtedy odnalazła je. Wspomnienia o ojcu i niej samej, siedzących w strojach kąpielowych na brzegu morza; przepływająca pod udami i łydkami woda poruszała drobnymi kamykami. Było lato, upalny dzień, a ona miała może dziewięć lub dziesięć lat. Pamiętała, że byli na Fortune's Rocks i że kamyki łaskotały jej skórę. Ale dlaczego ona i ojciec byli na plaży bez jej matki i Julii? Może Kathryn dlatego zapamiętała ten moment, że był taki rzadki, ona i ojciec sami, razem. On się śmiał, przypominała sobie dalej, śmiał się szczerze i wesoło jak dziecko, co także było rzadkością. I pomyślała wtedy, że mogłaby się połączyć z nim w tym śmiechu, ale tak była zaskoczona widokiem szczęśliwego ojca - szczęśliwego w jej obecności - że czuła więcej szacunku niż radości, i w efekcie była zakłopotana. I kiedy ją zapytał, co się dzieje, miała wrażenie, że jest rozczarowany. Zaczęła się więc śmiać, zbyt głośno, zbyt radośnie, w nadziei, że będzie dobrze, ale ta chwila już uleciała, a on wpatrywał się w morze. Pamiętała, że jej śmiech brzmiał jakoś pusto i sztucznie, a ojciec odwrócił się od niej i zamyślił tak głęboko, iż musiała krzyknąć, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

Kathryn rysowała esy-floresy na wilgotnym piasku. Oboje z Jackiem byli sierotami i między innymi to ich łączyło, pomyślała. Może nie prawdziwymi



sierotami, nie od urodzenia, ale stracili rodziców na tyle wcześnie, że nie zdawali sobie sprawy, co się naprawdę stało. Jack został sierotą w dość typowy sposób. Matka zmarła, gdy miał dziewięć lat, a jego ojciec, który nie był człowiekiem okazującym swoje uczucia, tak bardzo zamknął się w sobie po śmierci żony, że Jack zawsze czuł, że jest zdany na siebie. W przypadku Kathryn, chociaż jej rodzice byli fizycznie obecni, nie istnieli dla niej w sferze emocjonalnej, nigdy bowiem nie byli w stanie zapewnić jej podstawowej opieki, jakiej potrzebuje dziecko. Niemal przez całe dzieciństwo Kathryn mieszkała z rodzicami i Julią w wąskim kamiennym domu, pięć kilometrów na południowy zachód od miasta. To Julia pomagała finansowo jej rodzicom, odkąd ? stracili pracę po zamknięciu fabryki w Ely Falls. Julia, której mąż zmarł, gdy Kathryn miała trzy lata, utrzymywała ich wszystkich, prowadząc sklep z antykami. Fakt ten wcale nie wpłynął na polepszenie stosunków między matką Kathryn a Julią, która rządziła w domu, co nawet jej syn z trudnością akceptował. Jednak Kathryn, gdy była mała, wcale nie uważała, aby w jej rodzinie panowały jakieś nienormalne stosunki. W jej klasie, w której na początku było trzydzieści dwoje uczniów, ale ich liczba co roku się zmniejszała, aż tuż przed maturą zostało ich tylko osiemnaścioro, niemal wszystkie dzieci pochodziły z marginesu. Przyjaciółki Kathryn mieszkały w przyczepach samochodowych i w domach bez centralnego ogrzewania, były też takie, których ojcowie lub wujowie całymi dniami spali i w mieszkaniach musiało być ciemno. Rodzice Kathryn ciągle się kłócili i codziennie pili, ale nie to było nienormalne. Nienormalne było to, że nie zachowywali się jak dorośli.

Przez całe lata to Julia karmiła i dbała o Kathryn, uczyła ją czytać i grać na fortepianie, a także wyprawiała co rano do szkoły. Popołudniami Kathryn pomagała Julii w sklepie lub bawiła się na podwórku. Dzień w dzień oglądały mydlaną operę, jaką było życie jej rodziców, może nie zawsze z dystansu, ale z bezpiecznego miejsca w wysokim domu Julii. Niemal przez całe dzieciństwo ona i Julia odgrywały kuriozalne role rodziców w stosunku do matki i ojca Kathryn.

Gdy Kathryn rozpoczęła naukę w college'u w Bostonie, niejednokrotnie nachodziła ją myśl, że nie będzie już w stanie wrócić do Ely, że nie chce być więcej świadkiem niekończących się pijackich awantur między rodzicami. Jednak tamtego ciepłego stycznia, a było to podczas pierwszego roku studiów, rodzice wjechali samochodem do wody i utonęli. Kathryn odkryła, ku swojemu zdziwieniu, że bardzo nią to wstrząsnęło, jakby straciła dziecko, i gdy po podwójnym pogrzebie nadszedł czas powrotu do Bostonu, zrozumiała, że nie może opuścić ani Ely, ani Julii.

Doszła teraz do przekonania, że Julia spełniła swoją rolę wcale nie gorzej niż dwoje rodziców i że ona sama naprawdę miała szczęście.

Wzdrygnęła się, słysząc nagle czyjeś kroki na kamieniach. Nad nią stał Robert i mrużył oczy, a wiatr rozwiewał mu włosy.

- Miałem nadzieję, że im umkniesz - powiedział, zeskakując na piasek.

Kathryn włożyła z powrotem ręce w rękawy kurtki i usiłowała przytrzymać niesforne kosmyki, aby lepiej widzieć jego twarz.

Robert oparł się o kamień i przeczesał włosy palcami. Z kieszeni płaszcza wyjął zapalniczkę i paczkę papierosów. Osłonił się od wiatru, ale nawet skryty między skałami miał kłopoty z zapaleniem papierosa. Wreszcie mu się udało, zaciągnął się głęboko i zamknął zapalniczkę. Wsunął ją do kieszeni. Podmuchi wiatru natychmiast rozżarzył koniec papierosa.

Zastanawiała się, czy Robert Hart mówił prawdę? Naprawdę ucieszył się, że uciekła?

- Poszli już? - zapytała.

- Nie.

- I co będzie dalej?

- Oni są w porządku. Muszą to robić. Nie sędzę, aby naprawdę oczekiwali, że coś im powiesz.

Oparła łokcie na uniesionych kolanach i zgarnęła włosy w koński ogon.

- Musimy zorganizować pogrzeb - powiedziała. Pokiwała głową.

- Mattie i ja powinnyśmy uczcić pamięć Jacka - dodała. - Mattie powinna uczcić pamięć swojego ojca.

I nagle pomyślała, że to prawda. Pamięć Jacka powinna zostać uczczona.

- To nie było samobójstwo - oznajmiła. - Jestem tego pewna. Nad nimi zaskrzeczała mewa. Oboje unieśli głowy i spojrzeli na krążącego w powietrzu ptaka.

- Gdy byłam mała - rzekła Kathryn - często myślałam, że w przyszłym życiu chciałabym zostać mewą. Dopiero Julia powiedziała mi, jakie one są ohydne.

- Szczury morza - dorzucił Robert, gasząc niedopałek w piasku. Wsunął dłonie do kieszeni i jeszcze bardziej otulił się płaszczem. Widziała, że jest mu zimno. Skóra wokół jego oczu stała się biała jak papier.

Wyjęła kosmyk włosów z ust.

- Ludzie w Ely mówią - zaczęła - że nie należy mieszkać nad wodą. Zimą popada się w depresję. Aleja nigdy nie miałam depresji.

- Zazdroszczę ci - przyznał Robert.

- To znaczy ogarniało mnie przygnębienie, lecz nie z powodu oceanu. W ostrym świetle dnia zauważyła, że jego oczy są orzechowe.

- Ale morze jest przekleństwem dla okien - dodała, patrząc w stronę domu. - Sól je niszczy.

Robert ukucnął na piasku, gdzie było trochę cieplej.

- Kiedy Mattie była mała, bałam się tej bliskości oceanu. Musiałam cały czas mieć ją na oku.

Kathryn wpatrywała się w wodę, zastanawiając się nad niebezpieczeństwem, jakie ze sobą niesie.

- Dwa lata temu - powiedziała - niedaleko stąd utonęła dziewczynka. Miała pięć lat. Płynęła łódką ze swoimi rodzicami i wypadła za burtę. Nazywała się Wilhelmina. Pomyślałam wtedy, że to takie staroświeckie imię.

Pokiwał głową.

- Kiedy to się stało, mogłam myśleć tylko o tym, jak zdradliwy jest ocean, jak szybko pochłania swoje ofiary. To staje się tak szybko, nieprawdaż? W jednej minucie twoje życie jest jeszcze normalne, a w następnej już nie.

- Ty sama wiesz o tym najlepiej. Zagłębiła obcas w piasek.

- Myślisz, że mogło być gorzej - powiedziała Kathryn. - Mam rację?

- Tak.

- W samolocie mogła być Mattie.

- Tak.

- Tego bym nie zniosła. Po prostu nie zniosłabym. Otrzepał ręce z piasku.

- Powinnyście wyjechać - rzekł. - Razem z Mattie.

- Wyjechać?

- Na Bahamy. Na Bermudy. Spędzić tam kilka tygodni, aż się wszystko uspokoi.

Kathryn wyobraziła sobie, że jest teraz z Mattie na Bermudach, i potrząsnęła głową.

- Nie mogłabym tego zrobić - oświadczyła. - Pomyśleliby, że mają rację co do Jacka. Pomyśleliby, że uciekłyśmy. A poza tym Mattie by się nie zgodziła. Nie sądzę, aby tego chciała.

- Rodziny niektórych pasażerów pojechały do Irlandii - wtrącił.

- I co? Mieszkać w motelu z setką innych oszalałych z bólu rodzin? Albo chodzić na miejsce katastrofy i czekać, aż pletwonurkowie wyłowią szczątki ciała? Nie, to nie dla mnie.

Zaczęła przeszukiwać kieszenie kurtki. Zużyta chusteczka. Monety. Nieaktualna karta kredytowa. Kilka banknotów. Dropsy.

- Chcesz? - zapytała, częstując go cukierkami.

- Dziękuję.

Robert, zmęczony kucaniem, usiadł na piasku i oparł się plecami o kamień. Zniszczy sobie płaszcz, pomyślała.

- Tu jest bardzo pięknie - przyznał. - Cudowny zakątek świata.

- Zgadza się.

Wyprostowała nogi. Piasek wydawał się jej wyjątkowo ciepły.

- Dopóki coś się nie wyjaśni, prasa i inne media będą bezlitosne - ostrzegł ją. - Przykro mi z tego powodu.

- To nie twoja wina.

- Doprawdy, nigdy jeszcze nie widziałem takich scen jak dziś pod bramą.

- Bałam się.

- Przywykłaś tu pewnie do spokojnego życia.

- Spokojne, normalne życie. - Pokiwała głową.

Robert oparł łokcie na kolanach i splótł przed sobą dłonie.

- Jak wyglądało twoje życie przed tym, co się stało? Co zwykle robiłaś?

- Codziennie co innego. Który dzień cię interesuje?

- No, nie wiem. Mogą być czwartki.

- Czwartki. - Pomyślała chwilę. - W czwartki Mattie miała zajęcia sportowe. Ja odbywałam w południe próby z zespołem szkolnym. W szkolnej restauracji na lunch podają w czwartki pizzę. My zwykle jadałyśmy na kolację pieczonego kurczaka. A wieczorem oglądałyśmy serial w telewizji.

- A Jack?

- Jeśli był w domu, to był. Robił to samo. Gry. Pieczony kurczak. Serial. A ty? Co robisz, jeśli nie pracujesz dla związku?

- Jestem instruktorem - powiedział. - W wolnym czasie udzielam lekcji latania na lotnisku w Wirginii. To zwykle pastwisko, z kilkoma starymi samolotami typu Cessna. Jest bardzo zabawnie - pod warunkiem że można zejść na dół.

- Nie możesz zejść na dół?

- Nie ja, lecz uczniowie podczas pierwszego lotu. Zaśmiała się.

Siedzieli w milczeniu, oparci plecami o kamienie. Monotonny szum oceanu działał uspokajająco.

- Może powinnam się zająć organizowaniem uroczystości żałobnych - powiedziała po chwili.

- Zastanawiałaś się, gdzie chcecie to zrobić?

- Może w kościele pod wezwaniem Świętego Józefa w Ely Falls - odparła po namyśle. - To najbliższy kościół katolicki.

Zamilkła.

- Z pewnością zdziwią się, gdy mnie tam zobaczą - dodała.

- Chryste - powiedział nagle Robert.

Poczuła, jak ciągnie ją za rękaw, pomagając wstać. Odwróciła się, aby zobaczyć, co go tak zdenerwowało. Młody mężczyzna z końskim ogonem celował w nich obiektywem wielkości telewizora. Kathryn zobaczyła ich odbicia w olbrzymiej soczewce.

Usłyszała ciche, profesjonalne pstryk, pstryk, pstryk.

Gdy wróciła, byli w kuchni: Somers związał w dłoniach faks, a Rita rozmawiała przez telefon. Nie zdejmując kurtki, Kathryn oznajmiła, że chce wygłosić krótkie oświadczenie. Somers podniósł oczy znad faksu.

- Mój mąż Jack nigdy nie przejawiał w mojej obecności ani w obecności innych osób żadnych skłonności do załamania nerwowego, do narkotyków, alkoholu, do depresji, nie miał żadnych niedomagań fizycznych - powiedziała.

Obserwowała, jak Somers składa faks na cztery części.

- O ile się orientuję - mówiła dalej - był całkowicie zdrowy, fizycznie i psychicznie. Byliśmy szczęśliwym małżeństwem. Byliśmy szczęśliwą, normalną rodziną, żyjącą w niewielkiej społeczności. Nie odpowiem więcej na żadne pytanie bez obecności prawnika i nie pozwolę zabrać z tego domu niczego bez prawnego nakazu. Jak państwo wiecie, moja córka przebywa u mojej matki w mieście. Żadna z nich nie może być w żaden sposób niepokojona. To wszystko.

- Pani Lyons - powiedział Somers. - Kontaktowała się pani z matką Jacka?

- Jego matka nie żyje - szybko odrzekła Kathryn.

I wówczas, po ciszy, jaka zapadła, zrozumiała, że coś jest nie tak. Być może wskazywała na to uniesiona brew, ślad uśmiechu na twarzy Somersa. A może dopiero później zrozumiała te sygnały. Cisza była tak absolutna, że mimo obecności dziewięciu osób w pomieszczeniu, słychać było szum lodówki.

- Chyba nie ma pani racji - powiedział wreszcie Somers, wsuwając złożony faks do kieszeni marynarki.

Wydawało jej się, że podłoga faluje, czuła się jak podczas jazdy na karuzeli.

Z drugiej kieszeni Somers wyjął wyrwaną kartkę z notesu.

- Matigan Rice - przeczytał. - Dom Spokojnej Starości, Forest Park, 47 Adams Street, Wesley, Minnesota.

Jazda była coraz szybsza i nagle droga opadła o półtora metra. Kathryn poczuła zawroty głowy.

- Siedemdziesiąt dwa lata, urodzona 22 października 1924 roku - czytał dalej. - Trzy razy wychodziła za mąż. Trzy razy się rozwodziła. Pierwszym mężem był



John Francis Lyons. Jeden syn, John FitzWilliam Lyons, urodzony 18 kwietnia 1947 roku w Faulkner Hospital, w Bostonie.

Kathryn poczuła, że ma zupełnie suche wargi, i zwilżyła je językiem. Być może coś źle zrozumiała.

- Matka Jacka żyje? - zapytała.

- Tak.

- Zawsze mówił...

Przerwała. Pomyślała o tym, co zawsze mówił Jack. Matka zmarła, gdy miał dziewięć lat. Na raka. Kathryn spojrzała na Roberta i z wyrazu jego twarzy wywnioskowała, że on także jest zaskoczony. Pomyślała o tym, z jaką pewnością siebie wygłosiła przed chwilą to oświadczenie.

- Najwyraźniej się mylił - rzekł Somers. Kathryn pomyślała, że inspektora bawi ta sytuacja.

- Jak ją pan odnalazł? - zapytała.

- Ewidencja ludności.

- A ojciec Jacka?

- Nie żyje.

Usiadła na najbliższym krześle i zamknęła oczy. Czuła się tak, jakby była pijana, kuchnia nieprzyjemnie wirowała.

Przez cały ten czas, pomyślała, nic o tym nie wiedziałam. Przez cały ten czas Mattie miała babcię. Babcię, której imię nosiła.

Ale dlaczego? - zadawała sobie pytanie.

Jack, dlaczego? - pytała w myślach swojego męża.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Spacerują po plaży we mgle. Mattie, w kurtce z napisem Red Sox, biegnie przed nimi, szukając krabów. Plaża jest pusta i płaska, wije się jak spiralna muszla, a piasek w kolorze wymytego przez fale drewna inkrustowany jest przy brzegu wodorostami, wyglądającymi z daleka jak egzotyczne kaligrafie. Za wałem widać letnie domy, teraz zupełnie puste. Kathryn zbyt późno uprzytomniła sobie, że powinna kazać Mattie, która ma dopiero pięć lat, zdjąć buty.

Jack kuli się z zimna. Ma na sobie skórzaną kurtkę, którą nosi nawet w najchłodniejsze dni, i nie chce zainwestować w ciepłą parkę, a może jest zbyt próżny, tego nigdy nie była pewna. Spod jej kurtki wystaje długa flanelowa koszula, a wokół szyi ma zawiązany wełniany szalik.

- Co się stało? - pyta.

- Nic - odpowiada Jack. - Wszystko w porządku.

- Jesteś jakiś przygaszony.

- Nic mi nie jest.

Idzie z rękoma w kieszeni, patrząc przed siebie. Usta ma zaciśnięte. Kathryn zastanawia się, co mogło go wprawić w zły humor.

- Czy to ja coś zrobiłam? - pyta.

- Nie.

- Mattie gra jutro w piłkę - mówi Kathryn.

- Świetnie.

- Przyjdiesz na mecz?

- Nie, mam lot. Zapada cisza.

- Wiesz co? - mówi Kathryn. - Od czasu do czasu poproś o taki rozkład, który da ci więcej wolnego czasu. Mógłbyś wtedy częściej bywać w domu.

On milczy.

- Mattie tęskni za tobą.

- Posłuchaj - mówi Jack. - Nie pogarszaj sytuacji, która i tak jest dla mnie wystarczająco zła.

Kątem oka Kathryn widzi Mattie, zataczającą kółka na piasku. Czuje się oszołomiona, jakaś nienaturalna siła grawitacji przyciąga ją w stronę mężczyzny, który idzie obok niej. Zastanawia się, co mu jest. Może to po prostu zmęczenie. Słyszała różne opowieści, statystyki: większość pilotów umiera jeszcze przed odejściem na emeryturę, to znaczy zanim skończą sześćdziesiąt lat. To przez ten stres, związany z nietypowymi godzinami pracy. To niszczy organizm.

Przysuwa się do niego, obejmuje go, czując, że jego ramiona są nienaturalnie naprężone. Jack patrzy przed siebie.

- Jack, powiedz mi. Co się dzieje?

- Daj spokój, dobrze?

Urażona puszcza jego ramię i idzie dalej.

- To ta pogoda - mówi, usiłując za nią nadażyć. - Sam zresztą nie wiem.

Teraz przybiera skruszony ton. Stara się załagodzić sytuację.

- Co jest takiego z pogodą? - pyta chłodno Kathryn, nie dając się tak łatwo udobruchać.

- Ta szarość. Mgła. Nienawidzę tego.

- Nie sądzę, aby ktokolwiek to lubił - mówi od niechcienia.

- Kathryn, ty nic nie rozumiesz.

Wyjmuje ręce z kieszeni i stawia kołnierz kurtki, chroniąc się przed chłodem. Wydaje się, że wciska się w nią głębiej.

- Dzisiaj są urodziny mojej matki - mówi cicho. - A właściwie byłyby.

- Och, Jack. - Kathryn podchodzi do niego. - Powinieneś był mi powiedzieć.

- Ty masz szczęście - mówi Jack. - Jesteś szczęśliwa, bo masz Julię. Mówisz, że nie miałaś rodziców, ale tak naprawdę miałaś ich.

Czy w jego głosie słyszy nutę zazdrości?

- Tak, jestem szczęśliwa, że mam Julię - przytakuje.

Twarz Jacka jest czerwona z zimna, oczy załzawione od wiatru.

- Bardzo przeżyłaś śmierć matki? - pyta.

- Nie lubię o tym mówić.

- Wiem, że nie lubisz - mówi łagodnie. - Ale czasami rozmowa może pomóc.

- Wątpię.

- Długo chorowała? Zawahał się.

- Niezbyt długo. To poszło szybko.

- Co jej było?

- Mówiłem ci już. Nowotwór.

- Tak, wiem. Ale czego? Jack wzdycha lekko.

- Piersi - wyjaśnia po chwili. - Wówczas nie było jeszcze takich lekarstw i terapii...

Kathryn kładzie mu rękę na ramieniu.

- To okropne, gdy traci się matkę w takim wieku - mówi.

Był tylko o cztery lata starszy od Mattie, myśli. To odkrycie powoduje, że ogarnia ją dreszcz. Przeraza ją myśl, że Mattie mogłaby zostać bez matki.

- Mówiłeś, że była Irlandką.

- Urodziła się tam. Miała piękny głos, piękny akcent.
- Miałaś jeszcze tatę. Jack westchnął z pogardą.
- Tata to niewłaściwe określenie. Mój ojciec był skurwysynem. Słowo, którego użył Jack, szokuje ją.

Odpina suwak w kurtce Jacka i wsuwa pod spód rękę.

- Jack - mówi.

Jego ciało trochę się odpręża. Jack przytula do piersi jej głowę. Pachnie skórą i morzem.

- Nie wiem, co się dzieje - mówi. - Czasami boję się czegoś. W takie szare dni jak dziś czasem wydaje mi się, że w środku nic nie mam. W nic nie wierzę.

- Masz mnie - mówi szybko.

- To prawda.

- Masz Mattie - dodaje.

- Wiem, wiem. Oczywiście.

- Czy my ci nie wystarczamy? - pyta.

- Gdzie jest Mattie? - Jack nagle odrywa się od niej.

Kathryn biegnie do przodu, rozglądając się po plaży. Jack dostrzega ją pierwszy, mignięcie czerwieni wśród szarych fal. Kathryn, sparaliżowana, obserwuje, jak Jack biegnie po piasku i wskakuje do wody. Czeka długą jak wieczność minutę i wreszcie widzi, że Jack wyciąga Mattie z wody, jak szczeniaka. Trzyma córkę w pół, twarzą do dołu i Kathryn wydaje się przez moment, że potrząśnie nią jak mokrym psiakiem. Ale nagle słyszy znajomy płacz. Jack klęka na plaży, zdejmując kurtkę i owijają ją drobne ciało. Gdy Kathryn dobiega do nich, Jack wyciera twarz córki rogiem koszuli. Mattie wydaje się oszołomiona.

- Fala ją przewróciła - mówi Jack, ciężko łapiąc oddech. - Porwał ją prąd.

Kathryn bierze Mattie na ręce i tuli ją do siebie.

- Idziemy, Jack, szybko. Za chwilę całkowicie przemarznie. Prawie biegną w stronę domu. Mattie kaszle i krztusi się od słonej

wody. Kathryn półgłosem próbuje ją uspokoić. Twarz Mattie jest rozpalona.

Jack trzyma córkę za rękę, jakby był złączony z nią pepowiną. Ma mokre spodenki i koszulę na wierzchu. Kathryn domyśla się, że jemu też jest zimno. Świadomość tego, co mogłoby się przydarzyć Mattie, gdyby nie dostrzegł jej w porę, odejmuje jej władzę w rękach i nogach.

Zatrzymuje się nagle na plaży, a wtedy Jack obejmuje ją i Mattie ramionami.

- Czyż nie jesteśmy dla ciebie wszystkim? - pyta go znowu. Jack pochyla się i całuje ją w czoło.

- Jakim wszystkim? - pyta Mattie.

## CZĘŚĆ DRUGA

### ROZDZIAŁ JEDENASTY

Czasami wydawało się jej, że przeżyła trzy, cztery lata w jedenaście dni. Innym razem odnosiła wrażenie, że minęło dopiero kilka minut, odkąd Robert Hart stanął pod jej drzwiami i wypowiedział dwa słowa - „Pani Lyons?” - które zmieniły jej życie. Jak sięgnęła pamięcią, czas jeszcze nigdy tak się nie zapętlił, no może za wyjątkiem tych dwóch lub trzech szczególnych dni, gdy spotkała Jacka i zakochała się, a wtedy jej życie liczyło się raczej na minuty niż na godziny.

Leżała z rozłożonymi rękoma na tapczanie w pokoju gościnnym, z głową lekko uniesioną na poduszce, tak że widziała polakierowane na czerwono krzesło i ocean za oknem. Gdy przyjechała do domu, było słonecznie, ale teraz na niebie pojawiły się chmury, właściwie kłaczki chmur, jak krople mleka w szklance wody. Odpięła spinkę z włosów i rzuciła ją na podłogę. Spinka potoczyła się po wypastowanych deskach i zatrzymała przy listwie przyściennej. Kathryn postanowiła tego dnia rano, że musi ponownie zasiedlić dom, i rozpoczęła żmudny proces sprząwania i likwidowania wszystkich śladów po minionych jedenastu dniach. Chciała, aby Mattie wróciła od Julii i żeby obie mogły na nowo tu żyć. Jest to plan naprawdę godny podziwu, pomyślała Kathryn. Odwaga opuściła ją, gdy weszła do kuchni i zobaczyła stertę gazet z fotografiami Jacka, jej i Mattie na pierwszych stronach. Jedna z gazet spadła na podłogę i ułożyła się w niewielki namiot na kafelkach. Na stole leżały bułki, twarde jak kamień, w torbie z woskowanego papieru, a na blacie kuchennym stało z pół tuzina pustych puszek po dietetycznej coli. Okazało się jednak, że ktoś przezornie opróżnił kubek na śmieci, więc w domu nie śmierdziało aż tak, jak się obawiała. Weszła po schodach na piętro i zajrzała do gabinetu Jacka. Szuflady biurka były powysuwane, na podłodze walały się papiery, a gabinet wyglądał dziwnie pusto bez komputera. Domyślała się, że było tu FBI z nakazem rewizji, ale nie wiedziała dokładnie, kiedy przeszukali dom. Nie było jej w domu od pogrzebu, który odbył się dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Nie było tu również Roberta, wyjechał do Waszyngtonu zaraz po uroczystościach żałobnych. Zamknęła drzwi do gabinetu, przeszła do pokoju gościnnego i położyła się na tapczanie.

Pomyślała, że może głupio zrobiła, wracając tak wcześnie, ale nie mogła dłużej ignorować własnego domu. Należało wszystko posprzątać. Kathryn wiedziała, że Julia zrobiłaby to za nią, ale nie mogła jej na to pozwolić. Julia była wyczerpana, bliska załamania, nie tylko z powodu pogrzebu i zajmowania się Kathryn i Mattie,



lecz także głęboko pojętego poczucia obowiązku: przez cały ten czas musiała także ciężko pracować w sklepie, aby nadażyć z przedświątecznymi zamówieniami. Kathryn uważała, że taki wysiłek mógł zabić jej babkę, ale nie było sensu podważać jej zasad. Tak więc razem z Julią, przy niewielkiej pomocy Mattie, spędziła kilka długich nocy, pakując zamówienia w pudełka, owijając je w ozdobne papiery i zaznaczając na liście nazwiska i adresy klientów. Przyszło jej do głowy, że w pewien sposób działało to jak zajęcie terapeutyczne. Obie szły spać, gdy nic już nie widziały na oczy, i w ten sposób uniknęły grożącej im bezsenności.

Jednak tego ranka Kathryn nalegała, aby Julia została w łóżku, i wcale nie była zaskoczona, gdy babcia się zgodziła. Mattie także kładła się spać późno i zwykle aż do popołudnia zostawała w swoim pokoju. Tak naprawdę Kathryn chciałaby, żeby jej córka zapadła na kilka miesięcy w bezpieczną śpiączkę i obudziła się ze świadomością stepioną upływem czasu. Oszczędziłoby to jej wiele bólu, przejmując ostrego, przeżywanego wciąż na świeżo. Pewnie właśnie dlatego Mattie tak długo spała, chcąc odsunąć od siebie tę chwilę świadomości.

Kathryn także wolałaby zapaść w śpiączkę. Tymczasem czuła się tak, jakby funkcjonowała w swoistym systemie atmosferycznym, w którym bez ustanku atakowały ją strzępy informacji i wiadomości, czasami mroziły myśli, co ją czeka w najbliższej przyszłości, tajała pod wpływem przyjacielskich odruchów innych (Julii, Roberta, obcych ludzi), zalewały ją często wspomnienia, bez względu na okoliczności i miejsce, a zaraz potem musiała znosić rozgorączkowanych reporterów, fotografów i ciekawskich przechodniów. Zauważyła, że ten system atmosferyczny nie posiada żadnej logiki, nie ma żadnej formy, nie rozwija się w żaden określony sposób. Czasami nie była w stanie spać, jeść ani nawet przeczytać do końca artykułu w gazecie. I nie dlatego, że tematem był Jack lub katastrofa, ale ponieważ nie potrafiła się dostatecznie skoncentrować. Zdarzało się też, że rozmawiając z Julią lub Mattie, nie mogła dokończyć zdania, bo zapominała, od czego zaczęła, albo nie mogła sobie przypomnieć, co miała właśnie zrobić. Bywało i tak, że stała ze słuchawką przy uchu, dzwoniąc do kogoś, i nie miała zielonego pojęcia, do kogo i po co. Odnosiła wrażenie, że jej umysł jest zatłoczony, że nie może wydobyć z niego tego, nad czym właśnie ma się zastanowić, wspomnień, jakie chce przywołać, rozwiązania problemu, które jest niemal na wyciągnięcie ręki.

Jeszcze gorsze były momenty względnego spokoju, z którego nagle rodził się gniew, tym bardziej niepokojący i wprowadzający ją w zakłopotanie, że nie zawsze potrafiła go powiązać z konkretną osobą lub wydarzeniem. Wszystko to

przypominało paskudną mozaikę, skomponowaną z maleńkich kamyków. Ogarniała ją złość na Jacka, tak żywa, jakby stał tuż obok niej, za coś tak banalnego jak to, że zapomniał jej powiedzieć, jak nazywa się ich agent ubezpieczeniowy (co przecież łatwo mogła sprawdzić i rzeczywiście sprawdziła, dzwoniąc do firmy), lub za coś znacznie bardziej niewinnego, aczkolwiek nieodwracalnego: że ją na dobre opuścił. Lub złość na Arthura Kahlera, z którym Jack od lat grywał w tenisa, za to, że przy spotkaniu w sklepie potraktował Kathryn tak, jakby cierpiała na bliżej nieokreśloną chorobę zakaźną. Nawet widok pary turystów, którzy stali przed sklepem Julii (bycie parą okazało się nietaktem, gdy ona i Jack już nie byli razem), wywołał w niej taką złość, że nie mogła się do nich odezwać, gdy weszli do środka.

Kathryn zdawała sobie sprawę, że istnieje wiele bardziej uzasadnionych i bardziej oczywistych powodów jej gniewu, ale, co trudno było wyjaśnić, właśnie wobec nich najczęściej stawała zupełnie bezradna: media, linie lotnicze, agencje informacyjne i natręci - napawający ją lękiem i nie dający spokoju natręci, którzy do niej dzwonili, zaczepiali na ulicy, na pogrzebie, a raz jeden taki nawet zaatakował ją z ekranu telewizyjnego, gdy dziennikarka prowadząca sondę uliczną na temat katastrofy lotniczej poprosiła o komentarz przechodnia, a on spojrzał w obiektyw kamery i oskarżył Kathryn o ukrywanie istotnych informacji o eksplozji na pokładzie.

Zaraz po przesłuchaniu przez inspektora z wydziału bezpieczeństwa Robert zaproponował jej przejażdżkę samochodem. Wyszli z domu i podeszli do auta. Robert otworzył drzwiczki, wsiadła i dopiero gdy obydwójce znaleźli się w środku, zapytała, dokąd pojedą.

- Do kościoła Świętego Józefa - powiedział szybko Robert.

- Po co? - zapytała.

- Myślę, że już czas, abyś porozmawiała z księdzem. Przejechali przez Ely, następnie skręcili na drogę, która przecinała

słone bagna i wiodła do Ely Falls, minęli opuszczone fabryki i magazyny z napisami pochodzącymi jeszcze z lat sześćdziesiątych. Robert zaparkował przed plebanią, budynkiem z ciemnej cegły, w którym Kathryn nigdy nie była. Jako mała dziewczynka każdej niedzieli po południu przyjeżdżała z koleżankami autobusem do Ely Falls, aby przystąpić do spowiedzi w kościele Świętego Józefa. Siedząc w ciemnej ławce, zachwycała się pięknymi kamiennymi ścianami, finezyjnie rzeźbionymi drewnianymi konfesjonałami z fioletowymi kotarami, za którymi jej przyjaciółki wyznawały swoje grzechy (teraz Kathryn nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co to mogły być za grzechy), przyciągającymi wzrok,

pięknymi obrazami stacji drogi krzyżowej (których znaczenie bez większego sukcesu usiłowała wytłumaczyć kiedyś jej najlepsza przyjaciółka, Patty Regan) i szklane, czerwone kule, w których paliły się migotliwie świece. Patty kupowała zwykle jedną i zapalała, wychodząc z kościoła. Kościół metodystów pod wezwaniem Świętego Mateusza przy High Street w Ely, dla Kathryn kościół z jej dzieciństwa, był w porównaniu ze Świętym Józefem niemal agresywnie sterylny. Zbudowany z ciemnego kamienia, miał żółtą stolarką i okna o wielu podziałach, przez które w niedzielne poranki wpadało dużo słońca, tak jakby architekt postawił sobie za zadanie włączyć do projektu światło i powietrze protestantyzmu. Julia prowadziła Kathryn na religię do szkoły niedzielnej, ale tylko do piątej klasy, bo później opowieści z Biblii przestały już ją tak hipnotyzować. I od tego czasu Kathryn nie bywała w kościele prawie wcale, z wyjątkiem Bożego Narodzenia i Wielkanocy, gdy spędzała święta z babką. Kathryn odczuwała czasami wyrzuty sumienia, że nie posłała Mattie do szkoły niedzielnej, nie dała córce szansy zapoznać się z chrześcijaństwem, aby później samodzielnie zdecydowała, czy jest jej to w życiu potrzebne - tak jak ona sama mogła to zrobić.

Wydawało jej się, że Mattie rzadko kiedy myśli o Bogu, chociaż, oczywiście, mogła się co do tego mylić.

Na początku ich małżeństwa Jack wyrażał agresywnie pogardliwy stosunek do kościoła katolickiego. W dzieciństwie uczęszczał do szkoły katolickiej w Chelsea, gdzie zetknął się ze wszystkim co najgorsze, także z karami cielesnymi. Kathryn z trudem mogła sobie wyobrazić szkołę gorszą niż ta, do której sama chodziła, tak potwornie nudną, że lata spędzone w szkole podstawowej w Ely przede wszystkim kojarzyły jej się z kurzem na korytarzach. Jednak w miarę upływu lat niechęć Jacka do Kościoła wydawała się słabnąć i Kathryn zastanawiała się, czy zmienił zdanie. Nie miała co do tego pewności, ponieważ Jack nigdy z nią o tym nie rozmawiał.

Wyszli z samochodu i zastukali do masywnych drewnianych drzwi. Otworzył im wysoki mężczyzna o ciemnych, kręconych włosach.

- Ktoś zginął w straszliwych okolicznościach - powiedział szybko Robert.

Ksiądz spokojnie pokiwał głową, przyglądając się Kathryn i Robertowi.

- To jest Kathryn Lyons - mówił dalej Robert. - Jej mąż zginął wczoraj w katastrofie lotniczej.

Kathryn miała wrażenie, że ksiądz zbladł na moment, ale rumieniec natychmiast powrócił na jego twarz.

- Jestem ojciec Paul LeFevre - przedstawił się, wyciągając rękę. - Proszę, wejdźcie.

Zaprowadził ich do dużego pokoju o oknach z ołowianymi kwaterami, wypełnionego chyba tysiącami książek. Wskazał im fotele przy niewielkim kominku. Mógł mieć koło pięćdziesiątki, chociaż wydawał się nadzwyczaj wysportowany i dobrze zbudowany. Siedząc tam, Kathryn zaczęła się zastanawiać, jak księża utrzymują dobrą kondycję fizyczną, czy wolno im uczęszczać na siłownię i podnosić ciężary.

- Chciałabym uczcić pamięć męża - rzekła, gdy ojciec Paul usiadł obok nich, z kartką i ołówkiem w ręku.

Bezskutecznie szukała w myślach bardziej odpowiednich słów. Ojciec Paul kiwał głową i wydawało się, że rozumie, co ona chce powiedzieć. W gruncie rzeczy Kathryn odniosła wrażenie, że katolicki ksiądz lepiej zna jej najgłębsze potrzeby i najbliższą przyszłość niż ona sama.

- Nie jestem katoliczką - wyjaśniła. - Ale mój mąż uważał się za katolika. Wychowywał się w katolickiej rodzinie i uczęszczał do katolickich szkół. Z przykrością muszę jednak powiedzieć, że przez długi czas nie chodził do kościoła.

Zapadła cisza, jakby ksiądz zastanawiał się nad jej słowami. Kathryn nie umiała wyjaśnić, czemu uznała za stosowne przeprosić za Jacka.

- A ty? - zapytał ojciec Paul.

- Wychowano mnie jako metodystkę, ale ja także niezbyt często chodziłam do kościoła.

To prawda, pomyślała, ani ona, ani Jack nie chodzili w niedziele na msze. Niedzielne poranki, gdy Jack był w domu, spędzali wylegając się w łóżku, jeszcze pogrążeni w leciutkim półśnie, na leniwych pieszczotach bez słów, niekończących się marzeniach bez żadnej odpowiedzialności, a potem Jack znowu zasypiał, a ona leżała w zakolu jego ramienia.

- Czy należy poinformować innych członków rodziny? - zapytał ksiądz.

Kathryn zawahała się i spojrzała na Roberta.

- Nie - powiedziała, mając świadomość, że okłamuje katolickiego księdza na plebanii.

- Opowiedz mi o swoim mężu - poprosił ojciec Paul.

- Zginął wczoraj, jego samolot eksplodował - wyjaśniła. - Był pilotem. Ojciec Paul pokiwał głową.

- Czytałem o tym w gazetach - rzekł cicho. Kathryn zastanawiała się, jak opisać Jacka.

- Był dobrym człowiekiem - powiedziała. - Ciężko pracującym. Kochającym. Miał wyjątkowo dobre stosunki z córką...

Kathryn zacisnęła usta, do oczu napłynęły jej łzy. Robert położył dłoń na jej ręce. Ksiądz czekał cierpliwie, aż Kathryn się opanuje.

- Jack był jedynakiem - kontynuowała po chwili. - Jego matka zmarła, gdy miał dziewięć lat. Stracił ojca, gdy był w college'u. Dorastał w Bostonie, gdzie chodził do szkoły pod wezwaniem Świętego Krzyża. Walczył w Wietnamie. Spotkałam go później, gdy latał jako pilot transportowy. Ostatnio pracował dla...

Przerwała i potrząsnęła głową.

- Lubił łowić ryby i siedzieć przy komputerze - powiedziała, wróciwszy do równowagi. - Grał w tenisa. Dużo czasu poświęcał Mattie, naszej córce.

To są fakty, pomyślała, ale prawdziwego Jacka, Jacka, którego znałam i kochałam, w nich nie ma.

- Lubił ryzyko - dodała nagle, ku zdziwieniu księdza. - Nie lubił deszczowych dni. Osuszał serwetką pizzę, bo nie lubił oliwy. Jego ulubionym firmem był „Świadek”. Widziałam, że płakał na smutnych filmach. Nie znosił korków ulicznych. Mógł zjechać z autostrady i nadłożyć nawet osiemdziesiąt kilometrów, aby ich uniknąć. Marnie się ubierał. W pracy nosił mundur i w zasadzie nie interesowały go inne ubrania. Miał ulubioną skórzaną kurtkę. Potrafił być bardzo czuły i kochający...

Odwróciła głowę.

- A co z tobą? - spytał ksiądz. - Jak się czujesz?

- Ze mną? - powtórzyła Kathryn. - Czuję się tak, jakbym oberwała porządne lanie.

Ksiądz pokiwał głową ze zrozumieniem. Zupełnie jak terapeuta, pomyślała.

- A wasze małżeństwo? - zapytał. - Jakie było wasze małżeństwo? Kathryn spojrzała na Roberta.

- To było udane małżeństwo - powiedziała. - Byliśmy sobie bliscy. Mogę powiedzieć, że bardzo długo byliśmy w sobie zakochani, dłużej niż inne pary. No tak, wiem, że nigdy nie można być pewnym tego, co się wie o innych ludziach. Tego można się tylko domyślać.

- Co się stało potem? - dopytywał się ksiądz.

- Potem? - powtórzyła. - Potem po prostu się kochaliśmy. Przeszliśmy od stanu zakochania do kochania się.

- Kochanie to wszystko, czego oczekuje od nas Bóg - powiedział ksiądz.

Kathryn pomyślała, że podczas całego małżeństwa ani razu nie zastanawiała się, czego oczekuje Bóg.



- Byliśmy małżeństwem szesnaście lat - dodała. Ksiądz skrzyżował nogi.  
 - Czy kapitan Lyons został zwrócony?  
 - Zwrócony? - zapytała zaskoczona.  
 - Mam na myśli ciało - wyjaśnił ksiądz.  
 - Nie ma ciała - szybko powiedziała Kathryn. - Nie znaleziono ciała mojego męża.

- A zatem chodzi o uroczystości żałobne. Kathryn spojrzała bezradnie na Roberta.

- Tak sądzę - przytaknęła.  
 - Są dwie możliwości - oznajmił ojciec Paul. - Możemy zorganizować uroczystości żałobne, aby uczcić pamięć kapitana Lyonsa, i w tym wypadku radziłbym wybrać termin przed Bożym Narodzeniem, aby okres świąteczny stał się dla ciebie i twojej córki raczej czasem uspokojenia i pogodzenia niż ciągłym przeżywaniem waszej tragedii.

Kathryn zadumała się nad tą myślą, chociaż miała nikłą nadzieję, że tak przebiegną ich święta.

- Lub - kontynuował ksiądz - możemy poczekać, aż zostanie znalezione ciało twojego męża.

- Nie - zaprotestowała gwałtownie. - Dla dobra mojej córki, dla mojego dobra i dla dobra Jacka musimy uczcić jego pamięć jak najszybciej. Ci ludzie z prasy i telewizji już go ukrzyżowali.

Wypowiedziała słowo „ukrzyżowali” i poczuła się zakłopotana, że użyła go w obecności księdza. Ale czyż tak właśnie nie było, pomyślała. Oni ukrzyżowali honor Jacka, pamięć o nim.

- Mówią, że popełnił samobójstwo, że zamordował sto trzy osoby - ciągnęła. - Jeśli ja i Mattie nie uczymy pamięci Jacka, nie wiem, kto to zrobi.

Ksiądz przyglądał się jej.

- Uczcić jego pamięć - dodała, chociaż nic więcej nie umiała wyjaśnić. - Poza tym...

Przełknęła ślinę i poprawiła się na krześle.

- Bardzo wątpię, czy ciało zostanie kiedykolwiek znalezione - dokończyła.

Tamtej nocy, nie mogąc zasnąć i krążąc bez celu po kuchni babki, jeszcze długo po tym, jak Julia i Mattie poszły spać, Kathryn zastanawiała się, czy mimo wszystko nie powinna była powiedzieć ojcu Paulowi, że matka Jacka żyje. I czy sama nie powinna powiadomić tej kobiety, że jej syn zginął. Zapewne tak, ale myśl o tym, że matka Jacka żyje, oraz obraz starej kobiety podobnej do Jacka, mieszkającej w domu starców, działały na Kathryn jak nieprzyjemny dźwięk, jak

irytujące i natrętne bzyczenie muchy, którego chciałyby się pozbyć. Nie chodziło tylko o to, że Jack kłamał i postawił ją w kłopotliwej sytuacji. Niepokoiło ją istnienie tej kobiety, o której nie wiedziała, co myśleć. Pod wpływem nagłego impulsu Kathryn sięgnęła po słuchawkę i zadzwoniła do informacji.

Mając właściwy numer, połączyła się z domem starców.

- Forest Park - usłyszała w słuchawce młody kobiecy głos.

- Dobry wieczór - powiedziała nerwowo. - Chciałabym rozmawiać z panią Matigan Rice.

- To dopiero - zdziwiła się kobieta, która, jak się Kathryn wydawało, coś jadła lub żuła gumę. - To już dzisiaj trzeci telefon do pani Rice. Przedtem nikt do niej nie dzwonił, co najmniej od sześciu miesięcy.

Kathryn usłyszała w słuchawce dziwny dźwięk, jakby kobieta piła coś przez słomkę.

- W każdym razie pani Rice - odezwała się po chwili kobieta - nie może podejść do telefonu. Nie czuje się na tyle dobrze, aby mogła opuścić swój pokój, a poza tym, oprócz wszystkich innych niedomagań, bardzo źle słyszy, tak więc rozmowa przez telefon jest raczej niemożliwa.

- Jak ona się czuje? - zapytała Kathryn.

- Wciąż tak samo.

- Aha - powiedziała Kathryn. Zawahała się przez moment. - Właśnie usiłuję sobie przypomnieć, od kiedy pani Rice przebywa w domu starców.

W słuchawce zapadła cisza.

- Czy jest pani jej krewną? - zapytała po chwili kobieta.

Kathryn zamyśliła się nad tym pytaniem. Czy jest krewną? Jack postanowił, z siebie tylko znanych powodów, ukryć przed nią fakt, że jego matka żyje, tak więc dla Kathryn i dla Mattie osoba ta w ogóle nie istniała. Kathryn nie była pewna, czy Matigan Rice powinna teraz zmartwychwstać. Czyżby to wstyd zmusił Jacka do kłamstwa w sprawie swojej matki? Czy ci dwoje na zawsze się poróżnili?

- Nie, nie jestem krewną - powiedziała Kathryn. - Chciałam tylko poinformować panią Rice, że odbędą się uroczystości żałobne ku czci jej syna.

- Jej syn zmarł?

- Tak.

- Jak się nazywał?

- Jack. Jack Lyons.

- Ach tak.

- Zginął w katastrofie lotniczej - dodała Kathryn.

- Naprawdę? Ma pani na myśli tę katastrofę Vision? - Tak.

- Och, mój Boże, to okropne. Co za człowiek mógł popełnić samobójstwo, skazując na śmierć tylu niewinnych ludzi?

Kathryn milczała.

- Dopiero pani nas poinformowała, że na pokładzie był także syn pani Rice - ciągnęła kobieta. - Czy mam spróbować jej o tym powiedzieć? Nie mogę pani obiecać, że to do niej dotrze...

- Rozumiem - odparła chłodno Kathryn. - Uważam jednak, że powinna pani spróbować.

- Może najpierw porozmawiam z moim przełożonym. Dziękuję pani za telefon i mam nadzieję, że na pokładzie nie było nikogo z pani rodziny.

- Owszem, był.

- Och, mój Boże, tak mi przykro.

- Mój mąż był pilotem - oznajmiła Kathryn.

Wkrótce nastąpiło kolejne spotkanie Kathryn z księdzem, a duchowny odwiedził nawet dwa razy dom Julii. Podczas pierwszej rozmowy na plebanii Robert podkreślał konieczność zapewnienia uczestnikom ceremonii bezpieczeństwa i ojciec Paul wydawał się ku temu przychylny, chociaż, jak się później okazało, nie docenił powagi sytuacji. Kathryn nie potrafiła znaleźć innych słów: wciąż mówiła o „uczczeniu pamięci”, ale ksiądz nie domagał się niczego więcej i była mu za to wdzięczna. Wspominając później ojca Paula, Kathryn uznała z wyraźną ulgą, że gdyby nie jego twarda ręka, uroczystości żałobne mogłyby się okazać pełnym fiaskiem.

Aby mieć pewność, że bez problemu przejadą ulicami Ely, Kathryn, Julia i Mattie przybyły do kościoła na godzinę przed czasem, później bowiem na drogach powstał taki tłok, że żaden pojazd, nawet karetka pogotowia, nie zdołałby się przecisnąć. Mattie miała na sobie tego dnia długą, szarą jedwabną spódnicę i krótki, czarny żakiet. Wzdrygnęła się, gdy ksiądz powiedział, że teraz jej ojciec bezpiecznie wylądował. Julia i Kathryn były ubrane w czarne kostiumy i trzymały się za ręce. A właściwie Julia trzymała Kathryn za rękę, a Kathryn trzymała rękę Mattie. Ten przepływ siły, przepływ energii od jednej do drugiej i do trzeciej pomógł Kathryn, a także, jak się jej wydawało, Julii i Mattie, przetrwać tę uroczystość. Jednak potem, gdy Kathryn wstała z ławki i odwróciła się do tyłu, gdzie zobaczyła stojących w rzędach pilotów, ubranych w ciemne mundury, pilotów z różnych linii lotniczych, z których wielu z pewnością nie znało Jacka, a dalej uczniów z jej szkoły, nawet takich, co już skończyli naukę, ale przybyli specjalnie na tę uroczystość, zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie Mattie, która ją podtrzymała, i wtedy na moment role się odwróciły. Mattie, Kathryn i

Julia przeszły potem przez całą nawę. Kathryn miała wrażenie, że to chyba najdłuższa droga w jej życiu. Ogarnęło ją dziwne uczucie, że kiedy dojdzie do drzwi kościelnych i wślizgnie się do czarnej limuzyny, która czeka na zewnątrz, jej życie z Jackiem naprawdę się zakończy.

Następnego dnia na pierwszych stronach gazet ukazały się zdjęcia Kathryn, wychodzącej z kościoła Świętego Józefa. Oglądając pisma wystawione przed sklepem Marthy Ingerbretson, była zdumiona nie tylko zamieszczeniem swojej podobizny w tylu gazetach, ale także swoim wyglądem: zauważyła, że smutek zmienił rysy jej twarzy, ujawnił zmarszczki, zwiotczałe mięśnie, tak że z trudem rozpoznała się na fotografii. Trzymając pod ramię Mattie, Kathryn wyglądała jak osoba oszołomiona i zaszokowana, o wiele lat starsza niż w rzeczywistości.

Wzdrygnęła się na myśl o tym zdjęciu, a także o innych, z których najbardziej niefortunne było to przedstawiające ją z Robertem na plaży, ukrytych w zacisznym kącie między kamieniami. Robert trzymał ją za rękaw, a oboje wyglądali na przestraszonych, jakby zostali przyłapani na gorącym uczynku. Kathryn pomyślała, że to wyjątkowo tendencyjna fotografia. Robert był oburzony bezceremonialnością i bezczelnością reportera. Kathryn pamiętała, jak krzyczał na niego, wspinał się nawet na kamienie i ścigał młodego człowieka po trawniku. Reakcja Roberta napełniła ją taką pewnością siebie, że gdy weszła do domu, zdobyła się na wygłoszenie oświadczenia - tego oświadczenia, które tak szybko straciło swoją wagę, gdy Somers powiedział jej o matce Jacka.

Postanowiła nie czytać więcej gazet i nie oglądać telewizji. Wizyta w domu Julii, pierwotnie planowana tylko na jeden dzień po uroczystości w kościele, przedłużyła się na całe Boże Narodzenie i jeszcze dłużej. Kathryn, podobnie jak Mattie, nie mogła zdobyć się na to, żeby znowu zamieszkać we własnym domu, i nie miała żadnych rozsądnych argumentów, które przekonałyby córkę do powrotu. Wiedziała, że najpierw powinna tam posprzątać i usunąć wszystkie przedmioty, których widok mógłby skłonić Mattie do ucieczki. Tylko raz podczas pobytu u Julii, któraś zostawiła włączony telewizor i zanim Kathryn się zorientowała, jaki program ogląda, przedstawiono animowaną rekonstrukcję wydarzeń, które doprowadziły do eksplozji w kokpicie Vision Lot 384. Pokazano, jak po wybuchu kokpit odrywa się od reszty samolotu, a kadłub rozpada na kawałki w wyniku drugiej eksplozji. Animacja pokazała tory lotów różnych części samolotu, zanim spadły do oceanu. Zdaniem reportera spadek z wysokości nie trwał dłużej niż półtorej minuty. Kathryn nie mogła oderwać oczu od ekranu telewizora. Patrzyła, jak mały animowany kokpit zakreśla w powietrzu łuk, wpada do wody, wykonując przy tym komiksowe „plum”, i tonie.

Warstwa chmur, utkana z drobnych, mlecznych kłaczków, robiła się coraz grubsza i światło w pokoju gościnnym stopniowo przygasało. Kathryn usiadła na tapczanie z mocnym postanowieniem zabrania się do porządków. Usłyszała czyjeś kroki w holu na dole i spuściła nogi na podłogę. To pewno Julia przyjechała mi pomóc, pomyślała. Jednak gdy podniosła wzrok, zobaczyła w drzwiach Roberta Harta.

- Byłem u twojej babci - oznajmił. - Powiedziała, że znajdę cię tutaj.

Trzymał ręce w kieszeniach sportowego płaszcza w nieokreślonym, brązowo-szarym kolorze. W dżinsach wyglądał inaczej. Włosy miał rozwiane, jakby właśnie przeczesał je palcami.

- Nie przyjechałem tu służbowo - powiedział. - Mam kilka dni urlopu. Chciałem zobaczyć, jak sobie radzisz.

Wszedł do holu.

Kathryn zastanawiała się, czy pukał do drzwi, a jeśli tak, to czemu go nie słyszała.

- Cieszę się, że przyjechałeś - powitała go, sama zaskoczona tymi słowami.

To była prawda. Poczula, że ciężar - może nie cały, ale pewna jego część - spada jej z ramion.

- Jak się czuje Mattie? - zapytał, wchodząc do pokoju gościnnego i siadając na czerwonym, lakierowanym krześle.

To mogłaby być bardzo interesująca fotografia, pomyślała nagle Kathryn. Mężczyzna siedzący na polakierowanym na czerwono krześle, na tle cytrynowej ściany. Przystojny mężczyzna. Ciekawa twarz. Zaczesane na bokach płowe włosy, w połączeniu z pozą, w jakiej siedział, trzymając ręce w kieszeniach, nadawały mu niemal brytyjski wygląd. Przypominał bohatera filmu z okresu drugiej wojny światowej. Pomyślała, że mógłby grać oficera wywiadu.

- Okropnie - powiedziała Kathryn, czując ulgę, że może z kimś porozmawiać o Mattie.

Julia była tak wyczerpana, że Kathryn nie chciała jej martwić swoimi problemami.

I tak jej babka zniosła więcej niż jakakolwiek siedemdziesięcioczworoletnia kobieta.

- Mattie wciąż nie może dość do siebie - ciągnęła. - Wszystko ją drażni. Jest nerwowa. Nie potrafi się na niczym skupić. Czasami usiłuje oglądać telewizję, ale to nie jest już bezpieczne. Nawet jeśli unika wiadomości, zawsze znajdzie coś, co przypomina jej o ojcu. Wczoraj wieczorem poszła odwiedzić Taylor, aby spotkać się tam z koleżankami, i wróciła zapłakana. Okazało się, że przyjaciel ojca Taylor,



który też tam był, zapytał Mattie, czy odbędzie się proces, i Mattie natychmiast się rozkleiła. Ojciec przyjaciółki musiał ją odwieźć do domu.

Kathryn zauważyła, że Robert badawczo się jej przygląda.

- Sama już nie wiem - powiedziała. - Martwię się, Robercie. Naprawdę się martwię. Mattie jest taka delikatna. Krucha. Nic nie je. Czasami zaczyna się histerycznie śmiać. Zachowuje się tak, jakby już nie potrafiła na nic właściwie zareagować. Sama chciałabym wiedzieć, co w tej sytuacji jest właściwe. Powiedziałam Mattie, że świat nie uległ dezintegracji, że nie możemy łamać wszelkich zasad, a ona oświadczyła ze smutkiem, i słusznie, że wszystkie zasady już zostały złamane.

Robert założył nogę na nogę i oparł łokieć na kolanie.

- A jak minęły święta Bożego Narodzenia? - zapytał.

- Smutno - odpowiedziała. - Żałośnie. Każda minuta była żalosna. Najgorsze, że Mattie tak bardzo się starała. Jakby była winna to Julii i mnie. Jakby w pewien sposób była to także winna swojemu ojcu. Teraz żałuję, że w ogóle nie zrezygnowaliśmy z urządzania świąt. A jak minęły twoje?

- Smutnie - powiedział. - Żałośnie. Kathryn uśmiechnęła się.

- Co tu robisz? - zapytał Robert, rozglądając się po pokoju, jakby próbując znaleźć odpowiedź.

- Usiłuję uniknąć sprzątanía domu. Ten pokój zawsze służył mi jako pewnego rodzaju schronienie. Ukryłam się tutaj. Ale powiedz lepiej, co ty tu robisz?

- Mam kilka wolnych dni - powiedział.

- I?

Wyprostował nogi i włożył ręce do kieszeni spodni.

- Jack nie spędził ostatniej nocy w pokoju hotelowym, razem z resztą załogi - oświadczył.

Powietrze w pokoju zrobiło się gęste i ciężkie.

- Gdzie więc był? - zapytała cicho Kathryn.

Jak szybko człowiek może zadać pytanie, na które wcale nie chce znać odpowiedzi, pomyślała nie pierwszy już raz. Jakby jedna część psychiki stawiała drugiej wyzwanie.

- Nie wiadomo - powiedział Robert. - Jak wiesz, Jack był jedynym Amerykaninem wśród załogi. Kiedy samolot wylądował, Martin i Sullivan wrócili do domów samochodami. Wiemy, że Jack udał się do pokoju hotelowego, aczkolwiek na krótko, skąd wykonał dwa telefony. Jeden do ciebie, a drugi do restauracji, w której zarezerwował stolik na wieczór. Jednak zgodnie z tym, co zeznała pokojówka, tamtej poniedziałkowej nocy nikt nie spał w jego pokoju.

Wydział bezpieczeństwa już o tym wie. Ta informacja zostanie dzisiaj podana w telewizji. W południe.

Kathryn położyła się na tapczanie i patrzyła w sufit. Nie było jej w domu, gdy Jack dzwonił, nagrał się na sekretarce. „Cześć, kochanie - powiedział. - Już jestem. Zaraz pójde coś zjeść. Czy telefonowałaś do Alfreda? Zrób to jak najszybciej”.

- Nie chciałem, żebyś była tym zaskoczona - mówił dalej. - Nie chciałem, żebyś była sama.

- Mattie... - wymamrotała.

- Powiedziałem o tym Julii - uspokoił ją.

Wstał, podszedł do tapczanu i usiadł na brzegu. Miał na sobie bawełnianą koszulę w ciemnym, być może szarym kolorze, chociaż Kathryn zastanawiała się, czy nie jest odrobinę brązowa.

Jej umysł pracował z trudem. Skoro Jack nie spał w pokoju hotelowym, to gdzie był tamtej nocy? Zamknęła oczy, nie chcąc o tym myśleć. Gdyby ktoś ją zapytał, odpowiedziałaby, że jest pewna, iż mąż nigdy jej nie zdradził. Chciała powiedzieć Robertowi, że to niepodobne do Jacka. Że on by tego nie zrobił.

- To się skończy - powiedział Robert.

- On nie popełnił samobójstwa.

Musiała to powiedzieć. Musiała to z siebie wyrzucić. Robert wziął ją za rękę. Odruchowo chciała ją cofnąć, ale nie pozwolił jej.

Nie chciała zapytać, nie chciała, ale musiała i wiedziała, że on czeka na to pytanie. Usiadła bardzo powoli, wysuwając rękę z jego dłoni, na co tym razem jej pozwolił.

- Dla ilu osób zarezerwował stolik? - zapytała, przybierając jak najbardziej neutralny ton.

- Dla dwóch.

Zacisnęła wargi. To przecież jeszcze nic nie znaczy, pomyślała. Przecież Jack mógł pójść na kolację z kolegą z załogi, czemu nie? Zauważyła, że Robert spojrział w okno, a potem znowu na nią. Z jakim kolegą z załogi? - zastanawiała się.

- W jaki sposób kontaktowałaś się z Jackiem, gdy był poza domem? - spytał Robert.

- Telefonował do mnie - wyjaśniła. - To było najłatwiejsze, ponieważ mam dość stały rozkład dnia. Dzwonił zawsze, gdy tylko przyjeżdżał do hotelu dla załogi. Gdy ja chciałam się z nim skontaktować, mogłam zostawić wiadomość w jego poczcie głosowej. Postanowiliśmy, że tak będzie najlepiej, ponieważ nigdy nie wiedziałam, czy akurat nie śpi.

Zacząła się zastanawiać, czyj to był pomysł, jej czy Jacka? Mieli taką umowę od wielu lat, już nie pamiętała od kiedy. Zawsze jej się wydawało, że to bardzo logiczne i praktyczne, nic nie wzbudzało jej podejrzeń. Jakie to dziwne, pomyślała, że jakaś rzecz widziana z jednej strony wydaje się czymś normalnym, a jeśli spojrzy się na nią pod innym kątem, staje się czymś zupełnie innym. A może to wcale nie takie dziwne.

- Oczywiście, nie można zapytać nikogo z załogi - powiedziała.

- Nie można.

Pomyślała o pytaniu, które Mattie zadała jej w dniu, gdy pojawiły się plotki o samobójstwie: Skąd możesz wiedzieć, że dobrze znasz drugą osobę?

Kathryn wstała i podeszła do okna. Miała na sobie stary pulower i poprzecierane na kolanach džinsy, które nosiła od wielu dni. Nawet skarpetki nie były czyste. Nie spodziewała się tego dnia nikogo. Pomyślała, że człowiek w żałobie zaniedbuje przede wszystkim swój wygląd. A może tu chodzi o godność?

- Nie mogę już więcej płakać - wyznała. - Ten etap mam za sobą.

- Kathryn...

- To sprawa bez precedensu - powiedziała. - Absolutnie bez precedensu. Żaden pilot nigdy nie był oskarżony o popełnienie samobójstwa podczas prowadzenia samolotu.

- Właściwie jest precedens - oznajmił Robert. - Był jeden taki przypadek.

Kathryn odwróciła się od okna.

- W Maroku. W sierpniu 1994 roku samolot Royal Air Maroc rozbił się niedaleko Agadiru. Rząd marokański ogłosił, opierając się na nagraniach z czarnej skrzynki, że katastrofę spowodował pilot, który popełnił samobójstwo. Ścisłe mówiąc, ten człowiek świadomie wyłączył autopilota i skierował samolot ku ziemi. Maszyna zaczęła się rozpadać, zanim nastąpiło zderzenie z ziemią. Zginęły czterdzieści cztery osoby.

- Mój Boże - powiedziała.

Zakryła oczy dłońmi. Ani na moment nie przestawała jednak myśleć o przerażeniu drugiego pilota, który widział, co robi kapitan, ani o tym, co przeżyli pasażerowie, gdy zrozumieli, że zaraz zginą.

- Kiedy będzie można przesłuchać tę taśmę? - zapytała. - Taśmę Jacka?

Robert potrząsnął głową.

- Wątpię, czy kiedykolwiek pozwolą ci na to - odparł. - Nie wolno im. Tego typu zapisy nie są objęte Ustawą o Dostępie do Informacji. A nawet jeśli taśma zostanie udostępniona, to z pewnością po ocenzurowaniu.

- A więc nigdy jej nie usłyszę.

- Tak myślę.

- Ale zatem... skąd będziemy wiedzieć, co się naprawdę stało?

- Trzydzieści niezależnych agencji w trzech krajach pracuje nad wyjaśnieniem powodów tej katastrofy - powiedział Robert. - Uwierz mi, związek nie ma żadnego interesu, aby obstawać przy wersji samobójstwa lub nawet sugerować taką przyczynę. Wręcz przeciwnie. Każdy członek Kongresu w Waszyngtonie żąda bardziej surowych testów psychologicznych dla pilotów, co z naszego punktu widzenia jest czystym koszmarem. Im szybciej ta sprawa się wyjaśni, tym lepiej. Kathryn pocierała palce, aby polepszyć krążenie.

- To sprawa polityczna, prawda?

- Jak zwykle.

- Dlatego tu jesteś.

Milczał, siedząc na tapczanie. Wygładził dłonią narzutę.

- Nie - zaprzeczył. - Nie teraz.

- A więc jesteś tu jako...?

- Jestem tu - powiedział, patrząc na nią. - Po prostu tu jestem. Pokiwała wolno głową. Chciała się uśmiechnąć. Chciała powiedzieć

Robertowi, jak bardzo się cieszy, że jest tu z nią, jak ciężko przebrnąć jej przez to wszystko, gdy nie ma z nią osoby, której najbardziej potrzebuje, to znaczy Jacka.

- Czy to koszula dobrej jakości? - zapytała nagle.

- Nie bardzo - powiedział.

- Masz ochotę odwalić kawał czarnej roboty?

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Za masywnymi oknami audytorium widać ścianę deszczu. Sala jest stara, siedzenia są ustawione amfiteatralnie. Została zbudowana w latach dwudziestych i od tamtej pory nie była remontowana. Ściany pokrywa boazeria, na której tu i ówdzie widnieją wyskrobane przez uczniów inicjały i deklaracje miłosne. Po obu stronach sceny wiszą ciężkie, brązowe kotary, które wyglądają tak, jakby nigdy dobrze nie spełniały swojego zadania. Wymieniono jedynie siedzenia, przez lata niemiłosiernie pocięte i zniszczone scyzorykami i długopisami. Teraz publiczność siedzi na fotelach pochodzących z kina w Ely Falls, które rozebrano, aby wybudować w tym miejscu bank.

Audytoriom powoli zapełnia się rodzicami, a zespół muzyczny dzielnie zмага się z utworem „Pomp and Circumstance”. Kathryn dyryguje, stojąc poniżej sceny, i usiłuje nakłonić dwudziestu trzech muzyków ze szkoły średniej, aby możliwie zadowolająco wykonali utwór, uświetniający koniec roku szkolnego. Susan Ingalls, grająca na klarncie, wyraźnie fałszuje, a Spence Closson, grający na bębnie basowym, jest tego wieczora wyjątkowo zdenerwowany i odrobinę spóźnia się przy każdym takcie.

Nadgodziny, przebiega przez myśl Kathryn. W każdej innej pracy potraktowano by to jako nadgodziny.

Na szczęście, nie jest to uroczystość rozdania dyplomów, lecz tylko nagród. W zespole Kathryn gra pięciu uczniów z ostatniej klasy, z których dwóch może otrzymać nagrodę za osiągnięcia w nauce. Małe szkoły mają też pewne, nieliczne zresztą, zalety. Uroczystość rozdania nagród trwa w nich zwykle dość krótko.

Trzymając w ręku batutę, siada na krześle obok Jimmy'ego DeMartino, grającego na tubie. Zastanawia się, czy nie powinna poprosić Susan Ingalls za kulisy, gdzie mogłaby nastroić jej klarnet. Dyrektor rozpoczyna właśnie uroczystą przemowę, po nim głos zabierze wicedyrektor, a na końcu jeden z uczniów ostatniej klasy wygłosi mowę pożegnalną. Kathryn stara się skoncentrować na tym, co dzieje się w audytorium, ale myślami jest już w domu, gdzie czeka ją jeszcze wystawienie kilku końcowych ocen. Ostatnie tygodnie przed końcem roku szkolnego są zwykle pełne pośpiechu i emocji. Przez poprzednie pięć dni, w porze lunchu, prowadziła próby z zespołem muzycznym, aby dwudziestu ośmiu uczniów ostatniej klasy mogło ćwiczyć maszerowanie w rytm „Pomp and Circumstance”, co zaprezentują w dniu rozdania dyplomów. W minionym tygodniu ten utwór, nawet niezbyt dobrze wykonany, za każdym razem wyciskał łzy. Ale Kathryn wie, że gdy nadejdzie dzień rozdania świadectw, wszystkie łzy obeschną, przeminie



smutek związany z opuszczeniem szkoły i uczniowie ostatniej klasy będą już myślami przy zbliżającym się balu pożegnalnym. Każdego roku jest tak samo.

Mowy się skończyły i dyrektor zaczyna odczytywać listę nagrodzonych uczniów. Kathryn spogląda na zegarek. Za pół godziny zespół zagra „Trumpet Voluntary”, wszyscy rozejdą się do domów, a ona będzie mogła zająć się wystawianiem stopni z historii w drugiej klasie. Jutro Mattie ma końcowy egzamin z matematyki.

Słyszy oklaski, potem pełną oczekiwania ciszę, gdy wyczytywane jest kolejne nazwisko, ponownie oklaski, a czasami jakiś gwiazd z tłumu. Studenci ostatniej klasy, siedzący w pierwszym rzędzie, wchodzi jeden po drugim na scenę i wracają z rulonem przewiązany wstążką, a czasami także z medalem. Siedzący obok niej Jimmy DeMartino również wchodzi na scenę, aby odebrać nagrodę za wyjątkowe osiągnięcia w dziedzinie fizyki. Kathryn trzyma w tym czasie jego tubę.

Gdy mija trzydzieści minut, Kathryn zaczyna nasłuchiwać ciszy, która będzie zwiastować koniec wieczoru. Domyśla się, że wkrótce to nastąpi. Wstaje i podchodzi do miejsca dla dyrygenta. Wykonuje nieznaczny gest ręką, który ma przypomnieć muzykom, że pora przygotować instrumenty. Zmienia nuty na stojaku i składa przed sobą ręce, gotowa zacząć.

Pomyliła się. Dyrektor wcale nie skończył. Ma do wręczenia jeszcze jedną nagrodę.

Kathryn słyszy słowa: „maksymalna liczba punktów” i „druga klasa”. Wyczytują nazwisko. Uczennica wstaje i podaje Kathryn swój klarnet. Ubrana jest w białą bluzkę, czarną spódniczkę i szkolne obuwie. Wchodzi na scenę, a publiczność zaczyna klaskać, częściowo z podziwu dla osiągnięć w nauce, a częściowo z radości, że uroczystość się kończy. Kathryn trzyma pod ręką klarnet Mattie i z całych sił klaszcze w dłonie.

Jack powinien tu być, myśli.

Po uroczystości tuli do siebie córkę w sali muzycznej.

- Jestem taka dumna - mówi.

- Mamo. - Mattie z trudem łapie oddech i wrywa się jej. - Czy mogę zadzwonić do taty i powiedzieć mu o tym? Tak bym chciała.

Kathryn zastanawia się tylko chwilę. Jack jest w Londynie i o tej porze z pewnością wypoczywa przed kolejnym lotem, ale przecież nie pogniewa się, gdy Mattie obudzi go z taką nowiną.

- Oczywiście - powiada. - Czemu nie? Możemy skorzystać z telefonu w gabinecie dyrektora.

Używa swojej karty telefonicznej i dzwoni do hotelu, gdzie jest zakwaterowana załoga Vision, jednak w pokoju Jacka nikt nie odpowiada. Próbuje jeszcze raz. Czekając na połączenie, wygląda przez okno i widzi, że deszcz pada coraz mocniej. Próbuje kolejny raz, sądząc, że taka sekwencja sygnałów telefonicznych będzie dla Jacka znakiem, że to ona usiłuje się z nim skontaktować. W Londynie jest wpół do drugiej w nocy. Gdzie on może być?

- Zadzwonimy z domu - mówi do Mattie z uśmiechem.

Jednak gdy telefonuje do Jacka z domu, jego numer wciąż nie odpowiada. Kathryn dzwoni trzy razy, z tego dwa, kiedy Mattie nie widzi. W końcu zostawia wiadomość w jego poczcie głosowej. Radość i duma z nagrody córki powoli mijają i Kathryn postanawia nie myśleć dłużej, dlaczego Jack nie odpowiada, i dla uczczenia tego wieczoru zaczyna robić ulubione ciasteczka Mattie. Mattie jest zbyt podekscytowana, aby uczyć się matematyki, siedzi więc razem z matką w kuchni i pomaga jej kręcić maślaną masę. Po raz pierwszy zastanawiają się, jaki college powinna wybrać. Kathryn rozważa nawet takie szkoły, których przedtem nie brała w ogóle pod uwagę. Widzi teraz swoją córkę w zupełnie nowym świetle.

Kiedy Mattie kładzie się spać, wymuszony dobry nastrój Kathryn zaczyna znikać. Do późna w nocy wystawia stopnie uczniom ze swojej klasy. Do Londynu dzwoni jeszcze o północy, czyli o piątej rano czasu lokalnego. Zdenerwowana wsłuchuje się w sygnał rozbrzmiewający w pustym pokoju hotelowym Jacka. Za godzinę będzie musiał pojechać na lotnisko, skąd leci do Amsterdamu i Nairobi. Kathryn zaczyna się już niepokoić, czy nie przytrafiło mu się coś złego. Jej nastrój oscyluje między złością a troską, aż wreszcie zasypia na kanapie, trzymając na kolanach kalkulator i dziennik z ocenami.

Telefon dzwoni za kwadrans pierwsza. Za kwadrans szósta czasu londyńskiego. Głos Jacka budzi Kathryn przerywaną serią słów.

- Kathryn, o co chodzi? Co się stało? W domu wszystko w porządku?

- Gdzie byłeś? - pyta słabym głosem, siadając.

- Tutaj - odpowiada. - Byłem w pokoju. Właśnie sprawdziłem pocztę głosową.

- Czemu nie odbierałeś telefonów?

- Wyłączyłem aparat. Byłem wyczerpany i chciałem spać. Chyba bierze mnie grypa.

Rzeczywiście, słyszy, że ma zatkany nos. Personel latający często wraca na ziemię z przeziębieniem.

- Dobrze się zatem składa, że nie miałam do ciebie żadnej pilnej sprawy - mówi z wyczuwalną nutką rozgoryczenia.

- Posłuchaj, naprawdę jest mi przykro. Byłem śmiertelnie zmęczony i myślałem, że lepiej będzie, gdy się dobrze wyśpię - tłumaczy się. - Co się stało? - pyta. - Dlaczego dzwoniłaś?

- Nie mogę powiedzieć. Mattie chciała ci to przekazać osobiście.

- Ale to nic złego?

- Nie, skąd. To wspaniała wiadomość.

- Powiedz mi choć trochę.

- Nie mogę. Obiecałam jej.

- Pewnie nie możesz jej teraz obudzić?

- Nie, jutro zdaje końcowy egzamin z matematyki.

- A więc zadzwonię do niej z pokładu samolotu - mówi. - Wyceluję tak, żeby złapać ją, gdy tylko się obudzi.

Kathryn przeciera oczy. Na linii zapada krótka cisza. Kathryn chce zobaczyć twarz swojego męża. Chce wślizgnąć się do jego łóżka w pokoju hotelowym. Nigdy nie była w pokoju hotelowym dla załogi. Sterylny, tak jej go kiedyś opisał. Jak pokój w hotelu.

- No więc - mówi Kathryn.

- Kathryn, naprawdę bardzo mi przykro. Poproszę firmę, aby pozwolili mi korzystać z takiego systemu, gdzie pilne wiadomości nie przechodzą przez pocztę głosową. Zainstaluję sobie brzęczyk.

- Jack, kochasz mnie? - szepcze do słuchawki. Przez chwilę on nic nie mówi.

- Czemu pytasz?

- Nie wiem - przyznaje się. - Pewnie dlatego, że już dawno mnie o tym nie zapewniałeś.

- Oczywiście, że cię kocham - mówi. Kathryn słyszy, jak chrząka. - Naprawdę cię kocham. Idź już spać. Zadzwonię o siódmej. Jednak nie odwiesza słuchawki, podobnie jak Kathryn.

- Kathryn?

- Jestem tu.

- Co się dzieje?

Kathryn nie wie dokładnie, co się dzieje. Czuje się zupełnie bezbronna, zbyt długo pozostaje sama. Być może i ona jest przemęczona.

- Wszystko w porządku - mówi wreszcie.

- Wszystko w porządku - powtarza Jack.

- Najzupełniej.

Prawie widzi, jak jej mąż się uśmiecha.

- No to na razie - żegna się Jack i odkłada słuchawkę.

- Na razie - mówi, trzymając głuchą słuchawkę w dłoni.

RS

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Przechodzili z pokoju do pokoju, odkurzając, wycierając kurze, myjąc kafelki, wyrzucając śmieci, ścieląc łóżka, wkładając brudną bieliznę do koszy. Zauważyła, że Robert wykonywał te zadania w sposób typowy dla mężczyzn: niezdarnie słał łóżka, dobrze radził sobie w kuchni, a podłogi mył tak, jakby chciał je za coś ukarać. Gdy razem z nim sprzątała swoją sypialnię i sypialnię Mattie, potencjalnie niebezpieczne rzeczy okazywały się zupełnie nieszkodliwe: koszula wisząca na krześle była po prostu koszulą, którą Robert rzucił na podłogę, na stos innych rzeczy do prania. Pościel była tylko pościelą, którą należało wyprać, tak jak wszystko inne. Zebrał rozrzucone na biurku Jacka papiery i bez przeglądania ich, co z pewnością zrobiłaby Kathryn, wsadził do szuflady i zamknął. W sypialni Mattie cały czas czuła na sobie wzrok Roberta. Myślał pewnie, że tutaj będzie jej najtrudniej, ale ku zaskoczeniu ich obojga właśnie pokój Mattie sprzątnęła najszybciej. Z całkowitym spokojem pomogła Robertowi wynieść z domu choinkę. Przeciagnęli na wół uschnięte drzewko przez kuchnię i hol na tyłach domu. Na podłodze zostało mnóstwo igieł. Gdy skończyli porządki, mleczone kłaczki na niebie zamieniły się w nisko zawieszony, ołowiane kłęby.

- Ma spaść śnieg - powiedział Robert, myjąc wnętrze zlewu. Kathryn otworzyła szafkę pod zlewozmywakiem i schowała środki do czyszczenia. Umyła ręce i wytarła w ścierkę do naczyń.

- Jestem głodna - powiedziała, czując lekkie zadowolenie, jakie pojawia się zwykle po generalnych porządkach w domu. Przypomina ono trochę przyjemność po zażyciu kąpieli.

- Świetnie - ucieszył się Robert. - Mam w samochodzie homary. Uniosła brwi.

- Ze sklepu Ingerbretson - dodał. - Kupiłem je, jadąc tutaj. Nie mogłem się oprzeć.

- Skąd wiedziałeś, że lubię homary? - zapytała.

- W szufladzie ze sztucami zauważyłem szczypce.

- Jesteś spostrzegawczy.

- Czasami.

Wtedy zrozumiała, że Robert Hart zawsze był spostrzegawczy. Zawsze obserwował.

Robert przyrządził homary, a Kathryn nakryła stół we frontowym pokoju. Zrobiła się zadymka, wirujące płatki śniegu uderzały w okno. Kathryn wyjęła z lodówki dwie butelki piwa. Otworzyła jedną i właśnie zamierzała to samo zrobić z



drugą, gdy przypomniała sobie, że Robert nie pije. Zamierzała więc dyskretnie schować obie butelki z powrotem do lodówki, ale Robert to zauważył.

- Nie przejmuj się - powiedział, stojąc przy piekarniku. - Wypij piwo. Nie będzie mi to przeszkadzać. Prawdę powiedziawszy, bardziej mi będzie przeszkadzać, gdy nie wypijesz.

Kathryn spojrzała na zegarek. Była dwunasta dwadzieścia. Czas poza czasem. Po raz kolejny poczuła się schwytna w jego pętlę. Był piątek. Normalnie prowadziłyby teraz piątą lekcję. Normalnie nie piłyby teraz piwa. Lecz jest przecież przerwa świąteczna. W zasadzie nie musi wracać do pracy aż do drugiego stycznia. Wolą nie myśleć, jak sobie poradzi z prowadzeniem lekcji. Przed oczami pojawił się jej obraz uczniów na szkolnym korytarzu, ale szybko go od siebie odsunęła.

Za pięć dwunasta Robert wyłączył wszystkie telefony. Nie spodziewają się żadnej wiadomości aż tak pilnej, by nie mogła poczekać godzinę lub dwie, powiedział, a ona się z nim zgodziła.

W takim nastroju nakryła kwiecistym obrusem stół pod oknem we frontowym pokoju. Wesole kolory tkaniny kontrastowały z szarym niebem na zewnątrz. Robert włączył muzykę, płytę B. B. Kinga. Kathryn żałowała, że nie ma kwiatów. Ale co właściwie celebują? - zastanawiała się z lekkim poczuciem winy. To, że przetrwała te jedenaście dni? A może to, że wysprzątała dom? Rozłożyła sztuce, naczynia na skorupki i papierowe serwetki, wniosła chleb i roztopione masło. Robert wkroczył do pokoju, niosąc na talerzach homary. Na jego koszuli widać było plamy od wody.

- Umieram z głodu - powiedział, stawiając talerze na stole i siadając naprzeciw Kathryn.

Przyjrzała się leżącemu przed nią homarowi. I znowu opanowały ją wspomnienia. Podniosła szybko wzrok i spojrzała w okno. Uniosła dłoń do ust.

- Co się stało? - zapytał Robert.

Potrząsnęła szybko głową. Siedziała nieruchomo, sparaliżowana wspomnieniami, bała się poruszyć ze strachu, że znikną. Zaczepnęła powietrza, delikatnie je wypuściła i oparła ręce na stole.

- Coś mi się przypomniało - powiedziała.

- Co takiego?

- Chodzi o Jacka i o mnie.

- Tutaj? Pokiwała głową.

- W takiej samej sytuacji?

Chciała powiedzieć, że tak, ale to nie byłaby prawda. Pamiętała wczesne lato i spuszczone żaluzje, Mattie poszła do przyjaciółki. Była późniejsza pora niż teraz - czwarta, może piąta po południu. Padało niezwykle światło, migotliwe i zielone jak ocean. Pili szampana. Nie mogła sobie przypomnieć, co celebrowali. Pewnie nic, a może to, że są razem. Pamiętała, że miała ochotę się kochać, on też, ale żadne z nich nie chciało poświęcić świeżo przyrządzonego homara, zwlekali więc i rosło między nimi słodkie napięcie. Kathryn wysysała homara z przesadą, a Jack śmiał się i powiedział, że jest uwodzicielska, co bardzo się jej spodobało. Rzadko taka bywała.

- Przepraszam - powiedział Robert. - Nie pomyślałem. Zabiorę to do kuchni.

- Nie - zaprotestowała szybko, łapiąc go za rękę. - Nie mogłeś tego przewidzieć. Poza tym moje życie pełne jest takich sytuacji. Dopadają mnie setki drobnych wspomnień. Są jak miny na polu, które w każdej chwili mogą eksplodować. Chyba powinni mi zrobić lobotomie.

Wysunął dłoń spod jej dłoni i położył ją na jej palcach, tak jak mężczyzna trzyma za rękę przyjaciółkę, która przeżywa drobny kryzys. Na swej nagle złodowaciałej dłoni czuła promieniujące od niego ciepło. Wspomnienia nieodmiennie sprawiały, że krew odpływała z jej rąk i stóp. Jak pod wpływem lęku.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry.

Czas mijał. Ile go upłynęło? Nie liczyła ani sekund, ani minut. Zamknęła oczy. Po piwie czuła się trochę śpiąca. Chciała odwrócić rękę, aby dotknął wnętrza jej dłoni. Aby przesunął palce wyżej, do nadgarstka. Wyobrażała sobie, jak ciepło jego dłoni wędruje po wewnętrznej stronie jej przedramienia, a potem wyżej, nad łokciem.

Jej palce zwiotczały pod dłonią Roberta, czuła też, jak uchodzi z niej napięcie. Było w tym coś erotycznego, ale również niezobowiązującego, zaniechanego. Jej oczy straciły ostrość, nie widziała wyraźnie ani Roberta, ani w ogóle niczego, czuła tylko światło wpadające przez okna. To właśnie ono, rozproszone i słabe, stwarzało senny nastrój. I wtedy dotarło do niej, że powinna czuć się zakłopotana, myśląc o Robertcie i o sobie w ten sposób. Jednak wraz z mgłą spłynęła na nich fala wyrozumiałości, a ona czuła się jedynie jak ktoś o niesprecyzowanych pragnieniach, kogo myśli dryfują leniwie bez celu. Tkwiła w tym tak głęboko, że gdy Robert, pewnie chcąc przywołać ją do rzeczywistości, uściśnił jej dłoń, poczuła się gwałtownie wtrącona z powrotem w czas teraźniejszy.

- Masz w sobie coś z księdza - powiedziała. Zaśmiał się.

- Nie, nie mam.

- Aleja tak cię odbieram.
- Ojciec Robert. - Uśmiechnął się.

Kathryn zaczęła się zastanawiać, kogo by interesowało, czy ręka tego mężczyzny powędrowała w górę jej ramienia? Kogo miałyby to obchodzić? Czyż nie zostały już złamane wszystkie zasady? Czy Mattie nie mówiła właśnie o tym?

Otulała ich cisza monotonicznie padającego śniegu. Przypuszczała, że Robert usiłuje dokładnie zrozumieć, gdzie krążą jej myśli i dlaczego, ale nie mogła mu pomóc, ponieważ sama dobrze nie wiedziała. We frontowym pokoju zawsze jest zbyt chłodno zimą, pomyślała drżąc, mimo iż słyszała pracę grzejników. Na zewnątrz niebo przybrało tak ciemną barwę, jakby już zmierzchało.

Robert podniósł rękę i Kathryn poczuła się nagle zupełnie odsłonięta.

Wypiła kolejną butelkę piwa. W tym czasie zjedli homary i pieczywo. W połowie posiłku Robert wstał i zmienił płytę. Z B. B. Kinga na Brahmsa.

- Masz wspaniałą płytotekę - powiedział po powrocie do stołu.

- Interesujesz się muzyką?

- Tak.

- Jakiego rodzaju?

- Głównie fortepianową. To płyty Jacka czy twoje? - zapytał siadając. Przechyliła głowę, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Zwykle muzyką interesuje się jedno z małżonków, rzadko oboje - wyjaśnił. - Przynajmniej tak wynika z moich doświadczeń.

Zastanowiła się chwilę.

- Moje - powiedziała. - Jackowi słoń nadepnął na ucho. Lubił rock and rolla. I czasami podobała mu się muzyka, której słuchała Mattie. Ze względu na rytm, tak myślę. A ty lubisz muzykę?

- Też mam dużo płyt - odparł. - Chociaż moja była żona zatrzymała sprzęt i część kompaktów. Jeden z moich synów odziedziczył dobry słuch. W szkole gra na saksofonie. Drugi raczej nie interesuje się muzyką.

- Mattie gra na klarncie. Próbowałam zachęcić ją do fortepianu - mówiła Kathryn - ale okazało się to dla niej istną torturą.

Przypomniały się jej te wszystkie godziny, które spędziła z Mattie przy fortepianie. Mattie zdecydowanie nie miała na to ochoty, dając wyraz swojej prawie patologicznej niechęci. Drapała się uporczywie po plecach, gdy nie mogła dopasować wysokości taboretu, lub godzinami szukała nut do palcówki. Pewnego dnia Kathryn z ogromnym trudem skłoniła ją, aby wreszcie zagrała piosenkę, którą wcześniej wielokrotnie ćwiczyła. Kathryn wychodziła z takich lekcji, niejednokrotnie z trudem powstrzymując wściekłość, a wtedy Mattie zaczynała

plakać. Zanim skończył się pierwszy rok nauki gry na fortepianie, zrozumiała, że jeśli w dalszym ciągu będzie się upierać przy tych lekcjach, jej dobre stosunki z córką legną w gruzach.

Teraz, rzecz jasna, Mattie nie może żyć bez muzyki, słucha jej wszędzie: w swoim pokoju, w samochodzie, stale jest podłączona do słuchawek, jakby pobierała tlen przez uszy.

- A ty grasz? - zapytała Kathryn.

- Kiedyś grałem - powiedział Robert.

Przyglądała mu się, wzbogacając o kolejny detal jego portret, który tworzyła od dnia, gdy wszedł do jej domu. Kathryn pomyślała, że każdy to robi. Obserwuje innych ludzi, tworzy ich portrety, wypełnia brakujące pociągnięcia pędzlem, czeka, aż forma i kolor się zmaterializują.

Robert zanurzył kawałek homara w maśle i uniósł go do ust.

- Wieczorem, dzień przed swoim wyjazdem, Jack poszedł do pokoju Mattie, aby ją spytać, czy w piątek pójdzie z nim na mecz koszykówki. Jeden z przyjaciół załatwił mu doskonale miejsca. Pytam więc, czy człowiek, który planuje wcześniej samobójstwo, umawia się ze swoją córką na mecz?

Robert z zamyśleniem wytarł podbródek.

- Czy człowiek, który ma naprawdę dobre miejsca na mecz koszykówki, może popełnić samobójstwo przed meczem?

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Przepraszam - powiedział szybko. - Masz rację. O ile znam się na naturze ludzkiej, to nie ma żadnego sensu.

- Co więcej, Jack prosił mnie, abym zadzwoniła do Alfreda, który miał przyjść w piątek i naprawić cieknący prysznic. Gdyby Jack nie zamierzał wrócić, nie należałoby na to. Przynajmniej nie aż tak bardzo. Poza tym inaczej by się ze mną pożegnał. Powiedziałaby inaczej „do widzenia”. Wiem, że tak by zrobił. Dałby mi jakiś znak, który z pewnością odczytałabym po fakcie. Cokolwiek.

Robert napił się wody i nieco odsunął od stołu.

- Pamiętasz, gdy przesłuchiwali mnie ci faceci z wydziału bezpieczeństwa, pytali, czy Jack miał przyjaciół w Anglii?

- Pamiętam.

Wpatrywała się w miskę ze skorupkami.

- Właśnie przyszło mi coś do głowy - powiedziała. - Zaraz wrócę.

Wchodząc po schodach, zastanawiała się, czy przypadkiem już tego nie wyprała. Nosila te dzinsy dwa dni, a potem wrzuciła je do pojemnika na brudną bieliznę. Ale nie do swojego, przypomniała sobie, tylko do pojemnika Mattie. Na

szczęście nie prała jeszcze żadnych rzeczy córki, ponieważ jej tu nie było. Pranie ubrań Mattie odbywało się u Julii.

Dżinsy znalazła na dnie sterty brudów, które razem z Robertem wrzucili do pojemnika kilka godzin temu. Wyjęła z kieszeni garść kartek i kwitków, trochę zawilgotniałych pod niezbyt suchymi ręcznikami.

Gdy wróciła do pokoju, Robert wpatrywał się w padający za oknem śnieg. Odwrócił się, słysząc jej kroki, i patrzył, jak odsunawszy talerze, rozkłada na stole kartki.

- Spójrz na to - powiedziała, wręczając mu kupon z loterii. - W dniu śmierci Jacka znalazłam te papiery w kieszeni jego dżinsów, które wisiały na drzwiach łazienki. Wówczas nie zastanawiałam się nad nimi, wsunęłam je po prostu do kieszeni moich spodni. Ale zwróć uwagę na tę notatkę - M u A - i zapisany obok numer telefonu. Co ci to przypomina?

Robert przeczytał numer i po wyrazie jego twarzy domyśliła się, że rozumie, o co jej chodzi.

- Myślisz, że to jakiś numer w Anglii - rzekł.

- To kierunkowy do Londynu, prawda? Jeden, osiem, jeden?

- Tak mi się zdaje.

- Tyle powinno być cyfr?

- Nie jestem pewien.

- Pozwól.

Wyciągnęła rękę i Robert z pewną niechęcią oddał jej kupon.

- To ciekawe - powiedziała. - Jeśli to numer telefonu, dlaczego zapisał go na kuponie z loterii? I to bardzo świeżym. Musiał go kupić dzień przed wyjazdem. - Przyjrzała się dacie na stemplu. - Zgadza się. Czternasty grudnia.

To najrozsądniejsza rzecz, pomyślała, idąc do telefonu, który stał obok kanapy. Podniosła słuchawkę i wystukała numer. Niemal natychmiast usłyszała zdecydowanie obcy, nietypowy sygnał, który zawsze kojarzył się jej ze staroświeckimi paryskimi telefonami o wrzecionowatych widełkach.

Po drugiej stronie linii odezwał się głos i Kathryn nagle się wystraszyła, zupełnie na to nieprzygotowana. Spojrzała na Roberta. Nie miała najmniejszego pojęcia, co powinna powiedzieć. Kobięcy głos jeszcze raz się odezwał, tym razem nieco zirytowanym tonem. Kobieta nie była stara, ale nie był to także głos nastolatki.

Kathryn chciała zapytać: „Czy znała pani Jacka Lyonsa?”, lecz natychmiast uznała, że to nie ma sensu.

- Chyba wykręciłam zły numer - powiedziała szybko. - Przepraszam.



- Kto mówi? - zapytała kobieta, tym razem czujnie. Kathryn nie była w stanie podać jej swojego nazwiska.

Kobieta po drugiej stronie z irytacją odłożyła słuchawkę. Zapadła cisza.

Ręce Kathryn drżały, gdy odeszła od telefonu. Czuła się tak jak kiedyś, gdy była nastolatką i chciała zadzwonić do chłopaka, który jej się podobał, ale nie mogła wymówić swojego nazwiska.

- Zapomnij o tym - powiedział Robert, gdy usiadła przy stole. Kathryn przez chwilę pocierała dłońmi o dzinsy, chcąc opanować drżenie.

- Posłuchaj - odezwała się. - Czy możesz uzyskać dla mnie pewną informację?

- Jaka?

- Czy możesz zdobyć nazwiska wszystkich członków załogi, z którymi latał Jack?

- Po co ci to? - zapytał zdziwiony.

- Może uda mi się przypomnieć sobie jakieś nazwisko, gdy je zobaczę. Lub skojarzyć nazwisko z twarzą, którą znam.

- Jeśli tego chcesz - powiedział powoli.

- Trudno dociec, czego naprawdę chcę.

Gdy Robert poszedł do gabinetu Jacka, aby znaleźć listę załogi, Kathryn rozłożyła resztę kartek znalezionych w spodniach męża i zaczęła je dokładnie przeglądać. Zwróciła szczególną uwagę na rachunek, opiewający na dwadzieścia dwa dolary. Może to wcale nie były znaczki, pomyślała, usiłując rozszyfrować napisy na kwicie. Po chwili zrezygnowała i wyjęła kartkę w linie, na której Jack przepisał fragment wiersza.

W wąskim przesmyku na bezlitosnej północy, niekończące się zdrady, nieubłagana, daremna walka.

Ślepa wściekłość ciosów zadawanych w ciemności: walka o przetrwanie głodnych, ślepych komórek w łonie.

O czym jest ten wiersz? Spojrzała na biel za oknami. Trawnik był już przykryty sporą warstwą śniegu. Przyszło jej na myśl, że powinna zadzwonić do Julii i spytać, czy z Mattie wszystko w porządku, czy jej córka już wstała.

Wzięła ze stołu kolejną kartkę, z notatkami o sprawach, które Jack chciał zapamiętać. Bergdorf FedEx szlafrok przywożą dwudziestego.

To dziwne, pomyślała, ale dwudziestego nie przyniesiono żadnej przesyłki z FedEx. Była tego pewna.

Wstała od stołu, wciąż zastanawiając się nad znaczeniem tych kilku linijek wiersza. Teraz niewiele jej mówiły, ale być może znajdzie cały utwór i wówczas zrozumie jego sens. Podeszła do regału z książkami. Był wysoki niemal do sufitu.

Jack czytał książki o lotnictwie i biografie, czasami powieści z interesującą fabułą. Kathryn z kolei lubiła literaturę pisaną przez kobiety, najchętniej współczesne powieści, chociaż miała wyjątkową słabość do Edith Wharton i Willi Cather. Szukała starej antologii poezji i znalazła ją na najniższej półce.

Usiadła z książką na kanapie. Położyła ją sobie na kolanach i zaczęła przeglądać. Ponieważ nie trafiła od razu na właściwy wiersz, postanowiła zacząć poszukiwania od początku tomu, przewracając wolno kartkę za kartką. Jednak dość szybko zorientowała się, że to nie jest najlepszy pomysł. Wczesne wiersze pisane były zbyt archaicznym językiem. Kierując się stylem zapisanego fragmentu poezji, Kathryn otworzyła książkę mniej więcej w połowie. Były tam utwory, w których użyto podobnej składni. Zaczęła metodycznie przeglądać stronę po stronie, gdy usłyszała Roberta, wołającego ją z gabinetu Jacka.

Warstwa bieli za oknami była coraz grubsza, śnieg wirował, niesiony podmuchami wiatru, i zacinał w szyby. Robert wysłuchał rano prognozy pogody i mówił, że może spaść od piętnastu do dwudziestu centymetrów. Kathryn była spokojna o Mattie, wiedziała, że jest u Julii i nie zamierza wyjeżdżać nigdzie samochodem.

Odłożyła książkę i poszła do gabinetu. Robert siedział przy biurku, w rękę trzymał faks. Nagle uświadomiła sobie, patrząc na mężczyznę siedzącego w fotelu jej męża, że Robert musi wiedzieć, co jest na taśmie, z całą pewnością zna jej treść.

- Powiedz mi, co jest na tej taśmie - poprosiła.

- Mam tu listę wszystkich osób, z którymi Jack kiedykolwiek latał w Vision - powiedział, wręczając jej faks.

- Dziękuję. - Wzięła od niego kartkę, ale nawet na nią nie spojrzała. Widziała, że jest zaskoczony jej prośbą. - Proszę - nalegała. - Powiedz mi, co wiesz.

Skrzyżował ręce na piersiach i odsunął fotel od biurka, zwiększając dystans między nimi.

- Nie przesłuchiwałem tej taśmy - zastrzegł się. - Nikt z nas jej nie przesłuchiwał.

- Ale wiem, że znasz jej treść.

- Mogę ci tylko powiedzieć, czego dowiedziałem się od przyjaciela, który pracuje ze mną w związku.

- Dobrze.

- Naprawdę tego chcesz?

- Tak - odparła, chociaż wcale nie była pewna, nie mogła być pewna. Skąd mogła wiedzieć, że tego chce, skoro nie знаła treści nagrania. Robert wstał

energicznie z fotela i podszedł do okna, stając tyłem do Kathryn. Mówił szybko, tonem informacyjnym, jakby chciał pozbawić słowa emocjonalnej otoczki.

- Lot przebiegał normalnie przez pierwsze pięćdziesiąt sześć minut - rzekł. - Jack najwyraźniej został zaskoczony.

- Zaskoczony?

- Wychodzi z kokpitu w pięćdziesiątej szóstej minucie i czternastej sekundzie lotu. Nie mówi, czy coś się stało, tylko informuje, że zaraz wraca. Ci, którzy przesłuchiwali taśmę, twierdzą, że wyszedł do toalety.

Robert odwrócił się i spojrzał w jej stronę, jednak nie wprost na nią. Pokiwała głową.

- Dwie minuty później pierwszy oficer, Roger Martin, poinformował, że ma kłopoty ze słuchawkami. Poprosił mechanika, Trevora Sullivana, aby pożyczył mu na chwilę swoje. Sullivan podał mu je, mówiąc: „Spróbuj te”. Martin włożył je i stwierdził, że działają bez zarzutu. Powiedział: „No tak, z wtyczką wszystko w porządku. To moje słuchawki się zepsuły”.

- Zepsuły się słuchawki Rogera Martina - powtórzyła Kathryn.

- Tak. Martin oddał słuchawki Sullivanowi i wtedy Sullivan powiedział: „Poczekaj, może Lyons ma zapasowe”. Sullivan odpiął pasy i sięgnął po torbę Jacka. Wiesz, gdzie piloci trzymają podręczne torby?

- Obok foteli?

- Tak, na specjalnej półce. Sullivan musiał wyciągnąć z torby Jacka coś, czego nie mógł rozpoznać, ponieważ powiedział: „Co to jest, do diabła?”.

- Znalazł coś, czego nie spodziewał się tam znaleźć?

- Tak mi się zdaje.

- To nie były słuchawki.

- Tego nie jesteśmy pewni.

- I co wtedy?

- Jack właśnie wrócił do kokpitu. Sullivan powiedział: „Lyons, czy to żart?”.

Robert przerwał. Oparł się o parapet.

- Mogło dojść między nimi do jakiejś szamotaniny - mówił dalej. - Słyszałem sprzeczne relacje. Ale nawet jeśli była, to bardzo krótka. Sullivan niemal natychmiast powiedział bowiem: „Co to, kurwa?”.

- I?

- I potem: „Chryste Panie”.

- Kto powiedział „Chryste Panie”?

- Sullivan.

- I?

- To wszystko.
- Nikt nie powiedział nic więcej?
- Nagranie na tym się kończy.

Kathryn spojrzała w sufit, zastanawiając się, co znaczy zapis z końcówki taśmy.

- W torbie podróżnej miał bombę - wyszeptała. - Bombę, która miała wybuchnąć. Dlatego sądzą, że to było samobójstwo.

Robert wyprostował się. Włożył ręce do kieszeni.

- Gdyby chociaż jedno zdanie brzmiało inaczej - rzekł Robert - całe nagranie można by interpretować odmiennie. Chociaż nawet to, co starałem ci się zrelacjonować, nic jeszcze nie znaczy. Wiesz o tym. Rozmawialiśmy już przedtem.

- Czy wiadomo na pewno, że Jack wszedł z powrotem do kokpitu?

- Na taśmie słychać, jak drzwi się otwierają, a potem zamykają. Poza tym Sullivan wyraźnie zwraca się do niego.

- Nie rozumiem tylko, skąd Jack mógł mieć w swojej torbie coś tak niebezpiecznego - powiedziała Kathryn.

- To akurat najłatwiej można wyjaśnić - odparł Robert. Odwrócił się i spojrzął na padający śnieg. - Nieszkodliwy proceder. Absolutnie nieszkodliwy. Wszyscy to robią.

- Co robią?

- Wielu pilotów na liniach międzynarodowych to robi, niemal każdy członek załogi, którego znam - kontynuował Robert. - Zwykle chodzi o biżuterię. Złoto, srebro, czasami kamienie.

Nie była pewna, czy go rozumie. Przypomniała sobie o biżuterii, którą dostała od Jacka przez ostatnie lata: na rocznicę złotą bransoletkę, na urodziny złoty naszyjnik, kiedyś, na Boże Narodzenie, kolczyki z diamentami.

- Bywają setki razy na lotnisku, tam i z powrotem. Dość dobrze znają kontrolerów i celników - wyjaśnił Robert. - Rozmawiają o swoich rodzinach i celnicy machają ręką, aby przechodzić dalej. Gest uprzejmości. Gdy latałem, pokazywałem paszport raz na pięćdziesiąt razy. A celnicy niemal nigdy nie zaglądali do mojego bagażu.

Kathryn potrząsnęła głową.

- Nie miałam pojęcia - przyznała. - Jack nigdy mi o tym nie mówił.

- Niektórzy piloci nie chwalą się tym. Rozumiem, że jeśli przywozi się żonie prezent, to informacja, że został on przemycony przez granicę, może trochę zepsuć przyjemność. Tak mi się wydaje.

- Też to robiłeś? - zapytała.

- Zawsze na Boże Narodzenie - przyznał. - Oto typowe pytanie, które pada, gdy załoga jedzie mikrobusem na lotnisko: Co masz zamiar przywieźć swojej żonie?

Kathryn stała zgarbiona, z rękami w kieszeni dżinsów.

- Dlaczego Jack w ogóle się nie odezwał? - zapytała. - Jeśli nie wiedział o bombie, powinien być tak samo zdziwiony jak Trevor Sullivan. Powiedziałby coś. Powiedziałby na przykład: „O czym ty mówisz?”. A nawet wykrzyknąłby coś.

- Niekoniecznie.

- Jack kłamał w sprawie swojej matki.

- I co z tego?

- Nie spał w pokoju hotelowym, jak reszta załogi.

- To jeszcze za mało.

- Ktoś podłożył w samolocie bombę.

- Jeśli to była bomba, ktoś ją z pewnością podłożył.

- I Jack musiał o tym wiedzieć - doszła do wniosku. - To była jego torba podróżna.

- Tego nie wiemy na pewno.

- Tamten marokański pilot popełnił samobójstwo - przypomniała mu Kathryn.

- To zupełnie inna sprawa.

- Skąd wiemy, że inna?

- Grasz teraz rolę adwokata diabła - zwrócił się do niej Robert, lekko zirytowany. - Tak naprawdę nie wierzysz, że Jack to zrobił. - Westchnął i odwrócił się do niej plecami. - Chciałaś wiedzieć, co było na taśmie - dodał - więc ci powiedziałem.

Kathryn rozprostowała faks, który wcześniej włożyła pod pachę. Na kartkach widniały całe kolumny nazwisk, jakieś dziewięć lub dziesięć stron, począwszy od członków załogi, z którą Jack latał ostatnio, aż do roku 1986, kiedy zaczął pracować w Vision. Przyjrzała się liście: Christopher Haverstraw, Paul Kennedy, Michael DiSantis, Richard Goldthwaite... Co jakiś czas, podczas odczytywania nazwisk, przed jej oczami pojawiała się czyjaś twarz, mężczyzny lub kobiety, z którymi oboje z Jackiem jedli kiedyś kolację, luhkogoś, kogo spotkali na przyjęciu, jednak większości tych ludzi Kathryn nie знаła, zwłaszcza że mniej więcej połowa z nich mieszkała w Anglii. Pomyślała, że życie pilota Vision jest dość dziwne, to zdecydowanie aspołeczna profesja. Członkowie załogi, z którą latał Jack, mieszkali albo osiemdziesiąt kilometrów od niego, albo za oceanem.

Dopiero na liście załogi z 1992 roku zobaczyła imię, na które bezwiednie padł jej wzrok, niezwykle imię, które uniosło się z kartki i przeszyło ją do szpiku kości.

Muire Boland.



Członek personelu pokładowego. Kathryn wymówiła je głośno. Muire Boland.

Była niemal pewna, że to imię kobiety. Zastanawiała się, czy jest francuskie i czy wymawia je prawidłowo. Otworzyła szufladę biurka Jacka. Nie znalazła tam, co prawda, koperty z banku, na której ołówkiem wypisane było z boku to imię, ale widziała je tak wyraźnie jak na kartce, którą trzymała w ręku. Muire 3.30 - tak brzmiała pośpiesznie sporządzona notatka na kopercie z reklamą Bay Banku.

Zdając sobie sprawę, że jeśli się choć na moment zawaha, sparaliżuje ją lęk, Kathryn wyjęła z kieszeni kupon loteryjny i położyła na biurku Jacka. Podniosła słuchawkę i po raz drugi wystukała zapisany tam numer. Po krótkiej chwili usłyszała kobiecy głos, ten sam co przedtem.

- Halo - szybko powiedziała Kathryn. - Czy zastałam Muire?

- Kogo?

Kathryn powtórzyła.

- Ach, chodzi pani o Muire - rzekła rozmówczyni i Kathryn miała okazję poznać prawidłową wymowę: Mjura, z nieco chropawym r. - Nie - poinformowała ją kobieta.

- Szkoda - powiedziała Kathryn, czując olbrzymią ulgę. Chciała natychmiast odłożyć słuchawkę.

- Muire była tu - dodała kobieta - ale wróciła już do siebie. Jest pani jej przyjaciółką?

Kathryn nie była w stanie odpowiedzieć. Ciężko usiadła na krześle.

- Kim pani jest? - dopytywała się kobieta z Londynu.

Kathryn otworzyła usta, ale nie mogła wymówić swojego nazwiska. Przyciskała słuchawkę do piersi.

„M u A” na kuponie loteryjnym, leżącym tuż przed nią. „Muire 3.30” na kopercie z banku. Dwie notatki, napisane ręką Jacka w odstępach czterech lat i mające związek z tym numerem telefonu.

Robert wyjął jej z ręki słuchawkę i odłożył na miejsce.

- Czemu pytałaś o Muire? - zapytał cicho. - Jesteś blada jak ściana.

- Żeby potwierdzić swoje przypuszczenia - powiedziała.

Kim jest kobieta o imieniu Muire? Co ją łączyło z Jackiem? Czy to z nią spędził ostatnią noc? Czyżby Jack miał romans? Pytania napływały jedno po drugim, siadając jak zmory na jej piersiach. Przypomniła sobie dowcipy, jakie opowiada się o pilotach i stewardesach. Zawsze traktowała je lekko, wierząc, że jej nie dotyczą.

- Robercie, czy mógłbyś dowiedzieć się czegoś więcej na temat konkretnej osoby z tej listy? - zapytała. - Na przykład, gdzie mieszka?

- Jeśli na pewno tego chcesz - odparł.
- To istne piekło - westchnęła.
- Więc daj sobie z tym spokój. Zastanowiła się nad taką ewentualnością.
- A ty zrobiłbyś to? - zapytała.
- Chciała oglądać telewizję - relacjonowała Julia. - Pomyślałam, że muszę zaproponować jej coś innego. Przypomniałam sobie, że ktoś dał mi na święta kasetę ze „Świadkiem”.

Robert wyszedł z gabinetu. Kathryn domyśliła się, że zmywa naczynia po obiedzie.

- To Jack ci ją dał.
- Być może. Miałam wrażenie, że wciągnęła ją akcja. Wstała o drugiej. Nawet coś zjadła.
- Nie pozwalaj jej oglądać telewizji - poprosiła Kathryn. - To bardzo ważne. Jeśli trzeba, przetnij kable.

Kathryn odwróciła się na obrotowym fotelu i spojrzała na warstwę puchu śnieżnego, rosnącą po zewnętrznej stronie parapetu. „Muire była tu”, powiedziała kobieta z Londynu.

- Czy Robert jest z tobą? - zapytała Julia.
- Tak.
- Był u mnie, wiesz o tym.
- Wiem.
- Wiesz zatem też...
- Pokój w hotelu? Tak.

Kathryn podniosła nogę i objęła ją ręką. Dwie notatki, w odstępie czterech lat, związane tym samym inicjałem. Kathryn poczuła ukłucie niepokoju, a na czole wystąpiły jej natychmiast kropelki potu.

- Nie trać wiary - powiedziała Julia.
- A jaka to miałyby być wiara? - zapytała Kathryn.
- Wiesz, co mam na myśli.
- Staram się o tym nie myśleć.
- Słuchałam prognozy pogody - powiedziała Julia. - Teraz twierdzą, że ma być od dziesięciu do dwunastu stopni.
- Lepiej zaraz stąd wyjadę - rzekła Kathryn, ocierając czoło rękawem.
- Nie bądź niemądra. Nie wyjeżdżaj, jeśli nie ma takiej potrzeby. Masz co jeść? Cała Julia. Zawsze troszczy się, czy nikt nie jest głodny.
- Już jadłam - uspokoiła ją Kathryn. - Mogę porozmawiać z Mattie? Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

- Wiesz, Mattie jest zajęta - powiedziała Julia. - Czuje się dobrze. Jeśli będziesz z nią rozmawiać, znowu posmutnieje i zamknie się w sobie. Musi odpocząć kilka dni, oglądać wideo i jeść prażoną kukurydzę. To działa jak narkotyk, a ona potrzebuje tego tak długo, jak to tylko możliwe. Musi wydobrzeć, Kathryn.

- Aleja chcę być z nią - zaprotestowała Kathryn.

- Posłuchaj, byłaś z nią niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Zrozum, sama twoja obecność powoduje, że rany z powrotem się otwierają. Ty nie możesz znieść jej bólu, a ona cierpi, widząc, jak bardzo jesteś zraniona. Normalnie nie kontaktujecie się w taki sposób.

- Ta sytuacja nie jest normalna.

- Może każdej z nas przydałoby się teraz choć trochę normalności - powiedziała Julia.

Kathryn podeszła do okna i chuchnęła na szybę. Śniegu napadało naprawdę dużo, trzeba będzie odśnieżyć podjazd. Na dachach samochodów było go już chyba ze dwadzieścia centymetrów.

Westchnęła. Zawsze ciężko było polemizować z doświadczoną Julią, zwłaszcza że często miała rację.

- Nie wyjeżdżaj z domu - powtórzyła Julia.

Śnieg padał jednostajnie przez całe popołudnie, pokrywając wszystko coraz grubszą warstwą. Od czasu do czasu zrywał się wiatr, zza okien dochodziło jego wycie, ale niemal natychmiast zamierało, jakby wichura nie miała odwagi przemienić się w zamieć. Gdy Robert telefonował z gabinetu Jacka, Kathryn krążyła po pokojach, spoglądała na ściany i wyglądała przez okna, krzyżowała ręce na piersiach i rozprostowywała je, powtarzając ten sam scenariusz w kolejnych pomieszczeniach. Czuła się tak, jakby chodzenie i myślenie było wszystkim, na co może się zdobyć.

Po pewnym czasie weszła do łazienki. Zdjęła ubranie i otworzyła kran prysznic, czekając, aż woda będzie ją niemal parzyć. Weszła do kabiny, pochyliła się, wyginając plecy w stronę prysznic, i stała tak dłuższy czas. Było jej bardzo przyjemnie. Zakończyła kąpiel dopiero wówczas, gdy zbiornik z ciepłą wodą całkowicie się opróżnił.

Gdy zakręciła kran, jej uszu dobiegły dźwięki muzyki. Nie z kompaktu, choć była to muzyka fortepianowa.

Poprawiła kołnierz długiego, szarego szlafroka z frotté, który sięgał jej niemal do kostek. Z lustra patrzyła na nią kobieta o twarzy bez wyrazu i pustych oczach.

Przeczesała włosy, zeszła po schodach, prowadzona dźwiękami muzyki do frontowego pokoju, gdzie przy fortepianie siedział Robert.

Znała ten utwór. To był Chopin. Położyła się na kanapie, dokładnie zasłaniając szlafrokiem kolana i nogi.

Zamknęła oczy. „Fantaisie Impromptu” była utworem bardzo bogatym, pięknym i niewątpliwie skomplikowanym w wykonaniu. Robert grał tak, jak rzadko zdarzało się jej słyszeć, bez sentymentalizmu, ale jednocześnie przekazywał zawarte w tej muzyce poruszające wspomnienia i zapomniane sekrety. Jego glissanda przywodziły jej na myśl rozsypujące się diamenty.

Fortepian stał w kącie, bokiem do okien. Robert miał podwinęte rękawy i Kathryn widziała najpierw jego dłonie, a potem przedramiona. Zdawało jej się, że padający śnieg poprawił jeszcze akustykę pokoju, a może po prostu nie dochodziły tu żadne hałasy z zewnątrz. Fortepian brzmiał lepiej niż kiedykolwiek, chociaż od miesięcy nie był strojony.

Słuchając gry Roberta, pomyślała, że jest tak jak przed laty. Bez telewizji, bez radia, bez wideo, tylko długie, białe popołudnia na spędzanie czasu po swojemu, w towarzystwie muzyki. To było bezpieczne. Mogła zająć myśli czymś innym, przestać myśleć o katastrofie, Jacku czy Mattie. Fortepian nie łączył jej z Jackiem. Należał tylko do niej. Dawał przyjemność w samotności, kojarzył się tylko z Julią, co też było bezpieczne.

- Nie miałam pojęcia - powiedziała, gdy skończył.
- Dawno nie siadałam do fortepianu - odparł, odwracając się do niej.
- Jesteś romantyczny - uśmiechnęła się. - Cudownie grałeś.
- Dziękuję.
- Zagrasz coś jeszcze?

Zrozumiała wtedy coś, z czego dotychczas nie zdawała sobie w pełni sprawy, że Robert jest mężczyzną z przeszłością. Miał za sobą życie, o którym niemal nic nie wiedziała: nauczył się grać na fortepianie, był pilotem, pił, ożenił się, miał dzieci, rozwiódł się, a teraz wykonuje dość niezwykły zawód.

Rozpoznała następny utwór: „Cień twojego uśmiechu”. Nastrój zmienił się w mgnieniu oka.

Gdy skończył, podrapał się po szyi i spojrzał przez okno.

- Pewnie napadało już ze trzydzieści centymetrów - zauważył.
- Podjazd jest nieodśnieżony - powiedziała. - Która godzina? Robert spojrzał na zegarek.
- Trzecia - odparł. - Chyba pójdę na spacer.
- W taką pogodę?
- Tylko na koniec podjazdu i z powrotem. Chcę trochę odetchnąć.

- Wiesz, że nie musisz wracać na noc do pensjonatu. W tym domu jest wystarczająco dużo łóżek. I dużo pokoi. Możesz spać na tapczanie w pokoju gościnnym - dodała. - Będzie ci wygodnie. Po to zresztą go mam.

- Mówiłaś, że po to, aby się w nim ukryć.

- Też.

- Informacje, o które mnie prosiłaś, leżą na biurku Jacka - rzekł Robert.

Chciała coś powiedzieć, ale potrząsnął głową. - Ze wszystkich ludzi - dodał - właśnie tobie nie powinno się to przytrafić.

Kathryn drzemała na kanapie kilka minut, a potem postanowiła iść na górę do sypialni i przespać się we własnym łóżku. Wzięła ze sobą tomik poezji.

Położyła się i zaczęła leniwie przerzucać kartki. Przeczytała kilka wierszy Gerarda Manleya Hopkinsa, Wordswortha i Keatsa. W pewnej chwili wpadło jej w oczy słowo „zdrady” i nagle uświadomiła sobie, że wreszcie znalazła właściwy wiersz. Ale niemal jednocześnie, zanim jeszcze przeczytała pierwsze wersy, zwróciła uwagę na słabo widoczną notatkę na wewnętrznym marginesie.

M!

Napisane ołówkiem, bardzo delikatnie, opatrzone wykrzyknikiem.

Właśnie tam. Bez najmniejszej wątpliwości.

Wyprostowała się gwałtownie i zaczęła uważnie czytać wiersz. Nosił tytuł „Antrim”, napisał go Robinson Jeffers. Jak się jej zdawało, dotyczył starożytnych bitew, toczonych na maleńkim skrawku lądu, zwanym prawdopodobnie Antrim. Mówił o krwi przelanej z wielu przyczyn, o zasadzkach i zdradach, o patriotyzmie i ofiarach poniesionych przez ludzi, których ciała zamieniły się w proch i czekają na zmartwychwstanie.

Co to znaczy?

W zamyśleniu nie zauważyła, że książka zsunęła się z tapczanu na podłogę. Położyła się i wtuliła twarz w poduszkę. Poczula się tak, jakby przebyła tysiące kilometrów.

Kiedy się obudziła, spojrzała z przyzwyczajenia na zegar, stojący na nocnym stoliku. Była trzecia trzydzieści rano. Spała dziewięć godzin. Co to za dzień? Dwudziesty ósmy? A może dwudziesty dziewiąty?

Wstała z łóżka i wyszła na korytarz. Drzwi do pokoju gościnnego były zamknięte. Robert wrócił ze spaceru i pewnie położył się spać, pomyślała. Czy zjadł kolację? Czytał książkę?

W kuchni nie było żadnego śladu, że ktoś przygotowywał tu posiłek. Kathryn zaparzyła kawę i naląła sobie pełną filiżankę. Przez okno nad zlewozmywakiem zobaczyła, że śnieg przestał padać. Podeszła do drzwi kuchennych i otworzyła je.



Natychmiast uderzył ją powiew mroźnego powietrza, a z okapu nad wejściem sypnęło śnieżnobiałym, lodowatym puchem. Gwałtownie zamrugła oczami i potrząsnęła głową.

Gdy po chwili jej wzrok przywykł do ciemności, zobaczyła, że świat wokół niej jest spowity grubą, białą pierzyną, a drzewa, krzaki i samochody przypominają białe kopce. Spadło tyle śniegu, że prognoza pogody, zapowiadająca trzydzieści centymetrów opadów, niewątpliwie była nazbyt optymistyczna. Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami.

Mu A.

Muire 3.30.

M!

Otulając się szczelniej szlafrokiem, Kathryn szybko wbiegła na górę do gabinetu Jacka, którego pustka wciąż ją zaskakiwała. Na biurku leżały informacje, o których wspomniał Robert.

Muire Boland, przeczytała, zrezygnowała z pracy w liniach lotniczych w 1993 roku. Po przeszkoleniu, jakie odbyła w oddziale Vision w Londynie, trzy lata pracowała jako stewardesa. Na kartce zapisany był jej telefon, adres i data urodzenia. Muire Boland miała trzydzieści jeden lat.

Obok numeru telefonu była notatka, którą zrobił Robert. Spróbuj zatelefonować pod ten numer, napisał. Gdy tam zadzwoniłem, nikt o niej nie słyszał. Poniżej znajdowało się kilka innych numerów. W książce telefonicznej Londynu aż siedem razy pojawiała się nazwisko M. Boland.

Kathryn usiłowała sformułować pytanie w rozsądny sposób wyjaśniając powód, dla którego dzwoni. Czy rozmówca zna Jacka Lyonsa? Jeśli tak, czy można mu zadać jedno lub dwa pytania? Czy to taka dziwna prośba?

Kathryn rozejrzała się po gabinecie, metalicznie monotonnym, o męskim wystroju. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że Jack miał romans. Jakżeby mogła, skoro sama widziała, jak na podstawie szczątkowych informacji powstają sensacje. Czyż nie tak się stało, gdy do prasy przeciekły strzępy wiadomości o treści nagrań z czarnej skrzynki?

Podniosła słuchawkę i wykręciła pierwszy numer. Odezwał się mężczyzna, który miał taki głos, jakby go obudził. Szybko obliczyła, która godzina jest w Londynie. Dziewiąta czterdzieści rano. Zapytała, czy zastała Muire.

Mężczyzna zakaszał w słuchawkę jak nałogowy palacz.

- Z kim chce pani rozmawiać? - zapytał, jakby nie dosłyszał pytania.

- Z Muire Boland - powiedziała.

- Nie ma tu żadnej Muire Boland - oznajmił mężczyzna.

- Przepraszam. - Kathryn odłożyła słuchawkę.

Skreśliła pierwszy numer na kartce i wykręciła drugi. Żadnej odpowiedzi. Spróbowała trzeci.

Usłyszała męski głos, brzmiący świeżo i trochę oficjalnie.

- Michael Boland, słucham - powiedział takim tonem, jakby spodziewał się telefonu.

- Przepraszam. To pomyłka.

Kathryn skreśliła trzeci numer i wykręciła czwarty. Odezwała się kobieta.

- Halo?

- Halo - powiedziała Kathryn. - Szukam pani Muire Boland. Cisza, jaka zapadła po drugiej stronie linii, była tak głęboka, że Kathryn słyszała echo jakiejś innej rozmowy przez Atlantyk.

- Halo? - odezwała się Kathryn.

Kobieta wyłączyła się i Kathryn została z głuchą słuchawką przy uchu. Wzięła do ręki ołówek, aby skreślić czwarty numer, ale nagle się zawahała.

Zamiast tego wykręciła piąty, potem szósty i siódmy. Gdy skończyła, przyjrzała się jeszcze raz całej liście. Był na niej mężczyzna, który nie znał Muire Boland; numer telefonu, który nie odpowiadał; Michael Boland, biznesmen; kobieta, która nie odezwała się do niej; kolejny numer, gdzie nikogo nie było; wiadomość na automatycznej sekretarce, nagrana przez kogoś, kto mówił trudnym do zrozumienia akcentem, że Kate i Murray oddzwonią, jeśli zostawi swój numer; nastolatka, która nie знаła Muire, ale powiedziała, że jej mama ma na imię Mary.

Jeszcze raz wykręciła czwarty numer.

- Halo? - usłyszała głos tej samej kobiety.

- Przepraszam - powiedziała szybko Kathryn, aby rozmówczyni nie zdążyła odłożyć słuchawki. - Szukam pani Muire Boland.

Znowu zapadła cisza, taka jak za pierwszym razem. W tle coś było słychać. Muzykę? Pracującą zmywarkę do naczyń? A potem Kathryn usłyszała jakiś dźwięk, jakby kobieta chciała coś powiedzieć, ale natychmiast zrezygnowała. I znowu cisza, tym razem krótsza.

- Tu nie mieszka żadna Muire - usłyszała w końcu.

Kathryn pomyślała, że musi być jakaś przerwa w czasie między jej myślami a głosem, ponieważ gdy otworzyła usta, aby coś powiedzieć, połączenie zostało przerwane.

Kiedy Robert wszedł rano do pokoju, Kathryn siedziała przy stole. Słońce już wstało, a śnieg za oknami był tak jaskrawy, że Robert musiał zmrużyć oczy, gdy

na nią patrzył. W jasnym świetle dnia widziała każdą zmarszczkę i każdy por na jego twarzy.

- Ale tu jasno - powiedział, odwracając głowę.

- Czasami trzeba w tym pokoju nosić okulary przeciwsłoneczne - zauważyła. -

Jack tak robił.

Obserwowała, jak Robert wciska koszulę do spodni.

- Jak spałaś? - zapytał.

- Dobrze. A ty?

- Świetnie.

Zauważyła, że spał w ubraniu. Pomyślała, że był zbyt zmęczony, aby się rozebrać.

Robert przyzwyczał się po chwili do jaskrawego słońca i dokładniej się jej przyjrzał.

- Coś się stało? - zapytał. Kathryn wyprostowała się na krześle.

- Jadę do Londynu - oznajmiła.

Nie wahał się. Ani sekundy się nie wahał.

- Jadę z tobą - powiedział.

RS

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Na trawie leżą rozpostarte obrusy, tworzące jakby gigantyczną narzutę, zszytą z kolorowych kawałków materiału. Siedzące na nich rodziny trzymają w rękach papierowe talerze lub prawdziwe srebro stołowe. Obok stoją plastikowe termosy z mrożoną herbatą. Dzieci biegają po zarośniętych ścieżkach, czasami nawet przeskakują przez rozłożone na obrusach przysmaki. Kathryn otwiera piknikowy koszyk, stary koszyk Julii, i wyjmuje z niego winogrona, chipsy, chleb pita, pastę z grochu, kostkę sera brie i niewielki kawałek czegoś cuchnącego. Stilton, przekonuje się, wachając ser. Niedaleko od niej stoi Jack, który rozmawia z dwoma innymi ojcami. Dzień jest pochmurny, trochę parny, a kręcące się wokół muchy zaczynają drażnić. Kathryn obserwuje, jak Jack schyla głowę, rozmawiając z niższym od siebie panem. W jednym ręku trzyma kubeczek z wodą sodową, drugą ma w kieszeni dzinsów. Śmieje się i podnosi głowę, napotykając przy tym wzrok Kathryn. Ona widzi w jego oczach lekkie znużenie tym życiem towarzyskim i nieme pytanie: „Kiedy to się skończy?”.

W pewnej odległości Kathryn widzi Mattie, stojącą na łące z grupą przyjaciół. Obejmuje się rękoma, jakby było jej zimno, chociaż tak nie jest. To dlatego, że ma piętnaście lat i nie wie, co z nimi zrobić. Twarz Mattie, która jest Kathryn zarazem znana i nieznana, przypomina dzieło sztuki podczas powstawania: dopiero niedawno nabrała pociągłego kształtu, w ustach nie ma już aparatu do ustawienia zgryzu.

- Niezłe zgromadzenie - mówi Barbara McElroy, siedząca na sąsiednim obrusie.

Kathryn przygląda się menu McElroyów: pieczone kurczaki, sałatka kartoflana z supermarketu, sałatka z białej kapusty, chipsy, pierniczki.

- Większe niż w zeszłym roku - zauważa Kathryn.

- Myślisz, że zagrają w piłkę? - pyta Barbara.

- Jeśli nie zaczną padać.

- Mattie urosła - powiada Barbara, patrząc w jej kierunku. Kathryn kiwa głową.

- Czy Roxanne jest tutaj? - pyta.

Ale zaraz żałuje tego pytania, ponieważ Roxanne, smukła piętnastolatka z kolczykiem w wardze, zapewne nie zechce uczestniczyć w corocznym szkolnym pikniku. Kathryn czasami rozmawia z nią w szkole. Dziewczyna często chodzi na wagary, a jej zachowanie pozostawia wiele do życzenia. A zatem, domyśla się Kathryn, Barbara przyszła tu ze względu na Willa, swojego siedmioletniego syna. Jej mąż, Louie, jest rybakiem i spędza dużo czasu poza domem.

Jak Jack, dorzuca w myślach Kathryn.

- Twoja babcia ma w witrynie sklepu wspaniałą, starą spizarkę - woła do niej Joyce Keys, siedząca tuż za Barbarą.

Kathryn spogląda również na prowiant Keysów: sałatka ryżowa z curry, wędzony łosoś, woda mineralna, konfetkake ze sklepu Marthy Ingerbretson. Joyce i jej mąż, James, są architektami, mają własną firmę w Portsmouth. Keys & Keys.

Podczas pikniku widać jak na dłoni przekrój społeczny miasta, myśli Kathryn.

- Nie widziałam - mówi.

- Czy Jack będzie grał? - pyta Barbara.

- Tak sądzę.

Przygląda się, jak jej mąż schyla głowę, rozmawiając z Arthurem Kahlerem, właścicielem stacji benzynowej Mobil, z którym czasem gra w tenisa. Dochodzi do wniosku, że Jack pewnie dlatego tak często narzeka na kręgosłup. Za często się schyla, słuchając, co inni do niego mówią. Ma na sobie białą koszulkę polo i sportowe buty. Innego typu mundur. Jack uderza się dłonią za uchem, patrzy na rękę i strząsa z palców muchę. Widzi, że Kathryn go obserwuje. Podchodzi do niej i siada na obrusie.

- Umieram z głodu - powiada.

- Zawołać Mattie?

- Nie. Przyjdzie, gdy poczuje głód.

- Będziesz grać w piłkę?

- Chyba tak - mówi, nalewając sobie wodę sodową.

- Zawsze się wahasz, a potem bardzo ci się to podoba - drażni się z nim Kathryn.

Jack przeciąga palcami po jej plecach. Dotknięcie jest niespodziewane i bardzo mile. Ma ochotę pochylić głowę i zamknąć oczy. Jack nie dotknął jej od wielu dni.

- Właściwie napiłbym się zimnego piwa - mówi, cofając rękę.

- Na szkolnym pikniku?

- Kahlerowi najwyraźniej to nie przeszkadza.

Kathryn patrzy w stronę Arthura Kahlera i widzi, że trzyma w dłoni duży, czerwony kubek z plastiku.

Wręcza Jackowi kawałek chleba pita z pastą z grochu.

- Marta powiedziała, że Arthur zamierza w przyszłym tygodniu zamknąć wszystkie pompy na stacji. Wymienia je na nowe. Będziemy musieli jeździć po benzynę do Ely Falls.

Jack kiwa głową.



- Ale ciebie i tak tu nie będzie - powiada Kathryn, pamiętając, że Jack wylatuje na coroczne dwutygodniowe szkolenie do Londynu.

- Nie. Nie będzie mnie.

- Wiesz co, tym razem mogłabym pojechać z tobą. Szkoła kończy się w przyszłą środę. Mogłabym polecieć do Londynu i spotkać się tam z tobą. Mielibyśmy prawie tydzień dla siebie. To byłoby wspaniałe.

Jack nie patrzy na nią. Propozycja zawisa nad obrusem jak dym z papierosa w wilgotny dzień.

- Mogłabym zostawić Mattie z Julią - dodaje Kathryn. - Mattie byłaby zachwycona, gdyby pozbyła się nas na tydzień.

- Nie wiem - mówi powoli Jack, odwracając się do niej.

- Od wieków nie byłam w Londynie - upiera się. - I nigdy na dłużej. Jack potrząsa głową.

- Nie byłabyś zadowolona. Te treningi nie mają końca. Całe dni spędzamy na symulatorach. Wieczorami mamy zajęcia. Jadamy z brytyjskimi załogami. W ogóle byśmy się nie widywali. Nie mielibyśmy kompletnie czasu dla siebie.

- Nie nudzę się, gdy jestem sama - powiada, nie wiedząc, dlaczego tak się upiera przy tej propozycji.

- No to jaki jest sens, abyś przyjeżdżała do Londynu, gdy ja tam będę? - pyta zirytowany. - Równie dobrze możesz pojechać tam sama.

Kathryn gryzie się w policzek.

- Posłuchaj - mówi pojednawczo Jack. - Będę sfrustrowany, wiedząc że czekasz na mnie w hotelu, że mogliśmy razem zwiedzać Londyn. To szkolenie jest wystarczająco ciężkie i bez tego. Nie sędzę, aby było mi potrzebne dodatkowe napięcie.

Obserwuje jego twarz, przystojną twarz, przyciągającą wzrok przechodniów.

- Coś ci powiem - powiada Jack. - Może przyjechałabyś do mnie pod koniec szkolenia i wybralibyśmy się razem do Hiszpanii. Wezmę parę wolnych dni i polecimy do Madrytu. Albo jeszcze lepiej, spotkajmy się od razu tam.

Wydaje się bardziej ożywiony, zadowolony, że udało mu się znaleźć jakiś kompromis.

- Pojedziemy także do Barcelony - dodaje. - Jest wspaniała.

- Byłeś tam? - pyta Kathryn.

- Nie - szybko odpowiada. - Ale słyszałem.

Kathryn zastanawia się nad podróżą do Hiszpanii razem z Jackiem. Wie, że dobrze by się bawili, ale nie chodziło jej o Hiszpanię. To nie zmieni faktu, że Jack

i tak opuści ją na dwa tygodnie, a córkę na jeszcze dłużej. Chciała pojechać z nim do Londynu.

Za plecami Jacka widzi baczne spojrzenie Barbary McElroy. Barbara doskonale wie, jak to jest, gdy zostaje się samą na długi czas.

- To brzmi jak randka - mówi Kathryn, zdobywając się na żartobliwy ton.

- Hej, Lyons! - woła ktoś, podchodząc do ich obrusa.

Kathryn podnosi głowę i widzi Sonny'ego Philbricka, faceta z wielkim brzuchem, świadczącym o upodobaniu do piwa. Sonny trąca Jacka w stopę.

- Cześć, Sonny - wita go Jack.

- Jak tam latający interes? - pyta Sonny.

- Dzięki, w porządku - mówi Jack. - A jak tam w biznesie wideo?

- Jakoś leci. Dokąd się teraz wybierasz? Kathryn zaczyna przygotowywać coś do jedzenia.

Jack prostuje nogi. Kathryn wie, że nie zamierza wstać, bo nie chce zachęcać Philbricka do dłuższej rozmowy. Syn Philbricka, który jest w wieku Mattie, chłopiec o drobnej budowie i ładnej twarzy, jest znakomitym szachistą, być może nawet geniuszem w tej dziedzinie.

- Do Londynu - mówi Jack.

- Do Londynu?

- Tak, do Londynu - powtarza Jack.

Kathryn słyszy wysiłek w głosie męża, aby być uprzejmym. Oboje wiedzą, dokąd zmierza ta rozmowa. Do tego samego, co wszystkie rozmowy Jacka z facetami pokroju Philbricka.

- Na długo? - pyta Philbrick, patrząc wprost na Kathryn.

- Na dwa tygodnie - odpowiada Jack.

- Dwa tygodnie! - wykrzykuje Philbrick z udawanym zaskoczeniem. - Ty i te wszystkie stewardesy, razem aż przez dwa tygodnie. Człowieku, lepiej dobrze się sprawuj.

Philbrick rzuca chytre spojrzenie Kathryn, która dochodzi do wniosku, że w szkole zapewne terroryzował kolegów.

- Nie mówi się „stewardesa” tylko „personel latający” - poprawia go Jack.

- Jak go zwał, tak go zwał.

- Prawdę powiedziawszy - mówi wolno i wyraźnie Jack - pieprzę się na lewo i na prawo, ile tylko się da.

Przez chwilę na twarzy Philbricka maluje się zaskoczenie. Ale zaraz uśmiecha się szeroko i macha w powietrzu papierowym kubkiem. Jego donośny śmiech przyciąga uwagę siedzących opodal ludzi.

- Wyjątkowy z ciebie facet, Lyons. Zapada krępująca cisza. Jack nie odpowiada.  
- No dobrze, zobaczymy się na meczu - mówi Philbrick. - Będziesz grał, prawda?

Jack kiwa głową i zagląda do koszyka. Kathryn patrzy za odchodzącym Philbrickiem.

- Chryste - wzdycha Jack.

RS

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Czekając na wejście do samolotu, trzymali się z dala od innych pasażerów. Przez wielkie szklane okna widać było wysokie zaspę nieprawdopodobnie białego śniegu, które stały jak na straży przy płycie lotniska. Robert zwinął w kostkę swój płaszcz i położył na plastikowym krzeselku. Na wierzchu postawił podręczną torbę (Kathryn pomyślała, że kobieta nigdy by czegoś takiego nie zrobiła) i zaczął czytać „Wall Street Journal”. Kathryn przewiesiła płaszcz przez ramię i obserwowała przez okno samolot, połączony z budynkiem harmonijkowym rękawem. Jest bardzo ładny, pomyślała, cały biały, z czerwonymi oznaczeniami i logo Vision. T-900 był tak ustawiony, że mogła zajrzeć do wnętrza kokpitu, gdzie widziała kilku mężczyzn w koszulach, ich twarze zatopione w mroku, ramiona przesuwające się nad pulpitemi sterowania, gdy sprawdzali gotowość do lotu. Zastanawiała się, czy spotkała kogoś z tej załogi. Czy uczestniczyli w uroczystościach żałobnych?

Bolały ją nogi i miała ochotę usiąść, ale musiałyby wcisnąć się na wolne krzesło między dwoma pasażerami z mnóstwem bagażu. Na szczęście, za kilka minut mieli wejść na pokład. Kathryn była ubrana w kostium z czarnej wełny, swój strój pogrzebowy, i bardziej przypominała kobietę interesu niż nauczycielkę. Być może prawniczkę, która udaje się służbowo do Londynu. Włosy miała luźno związane, w uszach kolczyki z perłami. W ręku trzymała skórzane rękawiczki, na szyję zarzuciła czarny szydełkowy szal. Czowała, że prezentuje się całkiem dobrze, zważywszy na okoliczności. Niewątpliwie była bardziej zadbana niż przez ostatnie tygodnie, choć trochę schudła i zdawała sobie sprawę, że wygląda starzej niż jeszcze dwanaście dni temu.

Tamtego ranka, gdy powiedziała Robertowi o swoich planach wyjazdu do Londynu, pojechała do Julii, aby poinformować o tym Mattie. Mattie przyjęła wiadomość o jej podróży z całkowitą obojętnością. Jej jedyny czytelny komentarz, wyłowiony spośród westchnień i stłumionych wyrazów rozdrażnienia, brzmiał: „Jak chcesz”.

- Jadę tylko na dwa dni - wyjaśniła Kathryn.

- Świetnie - powiedziała Mattie. - Mogę już wrócić do łóżka? W kuchni Julia usiłowała wytłumaczyć zachowanie Mattie.

- Ona ma piętnaście lat - argumentowała babcia, która od dawna była już na nogach. Miała na sobie dzinsy i zielony pulower. - Musi kogoś winić, więc wini ciebie. Wiem, że to zupełnie irracjonalne. Zapewne nie pamiętasz, ale przez pewien czas po śmierci rodziców winą za to, co się stało, obarczałaś mnie.

- Nieprawda - zachnęła się Kathryn.

- Prawda. Nigdy nie powiedziałaś tego wprost, ale ja nie miałam wątpliwości. Z czasem to minęło. W tym wypadku także minie. Mattie chciałaby obwinie swojego ojca. Jest na niego wściekła, że ją opuścił, że tak drastycznie zmienił całe jej życie. Jednak nie może go obarczyć winą. Praktycznie jest jedynym jego obrońcą. Już niedługo Mattie przestanie gniewać się na ciebie i znajdzie właściwy obiekt swej złości. W tej sytuacji musisz jedynie mieć baczenie, aby jej gniew nie zatoczył pełnego koła, aby nie zaczęła siebie obwiniać za śmierć ojca.

- A zatem powinnam zostać - westchnęła Kathryn.

Jednak Julia usilnie namawiała ją, aby nie zmieniała planów. W głębi duszy Kathryn czuła, że Julia chce, aby wyjechała, nie tyle dla swojego dobra, ile dla dobra Mattie.

Jako wdowa po pilocie Kathryn mogła podróżować za darmo wszędzie tam, gdzie odbywały rejsy samoloty Vision. Jeśli były wolne miejsca, przysługiwał jej bilet pierwszej klasy. Dała znak Robertowi, aby usiedli przy oknie, i wsunęła bagaż pod stojący przed nią fotel. Natychmiast poczuła w kabinie stęchłe powietrze o charakterystycznym, sztucznym zapachu. Przez otwarte drzwi do kokpitu widziała przygotowującą się do lotu załogę. Rozmiary kokpitu zawsze ją zadziwiała. Czasami to pomieszczenie było mniejsze niż przednie siedzenia w samochodzie. Zastanawiała się, jak mogło tam dojść do sytuacji, jaką sugerowały nagrania z czarnej skrzynki. Starczyło w nim miejsca zaledwie dla trzech siedzących mężczyzn, a według tamtej relacji piloci poruszali się, a nawet popychali.

Ze swojego fotela widziała tylko jedną trzecią kokpitu, fragmenty sylwetki każdego z pilotów. Patrząc na pulpit sterowniczy, mocne ramiona i pewne gesty, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że mężczyzna siedzący na lewym fotelu to Jack. Dostrzegła podobieństwo w zarysie ramion i odcieniu jasnej skóry po wewnętrznej stronie nadgarstka. Kathryn nigdy nie podróżowała samolotem, który pilotował Jack.

Kapitan wstał i zwrócił się w stronę kabiny pierwszej klasy. Spojrzał na Kathryn, która wyczytała z jego wzroku, że chciałby złożyć jej wyrazy współczucia. Był starszym mężczyzną o szpakowatych włosach i jasnobrązowych oczach. Wydawał się bardzo miły. Kiepsko radził sobie ze składaniem kondolencji i Kathryn polubiła go za ten brak zdolności wysławiania się. Podziękowała i nawet zdobyła się na słaby uśmiech. Powiedziała, że radzi sobie tak dobrze, jak można w zaistniałych okolicznościach, co było akurat tyle, ile na jego miejscu każdy chciałby usłyszeć. Kapitan zapytał też, czy zamierza udać się do Malin Head, aby



spotkać się z rodzinami innych ofiar, a ona odpowiedziała szybko i może zbyt stanowczo, że nie ma takich planów. Widząc jego zażenowanie, odwróciła się i przedstawiła mu Roberta Harta. Kapitan spojrzał na niego z uwagą, jakby usiłował sobie przypomnieć, czy już wcześniej gdzieś go nie spotkał. Po chwili przeprosił ich, pożegnał się i wszedł do kokpitu, ryglując za sobą drzwi. Dla swojego bezpieczeństwa. Dla bezpieczeństwa ich wszystkich.

Stewardesa zabrała kieliszki po szampanie, którym wcześniej poczęstowała pasażerów, i Kathryn ze zdziwieniem zauważyła, że wypila całą porcję. Nie pamiętała, co prawda, kiedy to się stało, ale w ustach czuła jeszcze jego smak. Spojrzała na zegarek: dwudziesta czternaście. W Londynie była pierwsza czternaście w nocy.

Samolot zaczął się toczyć na pas startowy. Pilot - może ów kapitan z jasnymi oczami - rozgrzewał silniki do startu. Serce Kathryn zatrzymało się na czas jednego, długiego uderzenia, a potem gwałtownie zabiło w piersiach. Jej pole widzenia zawęziło się do małej kropki, takiej, jaka pozostaje czasami na ekranie po wyłączeniu telewizora. Zaciśnęła dłonie na poręczach fotela i zamknęła oczy. Przygryzła dolną wargę. Zasłona z ochronnej mgły rozproszyła się i Kathryn zobaczyła wszystko, co podpowiedziała jej wyobraźnia: kawałki zerwanej podłogi w kabinie; jakąś osobę, chyba dziecko, przypiętą pasami do fotela, który szybował w powietrzu; ogień, początkowo w luku towarowym, a potem rozprzestrzeniający się także w kabinie pasażerskiej.

Samolot nabierał niesamowitego rozpędu. Potężny i ciężki kadłub T-900 nie chciał unieść się w powietrze. Kathryn zamknęła oczy i zaczęła odmawiać jedyną znaną sobie modlitwę: Ojcze nasz...

Nigdy przedtem nie odczuwała w samolocie strachu. Nawet na transatlantyckich trasach, nawet kiedy mocno rzucało. Jack był zawsze bardzo spokojny, jako pilot i jako pasażer, i jego spokój spływał na Kathryn jakby w wyniku osmozy właściwej małżonkom. Teraz jednak pozbawiona była takiej ochrony. Jeżeli dotychczas wierzyła, że w samolocie jest bezpieczna, ponieważ Jack w to wierzył, czyż nie wynika z tego, że teraz i ona może zginąć w katastrofie lotniczej, tak jak on? Nagle ogarnął ją wstyd, bo poczuła, że będzie wymiotować. Robert położył rękę na jej plecach.

Gdy samolot był już w powietrzu, Robert dał znać stewardesie, która przyniosła wodę z lodem i zimne ręczniki, a także niepozorną papierową torebkę. Ciało Kathryn się zbuntowało, niezdolne zaznać ulgi, że oderwało się od ziemi. Zwymiotowała wypitego szampana. Zdziwiło ją, że strach przed własną śmiercią

może sięgnąć aż do trzewi: nawet gdy dowiedziała się o śmierci Jacka, nie odczuła mdłości.

Gdy tylko zaświecił się napis, że można odpiąć pasy, Kathryn wstała i chwiejnym krokiem udała się do toalety. Stewardesa podała jej plastikową torebkę ze szczoteczką do zębów, pastą, odświeżającymi chusteczkami, mydłem i grzebieniem. Kathryn doszła do wniosku, że takie zestawy są zawczasu przygotowane dla pasażerów, którzy źle znoszą lot. Ciekawe, czy dostają je tylko posiadacze biletów pierwszej klasy, czy też wszyscy?

Umyła twarz w maleńkiej łazience. Miała wilgotną od potu halkę i bluzkę, wytarła więc kark i pachy papierowymi ręcznikami. Samolotem zakołysało i Kathryn uderzyła lekko głową o szafkę. Umyła zęby, najdokładniej jak mogła, myśląc o tym, ile razy podśmiewała się w duchu z ludzi, którzy boją się latać.

Gdy wróciła na miejsce, Robert wstał i wziął ją pod ramię.

- Sama nie wiem, jak to się stało - powiedziała, siadając na fotelu i wskazując mu miejsce obok. - Myślę, że ze strachu. Byłam pewna, że samolot nie oderwie się od ziemi i jeżeli będziemy jechać z taką prędkością, z pewnością się rozbijemy.

Delikatnie ścisnął ją za ramię.

Odchyliła do tyłu fotel, po czym Robert zrobił to samo. Niemal ociągając się, sięgnął do torby i wyjął jakieś czasopismo.

Kathryn dotknęła palcami obrączki ślubnej.

Z głośników dobiegał dźwięczny, uspokajający głos kapitana. Jednak Kathryn wciąż kiepsko znosiła lot. Przyczyną złego samopoczucia była niemożność zaakceptowania pojęcia samolotu, który mimo swej wagi pokonuje siłę grawitacji i leci w powietrzu. Rozumiała aerodynamikę lotu, rozumiała prawa fizyki, które umożliwiają latanie, ale serce w tym momencie w ogóle jej nie słuchało. Jej serce wiedziało, że samolot może spaść na ziemię.

Kiedy się obudziła, w samolocie i na zewnątrz było ciemno. Na ekranie monitora w przedniej części kabiny pokazywano jakiś film bez dźwięku. Lecieli w kierunku wschodu słońca. Gdy Jack umierał, jego samolot leciał w mroku, jakby uciekał od słońca.

Przez okno widziała chmury. Była ciekawa, nad czym przelatują. Nad Nową Fundlandią? Atlantykiem? Malin Head?

Zastanawiała się, czy serce przestaje bić na skutek wstrząsu spowodowanego wybuchem bomby, czy też zatrzymuje się w chwili absolutnej pewności, że śmierć jest nieunikniona, lub pęka, nie mogąc znieść horroru, jakim jest spadanie w ciemności, a może jednak pracuje do momentu, aż ciało zderzy się z wodą.

Jakie uczucie ogarnia człowieka, który widzi, że kokpit odrywa się od kabiny, a potem, będąc wciąż przypasany do fotela, spada w ciemność nocy, zdając sobie sprawę, że jego ciało, pędzące z piorunującą prędkością, za moment zderzy się z wodą? To właśnie z pewnością przeżywał Jack, jeśli zachował świadomość. Czy wołał Kathryn? Czy może imię jakiejś innej kobiety? Czy w końcu przyzywał Mattie? A może w chwili ostatecznej desperacji Jack wołał swoją matkę?

Miała nadzieję, że jej mąż nie zdążył nikogo zawołać, że nie miał świadomości, iż umiera.

W taksówce Robert wyprostował nogi. Złote guziki przy jego swetrze uruchomiły alarm, gdy przechodził przez bramkę kontrolną na lotnisku. Miał na sobie szare spodnie, białą koszulę i krawat w czarno-złote paski. Wydawał się szczuplejszy niż poprzedniego dnia.

Uniosła do góry rękę i poprawiła sobie włosy. Na siedzeniu między nimi leżały dwie torby podręczne, obie zadziwiająco małe. Kathryn pakowała swoją w pośpiechu, bez większego namysłu. Wzięła ze sobą zmianę bielizny, rajstopy i bluzkę. Do Londynu przylecieli o czasie i teraz jechali taksówką przez ładną dzielnicę mieszkaniową. W pewnej chwili samochód ostro zahamował i zatrzymał się przy krawężniku.

Przez strugi deszczu Kathryn przyglądała się ulicy, przy której stały szeregiem zdobione białą sztukaterią domy o identycznych fasadach. Wszystkie budynki miały wysokość trzech pięter, a na parterze ozdobne wykuszowe okna. Od trotuaru oddzielały je lekkie ogrodzenia z kutego żelaza. Przed każdym domem, na kolumnowych portykach wisały latarnie. Jedynie frontowe drzwi budynków miały własny, indywidualny charakter. Niektóre były z grubego drewna, ozdobione panelami, inne przeszklone, jeszcze inne pomalowane na ciemnozielono. Dom, przed którym zatrzymała się taksówka, oznaczony był numerem dwadzieścia jeden, wygrawerowanym na małej mosiężnej tabliczce.

Kathryn oparła się mocniej o tapicerowane siedzenie.

- Jeszcze nie - powiedziała.

- Chcesz, żebym ja tam poszedł? - zapytał Robert. Zastanawiała się nad jego propozycją, wygładzając spódnice. Szofer czekał na decyzję ze stoickim spokojem.

- Co byś zrobił, gdybyś tam poszedł? - zapytała.

Robert potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć, że nie zastanawiał się nad tym. Lub że robi to, o co go poprosi.

- A co ty byś zrobiła? - zapytał.

Kathryn czuła, że kręci się jej w głowie, i pomyślała, że nie jest w stanie przewidzieć reakcji swojego ciała. Jeśli człowiek nie myśli o najbliższej przyszłości, wówczas musi pogodzić się z tym, że będzie nieprzygotowany na spotkanie z rzeczywistością.

Podróż do hotelu była bardzo krótka, a ulica, przy której stał, do złudzenia przypominała tę, z której właśnie wracali. Hotel mieścił się w siedmiu lub ośmiu kamienicach, ale wchodziło się do niego kameralnym wejściem. Wyższe piętra obwiedzione były nieskazitelnie białymi balustradami.

Robert wziął dwa sąsiednie, ale niepołączone ze sobą pokoje. Pomógł jej zanieść rzeczy na górę.

- Lunch zjemy w pubie na dole - zaproponował i spojrzął na zegarek. - O dwunastej?

- Świetnie.

- Nie musisz tego robić - dodał.

Jej pokój był mały, ale bardzo wygodny. Na ścianach, wyłożonych tapetami w dyskretny wzór, wisiały mosiężne kinkiety. Pod ścianą stało biurko, tapczan, był też przyrząd do prasowania spodni i mała wnęka, gdzie można było wypić kawę lub herbatę.

Wzięła prysznic, zmieniła bieliznę i bluzkę, a potem uczesała włosy. Patrząc w lustro na swoje odbicie, zasłoniła nagle twarz dłońmi. Już nie mogła dłużej uciekać od myśli, że w tym mieście coś się zdarzy, coś na nią czeka.

Pomyślała, że czasami odwaga to nic więcej niż konsekwentne stawianie jednej stopy przed drugą.

Pub był mroczny, z wnękami wyłożonymi drewnem. Z głośników pod sufitem płynęła irlandzka muzyka. Na ścianach wisiały oprawione w złote ramy grafiki, przedstawiające sylwetki koni na ciemnozielonym tle. Przy barze siedziało z pół tuzina mężczyzn, pijących piwo z dużych szklanek, we wnękach biznesmeni omawiali interesy. Kathryn dostrzegła Roberta w drugim końcu sali, siedzącego wygodnie na kanapce. Wyglądał na zadowolonego, może nawet bardziej niż zadowolonego. Pomachał do niej ręką.

Podeszła do stolika i położyła torebkę na sąsiedniej kanapce.

- Pozwoliłem sobie zamówić ci coś do picia - powiedział.

Rzuciła okiem na stolik. Przed Robertem stała szklanka wody mineralnej. Siadając obok niego, Kathryn dotknęła stopą jego buta, ale uznała, że byłoby niegrzecznie, gdyby się przesunęła.

- Jak to się stało? - zapytała nagle, wskazując dłonią na wodę. - Mam na myśli picie. Przepraszam. Nie gniewasz się, że pytam?

- Nie - odparł, potrząsając głową. - Moi rodzice byli profesorami w college'u w Toronto. Co wieczór zapraszali do siebie studentów - prowadzili coś w rodzaju salonu. Głównym punktem imprezy była zawsze taca z butelkami. Studenci lubili to, rzecz jasna. Zacząłem się do nich przyłączać, gdy miałem piętnaście lat. Kiedy teraz o tym myślę, odnoszę wrażenie, że moi rodzice najprawdopodobniej przyczynili się do zwiększenia liczby alkoholików.

- Jesteś Kanadyjczykiem?

- Z urodzenia. Ale teraz już nie.

Kathryn przyglądała się twarzy mężczyzny, który siedział obok niej. Co o nim wie, poza tym, że jest dla niej miły? Wszystko wskazywało na to, że jest dobry w swoim fachu, a także bez wątpienia pociągający. Zastanawiała się, czy towarzyszył jej w podróży do Londynu z racji swoich obowiązków służbowych.

- Być może przyjazd tutaj okaże się stratą czasu. - Usłyszała w swoim głosie nutkę nadziei, jakby wykryła w piersi podejrzany guz, a potem doktor powiedział jej, że to nic groźnego, po prostu nic groźnego. - Przepraszam, Robercie - odezwała się po chwili. - To był wariacki pomysł. Pewnie myślisz, że oszalałam. Naprawdę, przykro mi, że cię w to wciągnęłam.

- Bardzo lubię Londyn - powiedział szybko Robert, jakby nie chciał przyznać, że ich wyprawa może okazać się fiaskiem. - Powinnaś coś zjeść - dodał. - Nie znoszę irlandzkiej muzyki. Czemu jest zawsze taka ponura?

Uśmiechnęła się.

- Byłeś tu już przedtem? - zapytała, aby zmienić temat. - W tym hotelu?

- Bywam tu dość często - odparł. - W ramach podtrzymywania więzi przyjaźni z naszymi brytyjskimi partnerami.

Kathryn zaczęła przeglądać menu, ale szybko położyła kartę na nieco lepkiem blacie stołu.

- Masz piękną twarz - powiedział niespodziewanie.

Zaczerwieniła się. Od dawna nikt jej tego nie mówił. Czowała się zakłopotana tym rumieńcem, nie chciała, aby wiedział, że ma to dla niej znaczenie. Ponownie wzięła do ręki menu.

- Nie chce mi się jeść, Robercie. Nie mam ochoty.

- Chciałbym ci coś powiedzieć - zaczął.

Kathryn uniosła dłoń. Nie chciała słuchać niczego, co wymagałoby z jej strony odpowiedzi.

- Przepraszam. - Wycofał się, odwracając głowę. - Tobie nie jest to potrzebne.

- Uprzytomniłam sobie, jakie to przyjemne - rzekła cicho. Zaskoczona zauważyła, że nie mógł ukryć rozczarowania jej chłodnym nastawieniem.



- Muszę już iść - oznajmiła zdecydowanym tonem.
- Pójdę z tobą.
- Nie - zaproponowała. - Muszę to zrobić sama. Pochylił się i pocałował ją w policzek.
- Bądź ostrożna - powiedział.

Wyszła na ulicę jak w transie, ale szła przed siebie szybko i pewnie. Złapała taksówkę, która podwiozła ją przed wejście do wąskiego budynku. Widziała go niecałą godzinę temu. Przyjrzała się ulicy i w oknie na parterze domu, przed którym stanął samochód, zauważyła różową lampkę. Zapłaciła taksówkarzowi, a gdy stanęła na chodniku, dotarło do niej, że dała mu za dużo pieniędzy.

Deszcz spływał z brzegów jej parasolki. Po chwili miała już mokre rajstopy. Gdy stała na schodach, przed okazałymi drzwiami wejściowymi, pomyślała nagle: Nie muszę tego robić. Jednak w tym samym momencie zrozumiała, że właśnie pewność, iż to robi, pozwoliła jej na luksus wahania.

Uniosła ciężką mosiężną kołatkę i zastukała do drzwi. Usłyszała kroki na schodach i urywany płacz dziecka. Drzwi otworzyły się gwałtownie, jakby osoba w środku spodziewała się jakiejś przesyłki.

Stanęła w nich kobieta - wysoka, dość koścista, z ciemnymi włosami sięgającymi podbródka. Mogła mieć trzydzieści, trzydzieści pięć lat. Trzymała na ręku dziecko, którego wygląd tak zaskoczył Kathryn, że omal nie krzyknęła.

Zaczęła dygotać pod płaszczem. Parasolka opadła pod dziwnym kątem.

Kobieta z dzieckiem wydawała się zaskoczona, a przez moment nawet zdumiona. Ale już po chwili wyraz zdumienia zniknął z jej twarzy. - Od lat wyobrażałam sobie tę sytuację - powiedziała.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Rysy tej kobiety wyryły się w świadomości Kathryn tak mocno jak kwas trawiący kliszę fotograficzną. Piwne oczy, grube, ciemne brwi. Wąskie dżinsy, długie nogi. Klapki w kolorze kości słoniowej, dość znoszone, przypominające kapcie. Różowa koszula z podwiniętymi rękawami. W głowie Kathryn kłębiły się setki pytań. Kiedy? Od jak dawna? Jak do tego doszło? Dlaczego?

Kobieta trzymała na rękach chłopczyka. Chłopczyka o niebieskich oczach. Ich odcień był nieco zróżnicowany, chociaż nie tak wyraźnie jak u jego ojca.

Pętla czasu otworzyła się i Kathryn stanęła oko w oko w rzeczywistością.

Była tak zaszokowana widokiem kobiety i jej synka, że tylko siłą woli nie oparła się o drzwi. - Proszę wejść.

To zaproszenie przerwało długą ciszę, która zapadła między obiema kobietami. Nie było to jednak wcale zaproszenie, nie zostało złożone w taki sposób, jak to się zwykle robi, z uśmiechem lub cofając się o krok, aby przepuścić wchodzącą osobę. Było to raczej oświadczenie, proste i bez żadnej intonacji w głosie, jakby kobieta chciała przez to powiedzieć: Żadna z nas nie ma wyboru.

Instykt podpowiadał Kathryn, że powinna wejść do środka, schować się przed deszczem. Usiąść.

Złożyła parasolkę i przekroczyła próg domu. Kobieta przytrzymała jedną ręką drzwi, drugą synka. Dziecko, być może z powodu ciszy, bacznie przyglądało się wchodzącej. Dziewczynka siedząca w obszernym holu także przerwała zabawę.

Woda z parasolki Kathryn skapywała na lakierowany parkiet. Przez kilka sekund obie kobiety stały przy wejściu. Kathryn przyglądała się uczesaniu kobiety. Doskonale ostrzyżona, w przeciwieństwie do niej. Bezwiednie dotknęła swoich włosów i natychmiast tego pożałowała.

W holu było bardzo ciepło, niemal gorąco i parno. Kathryn czuła, że jej bluzka robi się wilgotna od potu, a miała jeszcze na sobie wełniany kostium i płaszcz.

- Ty jesteś Muire Boland - powiedziała.

Dziecko, które kobieta trzymała w ramionach, chociaż innej płci i o nieco ciemniejszych włosach, do złudzenia przypominało maleńką Mattie - może mieć z pięć miesięcy, przypuszczała Kathryn. Gdy to sobie uświadomiła, wydało się jej, że ta kobieta, której nigdy przedtem nie spotkała, trzyma na ręku jej dziecko.

Jack miał syna.

Ciemnowłosa kobieta odwróciła się i ruszyła w stronę salonu, dając Kathryn do zrozumienia, aby poszła za nią. Bawiąca się w holu dziewczynka, bardzo ładna, z

dużymi źrenicami i wydatnymi ustami, nie spuszczała z Kathryn wzroku. Zebrała kilka klocków z podłogi i przyciskając je do piersi, posuwała się wzdłuż ściany, idąc za matką do pokoju. Była do niej bardzo podobna, natomiast syn przypominał ojca.

Kathryn postawiła parasolkę w kącie i poszła za nimi. Muire Boland stała odwrócona tyłem do kominka, czekając na nią. Z jej strony nie padło jednak zaproszenie, aby Kathryn usiadła, i nie należało się tego spodziewać.

Pokój, bardzo wysoki, miał ściany pomalowane na cytrynowy kolor, a dekoracyjne stiuki pokryte błyszczącą białą farbą. Duże wykuszowe okna na frontowej ścianie były zamknięte i zasłonięte długimi do ziemi, przezroczystymi firanami. Wokół rzeźbionego drewnianego stolika stało kilka niskich krzeseł z kutego żelaza, na których leżały wielkie, białe poduszki. Meble te przypominały Kathryn arabskie wnętrza. Nad kominkiem, ponad głową kobiety, wisiało lustro w masywnych złotych ramach, w którym odbijała się również stojąca w drzwiach Kathryn - obie kobiety obejmowała jedna rama. Na kominku stała fotografia, różowozłota waza i figurka z brązu. Po obu stronach wykuszowego okna ustawione były wysokie regały z książkami. Na podłodze leżał dywan w szarzielonych odcieniach. Mimo monumentalnej architektury i paskudnej pogody za oknami wewnątrz wydawało się jasne i obszerne.

Kathryn musiała usiąść. Położyła rękę na oparciu drewnianego krzesła, które stało tuż przy wejściu do pokoju. Usiadła na nim ciężko, jakby nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa.

Czuła się stara, starsza od stojącej przed nią kobiety, a przecież były prawie w tym samym wieku. Kathryn pomyślała, że to pewnie z powodu dziecka, które jest świadectwem świeżej miłości, a także sprawiającego satysfakcję seksu. Może była to również kwestia innego stroju. Tamta miała na sobie dżinsy, a ona czarny kostium, a do tego siedziała sztywno, z torebką na kolanach.

Prawa noga drżała jej pod płaszczem, jakby przed chwilą wspięła się na szczyt wysokiej góry.

Dziecko zaczęło się niecierpliwie, zapłakało. Muire Boland schyliła się i wzięła ze stolika smoczek, włożyła go sobie do ust i chwilę possała, a potem podała dziecku. Chłopczyk był ubrany w granatowy sztruksowy kombinezon i podkoszulek w paski. Ciemnowłosa kobieta miała pełne usta, bez śladu szminki.

Kathryn przeniosła wzrok z kobiety i dziecka na fotografię stojącą na kominku i w tym momencie omal nie wstała z krzesła. Na zdjęciu był Jack, widziała to wyraźnie nawet z drugiego końca pokoju. Nie mogła się mylić. Trzymał na rękę

niemowlę. Drugą rękę zanurzał w lokach innego dziecka, dziewczynki, która była z nimi w pokoju. Cała trójka znajdowała się na plaży. Jack uśmiechał się radośnie.

Niezaprzeczalny dowód innego życia. Chociaż Kathryn nie potrzebowała żadnego dowodu.

- Nosisz obrączkę - powiedziała nagle Kathryn niemal wbrew własnej woli.

Muire dotknęła kciukiem złotej obrączki na palcu.

- Jesteś zamężna? - zapytała z niedowierzaniem Kathryn.

- Byłam.

Przez chwilę Kathryn poczuła się zdezorientowana, ale zaraz zrozumiała znaczenie czasu przeszłego.

Muire przełożyła synka na drugie biodro.

- Kiedy? - zapytała Kathryn.

- Cztery i pół roku temu.

Kobieta prawie nie poruszała ustami. Spółgłoski i samogłoski spływały z jej języka w wyraźnie melodycznym rytmie. Oczywiście, irlandzkim.

- Wzięliśmy ślub w kościele katolickim - dodała Muire sama z siebie. Słyszając to, Kathryn aż się cofnęła, jak pod ciosem.

- Czy wiedziałaś...? - zapytała.

- O tobie? Oczywiście.

Jakby to było absolutnie zrozumiałe. Że ciemnowłosa kobieta wiedziała o wszystkim. A Kathryn o niczym.

Odłożyła torebkę i zsunęła z ramion płaszcz. Mieszkanie było przegrzane i spociała się jak mysz. Czuła kropelki potu we włosach i na karku.

- Jak on ma na imię? - zapytała Kathryn, mając na myśli chłopca. Zadając to pytanie, była zdumiona swoją uprzejmością.

- Dermot - powiedziała Muire. - Po moim bracie. Kobieta schyliła się nagle i pocałowała synka w głowę.

- Ile ma miesięcy? - pytała dalej Kathryn.

- Pięć. Dzisiaj kończy.

Kathryn natychmiast przyszło do głowy, bo kto by na to nie wpadł, że Jack mógłby teraz tu być, w tym mieszkaniu, aby świętować tę maleńką uroczystość.

Dziecko się uspokoiło i najwyraźniej zapadało w sen. Mimo wszystkich rewelacji, jakie ujawniły się w ciągu ostatnich kilku minut, mimo nienaturalnego związku między nią a tym chłopcem (i w ogóle faktu jego istnienia), Kathryn poczuła nagłą chęć, niemal seksualną potrzebę, aby przytulić maleństwo do piersi, tak jak zawsze pragniemy przytulić dziecko. Podobieństwo do Mattie było wprost niesamowite. Kathryn zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że to jest Mattie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Muire z drugiego końca pokoju. Kathryn otworzyła oczy i otarła czoło rękawem żakietu.

- Myślałam... - zaczęła Muire. - Zastanawiałam się, czy przyjdiesz. Kiedy zadzwoniłaś, byłam pewna, że wiesz o wszystkim. Gdy zginął, wiedziałam, że to się wyda.

- Nie wiedziałam - powiedziała Kathryn. - Nie byłam pewna. Aż do chwili, gdy zobaczyłam dziecko. Teraz.

A może byłam pewna? - zastanowiła się. Może wiedziałam o tym od chwili, gdy usłyszałam transatlantycką ciszę?

Wokół oczu ciemnowłosej kobiety widać było drobne zmarszczki, co zapowiadało pojawienie się także pewnego dnia bruzd po obu stronach ust. Dziecko przebudziło się nagle i zaczęło żałośnie kwilić, budząc u Kathryn odległe wspomnienia. Muire usiłowała je uspokoić, biorąc synka w ramiona i głaszcząc po plecach. Jednak bez powodzenia.

- Chyba muszę go położyć - powiedziała do Kathryn, przekrzykując płacz.

Wyszła z pokoju, a razem z nią córka, która najwyraźniej nie chciała zostać sama z nieznaną.

Jack wziął ślub w katolickim kościele. Ciemnowłosa kobieta wiedziała, że ma żonę.

Kathryn usiłowała wstać z krzesła, ale poczuła, że nie jest w stanie. Założyła nogę na nogę, aby ukryć ich drżenie. Nie bardzo jej się to udało. Powoli odwróciła głowę, aby rozejrzeć się po pokoju. Na ścianach wisiały mosiężne kinkiety z elektrycznymi świeczkami. Na małym stoliku leżały jakieś czasopisma, nad nim wisiał olejny obraz, przedstawiający ulicę w robotniczej dzielnicy miasta. Zastanawiała się, czemu nie czuje gniewu. Miała wrażenie, że otrzymała cios nożem, który wszedł tak głęboko, iż rana jeszcze nie sprawiała jej bólu; była tylko w szoku. A szok przejawiał się tą nienaturalną uprzejmością.

Muire wiedziała, wyobrażała sobie to spotkanie. Kathryn nie.

Na jednej ze ścian wisiała szafka, która mogła mieścić telewizor lub aparaturę muzyczną. Nagle przypomniały jej się filmy z serii „Różowa pantera”, które ona, Mattie i Jack czasami wypożyczali, i przy oglądaniu których jej córka i mąż chichotali jak zwariowani. Oboje byli dumni z tego, że znają na pamięć całe fragmenty dialogów.

Kathryn odwróciła głowę, słysząc jakiś szmer. Muire Boland stała w drzwiach i patrzyła na nią. Weszła do pokoju i usiadła na jednym z białych krzeseł. Następnie otworzyła drewnianą szkatułkę, stojącą na stoliku, i wyjęła z niej papierosa. Zapaliła go plastikową zapalniczką, leżącą obok.



Jack zawsze mówił, że nie może znieść przebywania w jednym pokoju z palaczem.

- Pewnie chcesz wiedzieć, jak to się stało - powiedziała Muire.

Chociaż sprawiała wrażenie kościstej, jej ciało było zmysłowe. Kathryn pomyślała, że to zapewne po dziecku. Wydawało się jej, że widzi nawet zarys fałdy na brzuchu, co również mogło być pozostałością po ciąży.

Niespodziewanie przypomniała sobie okoliczności powstania pewnego zdjęcia, które zrobił Jack. Spała w szlafroku, twarzą do dołu, na rozesłanym łóżku, złożwszy ręce pod głową. Jack położył śpiącą, pięciomiesięczną Mattie, także twarzą do dołu, na jej pośladkach i we wgłębieniu pleców. Kathryn i Mattie spały tak słodko, że Jack, urzeczony widokiem matki i maleństwa, zrobił im zdjęcie.

Muire oparła się na poduszce, podkładając sobie jedną rękę pod głowę. Założyła nogę na nogę. Kathryn pomyślała, że ma chyba z metr osiemdziesiąt wzrostu, niemal tyle co Jack. Usiłowała sobie wyobrazić, jak wygląda jej nagie ciało, jak ona i Jack mogli wyglądać razem.

Jednak jej wyobraźnia odmówiła posłuszeństwa, zbuntowała się i obraz się nie pojawił. Podobnie jak nie pojawił się w jej myślach obraz ciała Jacka, rozerwanego na strzępy i leżącego na dnie oceanu. Wiedziała, że takie obrazy przyjdą później wtedy, gdy będziesz się ich najmniej spodziewała.

- Tak - odparta.

Muire zaciągnęła się papierosem, pochyliła do przodu i strząsnęła popiół.

- Latałam razem z nim pięć i pół roku temu. Byłam stewardesą w Vision.

- Wiem.

- Zakochaliśmy się w sobie - oświadczyła po prostu. - Nie będę tego omawiać ze szczegółami. Mogę tylko powiedzieć, że oszaleliśmy na swoim punkcie. Za pierwszym razem byliśmy ze sobą miesiąc. Mieliśmy... - Kobieta się zawahała, być może z delikatności, a może szukając właściwego słowa. - Mieliśmy romans - powiedziała w końcu. - Jack był rozdarty. Powiedział, że nie mógłby zostawić Mattie. Nigdy nie zostawiłby córki.

Na dźwięk imienia Mattie powietrze zawirowało, a między kobietami pojawiło się napięcie. Muire Boland wypowiedziała jej imię zbyt łatwo, jakby bardzo dobrze знаła dziewczynkę.

Kathryn pomyślała: Nie mógłby zostawić swojej córki, ale mógł zdradzić żonę.

- Kiedy dokładnie to miało miejsce? - zapytała. - Ten romans.

- W czerwcu 1991 roku.

- Ach tak.

Kathryn zaczęła się zastanawiać, co robiła w czerwcu 1991 roku.

Kobieta miała delikatną, białą karnację, cerę niemal bez skazy. Cerę kogoś, kto spędza niewiele czasu na powietrzu. Chociaż równie dobrze mogła być biegaczką.

- Wiedziałaś o mnie - powtórzyła Kathryn.

Jej głos brzmiał obco. Mówiła zbyt wolno i niepewnie, jakby była pod wpływem narkotyków.

- Wiedziałam o tobie od samego początku - powiedziała Muire. - Nie mieliśmy z Jackiem żadnych tajemnic.

A zatem wielka zażyłość, pomyślała Kathryn. Poczwała się głęboko zraniona.

Deszcz spływał po szybach, a zachmurzone niebo dawało poczucie, jakby był już wieczór. Z pokoju na górze dobiegały odgłosy kreskówki w telewizorze. Kathryn czuła, że wciąż się poci. Wstała i zdjęła żakiet. Gdy po chwili spostrzegła, że bluzka wystaje jej ze spódnicy, zaczęła ją wpychać do środka. Świadoma, że siedząca na krześle kobieta badawczo ją obserwuje, modliła się, aby nogi jej nie zdradziły. Przeszła przez pokój i stanęła przed kominkiem.

Wzięła do ręki fotografię z ramce. Jack miał na sobie koszulkę, której Kathryn nigdy przedtem nie widziała, wypłowiałą, czarną koszulkę polo. Trzymał na ręku niemowlę. Stojąca obok niego dziewczynka, ta sama, którą widziała z klockami w pokoju, miała jego włosy, ciemne i kręcone, ale oczy zupełnie inne.

- Jak ma na imię? - zapytała Kathryn.

- Dierdre.

Jack zanurzał palce w jej włosach. Czy był taki sam dla Dierdre jak dla Mattie?

Kathryn na chwilę zamknęła oczy. Cios, który na nią spadł, był niemal nie do zniesienia. Jednak to, co zrobili Mattie, było po prostu obrzydliwe. Nietrudno było zauważyć, że dziewczynka na fotografii jest bardzo piękna. Czarująca twarz, ciemne oczy ocienione długimi rzęsami, czerwone usta. Prawdziwa Królowa Śnieżka. Czy wspomnienia, które pielęgnowała Mattie, mogą być powtórzone, powołane do życia na nowo w związku z innym dzieckiem?

- Jak mogłaś? - krzyknęła Kathryn, odwracając się, ale to pytanie równie dobrze mogła skierować do Jacka.

Ramka wypadła z jej śliskich od potu palców i uderzyła o blat stolika. Nie zamierzała zniszczyć fotografii i odczuła tę niezręczność jako ujawnienie swojego stanu. Kobieta na krześle lekko się poruszyła, ale nie wstała, żeby zobaczyć, co się stało. W powietrzu wisiało zadane przez Kathryn pytanie. Jednak kobieta zamierzała na nie odpowiedzieć.

- Kochałam go - powiedziała. - Byliśmy zakochani. Jakby to miało wystarczyć.

Kathryn przyglądała się, jak Muire pali papierosa. Jaka ona opanowana, pomyślała. Nawet zimna.

- O pewnych rzeczach nie chcę mówić - dodała Muire.

Ty suko, pomyślała Kathryn, czując wzbierający gniew. Usiłowała się uspokoić. Z trudem wyobraziła sobie siedzącą na krześle kobietę jako stewardesę w mundurze z małymi skrzydełkami na klapie żakietu. Uśmiechającą się do pasażerów, wchodzących na pokład samolotu.

O jakich rzeczach Muire nie chce mówić?

Położyła dłonie na kominku i oparła o niego głowę. Oddychała głęboko, aby się uspokoić. Gniew tętnił w jej uszach.

Po chwili oderwała się od kominka i przeszła przez pokój. Usiadła na brzegu drewnianego krzesła, jakby w każdej chwili zamierzała wstać i wyjść.

- Byłam gotowa na wszystko - powiedziała Muire Boland. Odrzuciła włosy z czoła. - Raz chciałam go wyrzucić. Jednak nie zdobyłam się na to.

Kathryn złożyła ręce na kolanach, wyczuwając nutkę wyznania w jej słowach. Zmysłowość, będąca zapewne efektem karmienia piersią, delikatny zarys brzucha w połączeniu ze wzrostem, kanciastymi ramionami i długimi nogami tworzyły przyciągającą wzrok całość, nieodparcie atrakcyjną.

- Jak to zorganizowaliście? - zapytała Kathryn. - To znaczy, jak ten związek funkcjonował?

Muire Boland uniosła głowę.

- Mieliśmy dla siebie tak mało czasu - odparła. - Robiliśmy, co się dało. Zabierałam go samochodem z umówionego miejsca, blisko hotelu dla załogi i przywoziłam tutaj. Czasami mieliśmy dla siebie tylko jedną noc. Czasami... - Znowu się zawahała. - Jack czasami odwracał rozkład lotów - dodała.

Kathryn wydawało się, że słyszy język żony pilota.

- Nie rozumiem - powiedziała.

Jednak tak naprawdę zrozumiała i zrobiło jej się słabo.

- Od czasu do czasu tak to załatwiał, żeby jego bazą wyjazdową był Londyn. Ale to, oczywiście, wiązało się z ryzykiem.

Kathryn pamiętała te miesiące, gdy Jack miał wyjątkowo napięty plan lotów. Pięć dni w pracy, dwa wolne, przyjeżdżał do domu tylko na jedną noc.

- Jak wiesz, nie zawsze latał do Londynu - kontynuowała Muire. - Czasami latał na trasie Amsterdam-Nairobi. Wynajmowałam wtedy mieszkanie w Amsterdamie.

- Czy on płacił za to mieszkanie? - zapytała szybko Kathryn i pomyślała: Odbierał mi pieniądze, odbierał je Mattie.

- To moje mieszkanie - powiedziała Muire, wskazując wewnątrz. - Odziedziczyłam je po ciotce. Mogłam je sprzedać i przeprowadzić się na peryferie, ale to niezbyt miła perspektywa.

Kathryn mieszkała akurat w miejscu, które można określić jako peryferie.

- Dawał ci pieniądze? - dopytywała się.

Muire odwróciła na chwilę głowę, jakby przez moment dzieliła z Kathryn poczucie nieprzyzwoitości w odbieraniu pieniędzy jednej rodzinie, aby dać drugiej.

- Czasami - przyznała. - Mam trochę własnych pieniędzy. Kathryn zastanawiała się nad intensywnością uczucia, które rodzi ciągłe rozstanie. Intensywnością, którą potęgowała ukradkowość spotkań i trzymanie ich w tajemnicy. Podniosła rękę do ust i lekko przycisnęła kość do warg. Czyjej własna miłość do Jacka nie była wystarczająco silna? Czy mogła powiedzieć, że kochała męża, gdy doszło do katastrofy? Czy mu ufała? A, co gorsza, czy Jack wspomniał kiedykolwiek Muire Boland, że Kathryn nie kocha go tak mocno, jak powinna? Drgnęła z bólu, myśląc o tym. Wzięła głęboki oddech i starała się usiąść prosto na krześle.

- Skąd pochodzisz? - zapytała Kathryn, gdy mogła już zaufać swojemu głosowi.

- Z Antrim.

Kathryn spojrzała przed siebie i pomyślała o wierszu. Oczywiście. „W wąskim przesmyku na bezlitosnej północy, niekończące się zdrady...”

- Ale spotkaliście się tutaj - powiedziała. - Spotkałaś Jacka w Londynie.

- Spotkaliśmy się w powietrzu.

Kathryn spuściła wzrok na dywan, usiłując sobie wyobrazić to powietrzne spotkanie.

- Gdzie się zatrzymałaś? - zapytała Muire.

Kathryn spojrzała na nią i zamrugła powiekami. Nie mogła przypomnieć sobie nazwy hotelu. Muire wyjęła drugiego papierosa.

- W Kensington Exeter - przypomniała sobie wreszcie Kathryn.

- Jeśli to ci w czymś pomoże - wtrąciła Muire - jestem prawie pewna, że nigdy nie było nikogo innego.

Nie pomogło w niczym.

- Skąd możesz to wiedzieć? - zapytała Kathryn.

W pokoju zrobiło się już dość ciemno. Muire zapaliła lampę i podłożyła sobie rękę na karku.

- Jak się dowiedziałaś? - zapytała. - Jak nas odkryłaś? Nas, usłyszała Kathryn.

Nie zamierzała odpowiadać na to pytanie. Wydawało jej się nie na miejscu.

- Co miało miejsce na pokładzie samolotu Jacka? - zapytała w zamian.

Muire potrząsnęła głową i jej jedwabiste włosy się zakołysały.

- Nie wiem - powiedziała. Jednak w głosie można było wyczuć nutkę niepewności, jej twarz lekko zbladła. - Przypuszczenie, że popełnił samobójstwo,

jest bezsensowne - dodała, pochylając się do przodu. Oparła łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach. Dym wił się między jej włosami. - Jack nigdy, nigdy...

Kathryn była zdziwiona tą nagłą gwałtownością, tą pewnością, którą, jak się jej wydawało, tylko ona miała. Były to pierwsze emocje, jakie okazała ta kobieta, odkąd Kathryn weszła do jej domu.

- Zazdrościłam ci, że mogłaś zorganizować uroczystości żałobne - powiedziała Muire, patrząc na Kathryn. - Z księdzem. Chciałam tam być.

Mój Boże, pomyślała Kathryn.

- Widziałam twoje zdjęcie - mówiła dalej Muire. - W gazetach. Czy FBI zajmuje się tą sprawą?

- Tak mi powiedziano.

- Rozmawiali z tobą?

- Nie. A do ciebie dzwoniли?

- Nie - powiedziała Muire. - Wiesz, że Jack by tego nie zrobił.

- Oczywiście, że wiem - przytaknęła Kathryn.

Mimo wszystko była przecież pierwszą żoną, nieprawdaż? Ale zaraz zaczęła się zastanawiać: Która żona jest dla mężczyzny ważniejsza? Czy ta, którą postanowił chronić, której nie chciał ujawniać związku z drugą, czy ta, przed którą nie miał żadnych tajemnic?

- Kiedy widziałas go po raz ostatni... - zaczęła Kathryn.

- Tamtego ranka. Około czwartej rano. Tuż zanim wyszedł do pracy. Obudziłam się... - zawiesiła głos.

- Byliście razem na kolacji - powiedziała Kathryn.

- Tak - przyznała Muire, trochę zdziwiona, że Kathryn o tym wie. Jednak nie zapytała, skąd te informacje.

Kathryn zastanawiała się, czy kiedykolwiek miała powód, aby poważnie podejrzewać Jacka o romans. Chyba nie. Jakże bezgranicznie mu ufała.

- Czy tylko po to tu przyjechałaś? - zapytała Muire, zdejmując z dolnej wargi okruszek tytoniu.

Znowu była całkowicie opanowana.

- To mało? - odparła Kathryn. Muire zaciągnęła się głęboko.

- Pytałam, czy chcesz pojechać do Malin Head? - wyjaśniła.

- Nie - powiedział Kathryn. - Byłaś tam?

- Nie mogłam.

Kathryn czuła, że jest jeszcze inny powód.

- O co chodzi? - dopytywała się.

Kobieta potarła dłonią czoło.



- O nic - powiedziała, lekko potrząsając głową. - Mieliśmy romans - dodała, jakby chciała przedstawić tok swych myśli. - Zaszłam w ciążę i wzięłam urlop z pracy. Jack nalegał, abyśmy się pobrali. Dla mnie ślub nie był ważny. On chciał, żebyśmy pobrali się w kościele katolickim.

- Nigdy nie chodził do kościoła.

- Był pobożny - powiedziała Muire i obrzuciła ją twardym spojrzeniem.

- A zatem miał podwójną osobowość - oznajmiła z powątpiewaniem Kathryn.

Co innego wziąć ślub w kościele katolickim, gdy życzy sobie tego ukochana, a co innego samemu być pobożnym. Splotła palce, aby się uspokoić.

- Gdy tylko miał czas, chodził na mszę - dodała Muire.

W Ely Jack nigdy nie wszedł do kościoła. Jak jeden człowiek mógł mieć dwie tak różne osobowości? Nagle przyszło jej coś do głowy, coś, o czym nie chciała myśleć: Przecież Jack nie mógł zawsze, w każdej sytuacji, zachowywać się dwojako, nieprawdaż? Na przykład jako kochanek. Czy kochając się z Muire Boland, zachowywał się tak samo jak z nią? Gdyby Kathryn miała odwagę zapytać, czy kobieta siedząca naprzeciw niej potwierdziłaby, że robili to tak samo? A może odgrywali zupełnie inną sztukę? Mieli inny scenariusz? Inne dialogi? Odmienne rekwizyty? Kathryn wyprostowała palce i przycisnęła dłonie do kolan. Muire bacznie się jej przyglądała. Być może ona także się nad czymś zastanawiała.

- Muszę skorzystać z toalety - Kathryn niepewnie wstała z krzesła. Czowała się tak, jakby była pijana.

Muire także wstała.

- Jest na górze - powiedziała.

Poprowadziła Kathryn przez hol, do schodów. Stała u podnóża, wskazując drogę. Kathryn musiała przejść koło niej, ich ciała niemal się dotknęły. Czowała się przytłoczona jej wzrostem.

Toaleta była klaustrofobicznie mała i serce natychmiast zaczęło jej szybciej bić. Spojrzała w lustro. Zobaczyła czerwoną, pokrytą plamami twarz. Wyjęła spinki z włosów i rozpuściła je. Usiadła ciężko na desce od sedesu. Kwiatowy wzór na tapecie przyprawiał ją o zawroty głowy.

Cztery i pół roku. Jack i Muire Boland wzięli ślub w kościele cztery i pół roku temu. Może nawet mieli gości na weselu. Czy ktoś z nich znał prawdę? Czy Jack zawahał się, gdy składał przysięgę małżeńską?

Gwałtownie potrząsnęła głową. Nie mogła znieść swoich myśli. To udręka zadawać sobie pytania, ale nie akceptować wyobrażeń, które te pytania niosły. Jack w garniturze, klęczący przed księdzem. Jack otwierający drzwi samochodu,

siadający na fotelu pasażera. Mała dziewczynka o kręconych ciemnych włosach wślizguje się na jego kolana.

W głębi domu zadzwonił telefon.

Kathryn zastanawiała się, jak Jack dawał radę tak żyć? Te wszystkie kłamstwa, oszustwa, brak snu? Pewnego dnia opuścił ją i pojechał do pracy, a kilka godzin później stał na ślubnym kobiercu z inną kobietą. Co tamtego dnia robiły z Mattie, dokładnie o tej godzinie? Jak Jack mógł spojrzeć im w twarz po powrocie do domu? Czy kochał się z nią tamtej nocy, następnej nocy, w ciągu tamtego tygodnia? Wzdrygnęła się, nie mogąc o tym myśleć.

Pytania ze świstem obijały się od ścian, powracając w nieskończoność. Nagle przypomniało jej się coś i żołądek podskoczył aż do gardła. Dwa razy do roku szkolenia w Londynie. Po dwa tygodnie każde.

Uświadomiła sobie, że jeśli człowiek nigdy nie miał powodów do podejrzeń, to nie przychodzą mu do głowy takie myśli.

Wstała i rozejrzała się po pomieszczeniu. Szybko przemyła twarz zimną wodą i wytarła ręcznikiem. Otworzyła drzwi od toalety i wyjrzała na korytarz. Na wprost znajdowała się sypialnia z istic królewskim łóżem. Kathryn słyszała, że Muire rozmawia z kimś na dole przez telefon. Docierały do niej strzępy słów, wypowiedane z obcym akcentem. Gdyby Jack żył, pewnie nigdy nie miałyby okazji zajrzeć do tej sypialni, ale teraz było to bez znaczenia. Teraz mogła obejrzeć dom. To jej się należało. Przecież Muire Boland wie o niej wszystko, nieprawdaż?

Kathryn zastanowiła się nad tym. O ilu rzeczach Muire wiedziała? Czy także o tych intymnych?

Wychodząc z toalety, myślała, ile wysiłku wkładała w to, aby sprawić Jackowi przyjemność, na jakie kompromisy godziła się dla niego. Przypomniała sobie całą teorię, jaką stworzyła, aby wyjaśnić słabnący pociąg seksualny. To, jak kiedyś wytknęła Jackowi jego oziębłość, czemu on zaprzeczył, jakby wcale nie przywiązywał do tego wagi. Wszystko to traktowała jako coś normalnego, co mieści się w ramach typowego małżeństwa. Bo naprawdę myślała, że są dobrym małżeństwem. Zrozumiała, że dała z siebie zrobić idiotkę, była głupia i teraz zastanawiała się, czy właśnie to nie jest dla niej najważniejsze.

To mogła być małżeńska sypialnia. Była długa i wąska, panował w niej dziwny bałagan, a nawet zastanawiający nieład, wzięwszy pod uwagę porządek w pomieszczeniach na dole. Na podłodze wały się sterty ubrań i czasopism. Na stoliku stały filiżanki i pojemniki z niedopitym jogurtem, popielniczki wypełnione niedopałkami. Toaletka z kosmetykami, blat poplamiony pudrem w kremie. Jedna

strona drewnianego łóżka była rozesłana. Uwagę Kathryn zwróciła droga lniana pościel, wyszywana na brzegach. Walały się na niej części koronkowej bielizny. Druga strona łóżka, nietknięta, należała pewnie do Jacka - potwierdzała to lampka halogenowa na stoliku nocnym i książka o wojnie w Wietnamie. Czy Jack czytał tu inne książki niż w domu? Czy miał też inne ubrania? Czy w tym domu, w tym kraju, wyglądał inaczej niż w ich domu? Młodziej czy starzej?

W domu. Kathryn zastanowiła się nad tym pojęciem. Nabrało ono bowiem nowego, interesującego wydźwięku.

Podeszła do łóżka od strony, gdzie spał Jack, i odrzuciła kołdrę. Schyliła się i mocno wciągnęła powietrze. Nie było go tam, nie czuła jego zapachu.

Przeszła z drugiej strony. Na nocnym stoliku stał mały złoty zegar i lampka. Kathryn otworzyła szufladę. W środku leżały jakieś kartki, recepty, szminki, słoiczek kremu do twarzy, monety, kilka długopisów, pilot od telewizora i aksamitny woreczek. Niewiele myśląc, Kathryn wzięła go do ręki i wysunęła z niego błękitny futerał. Upuściła go natychmiast, jakby ją parzył. Odgadła po kształcie, co to jest. Wibrator wpadł do szuflady z lekkim stukiem.

Kathryn uklękła przy łóżku, schowała twarz w pościeli. Otoczyła głowę ramionami. Pragnęła, aby pytania przestały ją atakować, chciała wyzbyć się myśli - na próżno. Pocierała twarzą o pościel, tam i z powrotem. Gdy uniosła głowę, zauważyła, że na lnianej pościeli zostały ślady jej tuszu do rzęs.

Wstała i podeszła do szafy z lustrem. Otworzyła ją.

W środku nie było garderoby Jacka, tylko ubrania Muire. Długie, czarne spodnie, wełniane spódnice. Bawełniane spódnice, lniane bluzki. Prawdziwe futro. Dotykając ubrań, wyczuła coś, co wyglądało na jedwabną bluzkę. Gdy rozsunęła wieszaki, okazało się, że to nie bluzka, ale szlafrok, z rękawami do łokci i ozdobnym paskiem. Piękny ciuch w szafirowym kolorze. Drżącymi rękami odwinęła kołnierz szlafroka, aby zobaczyć metkę.

Bergdorf Goodman.

Wiedziała, że to ten.

Przeszła z sypialni do łazienki, rozglądając się, jakby oglądała dom na sprzedaż.

Na wieszaku przy wannie wisiał brązowy męski szlafrok z flaneli. W domu Jack nie nosił szlafroka. Na półeczce stała butelka angielskiej wody kolońskiej, której Kathryn nie знаła. Obejrzała grzebienie i na jednym znalazła krótkie, ciemne włosy.

Wpatrywała się w niego dłuższą chwilę.

Widziała już dosyć.

Pragnęła opuścić ten dom. Zamknęła drzwi do sypialni. Z dołu wciąż dobiegał głos Muire, rozmawiającej przez telefon, teraz trochę głośniejszy, jakby się z kimś kłóciła. Kathryn weszła do pokoju dziewczynki. Dierdre leżała na brzuchu na tapczanie, opierając brodę na rękach. Na jej twarzy malowała się ta sama powaga co wcześniej. Była ubrana w podkoszulek z długimi rękawami i ogrodniczki. Na nogach miała błękitne skarpetki. Była tak zajęta oglądaniem programu dla dzieci w telewizji, że w pierwszej chwili nie zauważyła stojącej w drzwiach obcej kobiety.

- Cześć - powiedziała Kathryn.

Dziewczynka spojrzała w jej kierunku, a potem przewróciła się na bok, aby lepiej widzieć wchodzącą osobę.

- Co oglądasz? - zapytała Kathryn.

- „Niebezpieczną mysz”.

- Widziałam to. W Ameryce też pokazują ten film. Moja córka bardzo lubiła „Uciekiniera”. Ale teraz już jest starsza. Prawie tak wysoka jak ja.

- Jak ma na imię?

Dziewczynka usiadła, wykazując więcej zainteresowania nieznajomą.

- Mattie.

Dierdre zastanawiała się chwilę nad tym imieniem.

Kathryn zrobiła krok do przodu i rozejrzała się po pokoju. Zauważyła misia Paddingtona, prawie takiego samego, jakiego kiedyś miała Mattie. Zdjęcie Jacka w czapce baseballowej i białym podkoszulku. Dziecięcy rysunek, przedstawiający mężczyznę i małą dziewczynkę z ciemnymi, kręconymi włosami, który mógł być zrobiony niedawno. Małe, białe biurko, pomazane flamastrami. Co powiedziano tej dziewczynce? Czy wiedziała, że jej tatuś nie żyje?

Kathryn przypomniała sobie o kolacji, którą wydali na cześć wygranej Mattie w meczu baseballowym, gdy miała osiem lat. Oboje, ona i Jack, prawie płakali z radości, widząc, jak Mattie rozpiera dumą z maleńkiego trofeum.

- Śmiesznie mówisz - powiedziała Dierdre.

- Naprawdę?

Dziewczynka miała brytyjski akcent, bez cienia irlandzkiego czy amerykańskiego.

- Mówisz, jak mój tatuś - dodała dziewczynka. Kathryn pokiwała głową.

- Chcesz zobaczyć moją lalkę Samanthę? - zapytała Dierdre.

- Oczywiście - odparła Kathryn, przelękając ślinę. - Z przyjemnością.

- Musisz tu podejść. Dierdre kiwnęła ręką.

Zeskoczyła z łóżka i podeszła do kącika. Kathryn rozpoznała szafę lalki i jej kufer z popularnej w Ameryce serii zabawek dla dziewczynek.

- Tatuś dał mi to na gwiazdkę - powiedziała Dierdre, wręczając jej lalkę.

- Podobają mi się jej okulary - oznajmiła Kathryn.

- Chcesz zobaczyć tornister?

- Jasne.

- Dobrze. Usiądź na łóżku, a ja pokażę ci jej rzeczy.

Dierdre wyjęła ubranka, szkolne biurko i mały skórzany tornister z książkami w środku. Maleńkie długopisy. Plastikowe monety.

- Czy tatuś podarował ci to wszystko na gwiazdkę? Dziewczynka chwilę się zastanowiła.

- Niektóre z tych prezentów dostałam od świętego Mikołaja - sprostowała.

- Podobają mi się włosy tej lalki - powiedziała Kathryn. - Mattie też kiedyś miała podobną, ale obcięła jej włosy. Wiesz, lalkom nie odrastają włosy, więc nie powinnaś ich obcinać. Mattie żałowała, że to zrobiła.

Kathryn ogarnęło kolejne wspomnienie. Sześcioletnia Mattie zjeżdża z górki na nowym rowerze, rower kołysze się pod nią, jakby był z galarety. Ona i Jack patrzą na to bezradni. Mattie podjeżdża do nich i mówi z dumą: Widzicie, już umiem.

I jeszcze jedno: Mattie zasnęła pewnej nocy w okularach, do których przymocowany był sztuczny nos.

I jeszcze to: święto Dziękczynienia, kiedy czteroletnia Mattie oznajmiła ojcu, że mama skończyła przygotowywać turecki smakołyk.

Co ma teraz zrobić z tymi wspomnieniami? Czuje się jak rozwiedziona kobieta, która ogląda swoją ślubną suknię. Czy można wciąż cieszyć się piękną sukienką, gdy małżeństwo legło w gruzach?

- Nie obetnę jej włosów - obiecała Dierdre.

- To dobrze. Czy tatuś był z tobą na święta Bożego Narodzenia? Tatusiowie czasami muszą w święta pracować.

- Był - przytaknęła Dierdre. - Zrobiłam mu zakładkę. Przykleiłam na niej zdjęcie tatusia i mnie. Chciałam, żeby mi ją potem oddał, więc powiedział, że możemy z niej korzystać wspólnie. Chcesz ją zobaczyć?

- Tak.

Dierdre zajrzała pod łóżko, gdzie trzymała swoje skarby. Wyjęła książkę z obrazkami, której Kathryn nie знаła. W środku była zakładka. Laminowany pasek kolorowego papieru. Na zdjęciu Jack trzymał na kolanach Dierdre. Wyciągał głowę, żeby zobaczyć jej twarz.

Kathryn usłyszała kroki na schodach.



Na strychu domu w Fortune's Rocks było całe pudło z ubrankami dla lalek. Kathryn zastanawiała się przez moment, zupełnie irracjonalnie, czy nie przysłać tego Dierdre.

W drzwiach stanęła Muire, krzyżując ręce na piersiach.

- Bardzo mi się podoba twoja lalka - powiedziała Kathryn wstając.

- Musisz już iść? - zapytała dziewczynka.

- Niestety, tak.

Dierdre patrzyła, jak wychodzi. Muire odsunęła się od drzwi, robiąc jej przejście. Kathryn szybko zeszła ze schodów, czując za sobą jej obecność. Z oparcia krzesła zdjęła żakiet.

- Dierdre wspominała, że Jack był tu na święta - powiedziała ubierając się.

- Urządziliśmy święta wcześniej - wyjaśniła Muire. - Musieliśmy tak zrobić.

Kathryn dobrze wiedziała, co znaczy urządzać święta wcześniej.

Z ciekawości podeszła do regału na książki i pobieżnie przejrzała tytuły. „Kłamstwa ciszy” Briana Moora, „Cal” Bernarda McLaverty'ego, „Zbuntowane serca” Kevina Toolisa, „Wielki głód” Cecila Woodhama-Smitha. Nie czytała tych książek. Wzięła jedną z nich do ręki.

- Czy to w języku celtyckim? - zapytała Kathryn. - Tak.

- Gdzie chodziłaś do szkoły?

- W Queens. W Belfaście.

- Naprawdę? I zostałaś...

- Stewardesą. Tak, wiem. Najlepiej wykształceni pracownicy w Europie są Irlandczykami.

- Czy twoja córka wie o Jacku? - zapytała Kathryn, odkładając książkę na miejsce i biorąc płaszcz.

- Wie - powiedziała Muire, stając w drzwiach. - Ale nie jestem pewna, czy zrozumiała. Jej ojciec tak często wyjeżdżał. Myślę, że mogła to potraktować jako kolejną, daleką podróż.

Jej ojciec.

- A o matce Jacka? - dopytywała się zimno Kathryn. - Czy Dierdre wie, że ma babcię Matigan?

- Oczywiście.

Kathryn milczała. Była wstrząśnięta zarówno swoim pytaniem, jak i odpowiedzią.

- Ale, jak wiesz, jego matka choruje na Alzheimera - dodała Muire - więc Dierdre nigdy tak naprawdę z nią nie rozmawiała.

- Tak, wiem - skłamała Kathryn.

Zastanawiała się, czy gdyby Jack nie zginął, byłby teraz w tym domu? Czy Kathryn dowiedziałyby się kiedykolwiek o tej rodzinie? Ile lat mógłby trwać ten romans, to małżeństwo?

Obie kobiety stały w holu. Kathryn przyglądała się ścianom, sufitowi, ciemnowłosej kobiecie. Chciała możliwie dużo zapamiętać, zabrać ze sobą obraz tego, co widziała. Była pewna, że nigdy tu nie wróci.

Pomyślała, że to niemożliwe, aby wiedzieć wszystko o drugiej osobie. Pomyślała o kruchości tego, co ludzie budują. Małżeństwa. Rodziny.

- Są pewne rzeczy - zaczęła Muire. Przerwała. - Chciałabym... Kathryn czekała.

Muire uniosła w górę dłonie, jakby w geście rezygnacji.

- Są rzeczy, o których nie mogę... - Westchnęła ciężko i włożyła ręce do kieszeni dżinsów. - Nie żałuję tego, że z nim byłam - wyznała w końcu. - Żałuję tylko, że zraniłam ciebie.

Kathryn nie musiała się zegnać. To wydawało się zbyteczne. Było jednak coś, co chciała wiedzieć, o co musiała zapytać, wbrew poczuciu własnej dumy.

- Ten szlafrok - powiedziała. - Niebieski szlafrok w szafie. Kathryn słyszała, jak Muire gwałtownie wzięła oddech, ale jej twarz niczego nie zdradziła.

- To przyszło po jego śmierci - wyjaśniła. - Prezent gwiazdkowy.

- Tak właśnie myślałam - odparła Kathryn.

Wyciągnęła rękę i dotknęła klamki, jakby to było jej koło ratunkowe.

- Powinnaś wracać do domu - powiedziała Muire, gdy Kathryn wyszła na deszcz.

Pomyślała, że to dziwna i arogancka rada.

- Mnie było trudniej - powiedziała Muire i Kathryn odwróciła się, słysząc w jej głosie nutkę ubolewania, widząc szczelinę w niewzruszonej fasadzie.

- Ja wiedziałam o tobie - wyjaśniła. - Ty miałś się nigdy o mnie nie dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zapewne płakała. Później nie wiedziała, kiedy z jej oczu popłynęły łzy. Zapomniała o parasolce i deszcz zmoczył jej włosy, które przylepiły się do czoła. Spływał po szyi, po plecach, dostał się pod bluzkę. Była zbyt wyczerpana, aby postawić kołnierz płaszcza lub zawinąć szalik wokół szyi. Przechodnie unosili w górę parasole, patrzyli na nią, a potem wymieniali zdziwione spojrzenia. Kathryn oddychała przez otwarte usta.

Szła bez celu, nie miała pojęcia dokąd. Z trudem mogła zebrać myśli. Pamiętała nazwę hotelu, ale nie chciała tam wracać, nie chciała nikogo spotykać. Nie chciała także być sama w pokoju. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie pójść do kina. Weszła na jezdnię, z przyzwyczajenia patrząc w złą stronę. Tuż przed nią z piskiem opon zahamowała taksówka. Kathryn stanęła, spodziewając się, że kierowca wychyli się przez okno i zrugą ją od najgorszych. On jednak cierpliwie czekał, aż przejdzie na drugą stronę.

Kathryn zdawała sobie sprawę, że źle się czuje, i robiła się coraz bardziej nerwowa. Wiedziała, że w każdej chwili może wdepnąć w jakąś dziurę, ponownie wejść na jezdnię, wpaść pod czerwony autobus. Weszła do budki telefonicznej, aby chociaż przez chwilę poczuć się bezpiecznie. W środku było sucho i przytulnie. Zdjęła płaszczy i wytarła twarz podpinką, ale ten gest przypomniał jej o czymś, o czym nie chciała pamiętać. Ból głowy był tak mocny, że czuła go nawet na karku. Zaczęła się zastanawiać, czy ma w torebce advil.

Przed budką spacerował niecierpliwie jakiś mężczyzna, aż wreszcie zastukał w szybę. Najwyraźniej dawał jej do zrozumienia, że musi skorzystać z telefonu. Kathryn włożyła płaszczy i wyszła na deszcz. Podążała zatłoczoną ulicą, która wydawała się nie mieć końca. Przejeżdżające samochody z pluskiem wyrzucały fontanny wody na chodniki.

Ludzie kulili się przed deszczem, mijali ją pospiesznie. Ponieważ nie miała parasola i kapelusza, wszystko widziała nieostro. Chciała znaleźć jakiś sklep i kupić parasolkę, może nawet płaszczy od deszczu.

Na rogu ulicy zauważyła dwóch mężczyzn, którzy głośno się śmiali. Mieli czarne parasole i brązowe skórzane teczki. Po chwili zniknęli za jakimiś drzwiami. W środku było jasno, przez piaskowane szyby w drzwiach widziała światło, dobiegały zza nich chóralne śmiechy. Zapadł już wieczór, na ulicach było ciemno. Dla bezpieczeństwa powinna wejść do jakiegoś lokalu.

W pubie poczuła intensywny zapach mokrej wełny. I przyjemne ciepło. Tuż przy wejściu siedział mężczyzna w okularach i razem z kolegą śmiali się do

rozpuku. Szklą zaparowały mu od gorąca. Barman podał Kathryn ręcznik. Ktoś już go wcześniej używał, był wilgotny i pachniał wodą kolońską. Wytarła włosy, tak jak to robiła po wyjściu spod prysznic. Zauważyła, że mężczyźni przy barze gapią się na nią. Przed nimi stały kufle z piwem i Kathryn nagle poczuła, że chce jej się pić. Goście wolno się rozstąpili, zwolnili jej stół przy barze. Po przeciwnej stronie siedziały dwie kobiety w niemal identycznych, niebieskich kostiumach i z ożywieniem o czymś rozprawiły. Każdy z kimś rozmawiał. Jak na przyjęciu, chociaż tu ludzie wyglądali na bardziej zadowolonych niż podczas zwykłego przyjęcia.

Gdy barman wziął od niej ręcznik, wskazała gestem kurek od piwa. Ciekący płyn miał przyjemną, bursztynową barwę. Światło odbijało się od wypolerowanych blatów, a pod sufitem wisiał dym z papierosów.

Była spragniona i wypila podane piwo niemal duszkiem. Czuła, jak pieni się jej w żołądku. Wrażenie było bardzo przyjemne. Zsunęła ze stóp buty, mokre od deszczu, które upadły na podłogę. Spojrzała na bluzkę - tak przesiąknięta deszczem, że była niemal przezroczysta. Kathryn szybko zakryła się płaszczem. Barman spojrzał na nią pytająco. Kiwnęła głową i dostała drugi kufel piwa. Ciepło, którego tak potrzebowała, promieniowało już wzdłuż jej ramion i nóg, dochodząc aż do palców.

Od czasu do czasu docierały do niej pojedyncze słowa, strzępy rozmów. Ludzie załatwiali interesy, flirtowali.

Ból głowy narastał, skoncentrował się teraz w skroniach. Kathryn poprosiła barmana o aspirynę. Mężczyzna z wąsami bacznie się jej przyglądał. Nad barem wisiała reklama piwa Guinness, które rozpoznała po ciemnej barwie. Jack przywoził je czasami do domu. Nie chciała jednak o tym myśleć. Błat baru był mokry od ociekających piwem kufli, drewno charakterystycznie pachniało.

Po pewnym czasie poczuła, że musi skorzystać z toalety, ale nie chciała stracić swojego stołka. Pomyślała, że powinna zamówić jeszcze jedno piwo, żeby po powrocie miała gdzie usiąść. Barman zignorował jej gest, ale zauważyły go siedzące po drugiej stronie baru kobiety. Nie spuszczając z niej wzroku, cicho coś szepnęły.

Barman, który wreszcie zauważył jej zamówienie, wydawał się już nieco mniej przyjacielski. Być może w tym barze obowiązują jakieś zasady, których powinna przestrzegać. Kiedy więc zapytał ją, czy chce trzecie piwo, pokręciła głową i wstała, zabierając ze sobą płaszcz. Manewrując wśród tłumu kobiet i mężczyzn z drinkami, starała się iść możliwie pewnym krokiem. Prawdopodobnie akurat skończyli pracę, pomyślała. Zadawała sobie pytanie, w którym miejscu Londynu

się znajduje. Nagle poczuła coś śliskiego pod stopami i dotarło do niej, że zostawiła pod barem buty. Odwróciła się, ale drogę powrotną tarasowali jej ludzie. Bardzo chciało jej się siusiu, więc nie mogła wrócić do baru. Wypatrzyła napis „Toaleta” i szybko ruszyła w tamtą stronę.

Poczuła ogromną ulgę, gdy znalazła się sama w kabinie.

Miała trudności z rajstopami, co przypomniało jej, jak w dzieciństwie wkładała mokry strój kąpielowy. Szamotała się chwilę w ciasnym pomieszczeniu. Rajstopy ubrudziły się po przejściu boso do toalety. Kathryn rozważała możliwość, czy w ogóle ich nie zdjąć, co byłoby łatwiejsze niż wciąganie ich na wilgotne ciało. Uznała jednak rozsądnie, że z gołymi nogami będzie jej zimno. Przez chwilę miała wrażenie, że jej żołądek znowu się zbuntuje, ale zdołała powstrzymać słabość.

Umyła ręce w brudnej umywalce i spojrzała w lustro. Natychmiast uznała, że twarz, którą widzi, nie może być jej twarzą. Włosy zbyt ciemne, przyklejone do głowy. Pod oczami rozmazany tusz do rzęs, makijaż jak u wampira. Oczy z czerwonymi obwódkami, gałki przekrwione. Wargi niemal białe, jakby odpłynęła z nich cała krew, a twarz nienaturalnie czerwona.

Bezdomna kobieta, pomyślała.

Wytarła ręce i wyszła z toalety. Gdy mijała aparat telefoniczny, nagle poczuła silną potrzebę porozmawiania z Mattie. Pragnienie było niemal fizyczne, doznała go pośrodku ciała, tam, gdzie kobieta tuli do piersi dziecko.

Kathryn postępowała zgodnie z instrukcją, która wisiała na plakietce obok aparatu, ale po kilku nieudanych próbach uzyskania połączenia zrezygnowała. Poprosiła o pomoc idącego do toalety starszego mężczyznę w sztruksowej marynarce. Podyktowała mu numer, dziękując

Bogu, że go pamięta. Kiedy zabrzmiał sygnał połączenia, mężczyzna wręczył słuchawkę Kathryn i spojrzał na jej bluzkę. Gdy zniknął za drzwiami toalety, Kathryn zorientowała się, że nie podziękowała mu za uprzejmość.

Sygnał rozbrzmiewał sześć lub siedem razy. Ktoś trzasnął drzwiami, stłukła się szklanka, jakaś kobieta śmiała się tak piskliwie, że jej głos górował nad innymi dźwiękami. Kathryn umierała z pragnienia, aby usłyszeć Mattie. W domu Julii wciąż nikt nie podnosił słuchawki, ale ona czekała.

- Halo?

Usłyszała wreszcie głos Mattie, zdyszany, jakby biegła lub zmagająca się z kimś.

- Mattie! - krzyknęła Kathryn z ulgą. - Dzięki Bogu, że jesteś w domu.

- Mamo? Co się stało? Wszystko w porządku?

Kathryn usiłowała zebrać myśli. Nie chciała zdenerwować córki.

- Co u ciebie? - zapytała już spokojniej.



- Hm... Dobrze.

Głos Mattie brzmiał ostrożnie. Wydawał się napięty. Kathryn zmusiła się do bardziej radosnego tonu.

- Jestem w Londynie - powiedziała. - To wspaniałe miasto.

- Mamo, co ty tam robisz?

W słuchawce słycać było głośną muzykę. Kathryn rozpoznała jedną z płyt Mattie. To chyba Sublime, pomyślała. Tak, na pewno Sublime.

- Możesz trochę ściszyć? - poprosiła, zatykając ręką drugie ucho, aby odciąć się od hałasu w pubie. - Nie słyszę cię.

Czekała chwilę, aż Mattie wróci do telefonu. Wokół baru kłębił się tłum gości. Tuż obok niej stała para młodych ludzi ze szklankami w dłoniach, krzycząc sobie coś do uszu.

- Już jestem - usłyszała głos Mattie.

- ,W Londynie pada - powiedziała Kathryn. - Jestem w pubie. Spacerowałam po mieście. Trochę zwiedzałam.

- Czy ten facet jest z tobą?

- Ma na imię Robert.

- Nieważne.

- Ja tak nie uważam.

- Mamo, na pewno wszystko w porządku?

- Tak, w porządku. Co robisz?

- Nic takiego.

- Wydawało mi się, że byłaś zdyszana - powiedziała Kathryn.

- Naprawdę? - Na chwilę zapadła cisza. - Mamo, nie mogę teraz rozmawiać.

- Jest tam Julia?

- Jest w sklepie - odpowiedziała Mattie.

- Dlaczego nie możesz rozmawiać?

Gdzieś z głębi domu usłyszała czyjś stłumiony głos. Męski głos.

- Mattie?

Jej córka szeptała coś do kogoś. Potem zachichotała. Kathryn znowu usłyszała męski głos.

- Mattie? Co się dzieje? Kto tam jest?

- Nikt. Mamo, muszę już kończyć.

Na ścianie nad aparatem telefonicznym wypisane były długopisem i kolorowymi flamastrami różne numery i imiona. Roland u Margaret, przeczytała Kathryn.

- Mattie, kto jest z tobą? Słyszę jakiś głos.

- To tylko Tommy.
- Tommy Arsenault? - Tak.
- Mattie...
- Jason i ja zerwaliśmy ze sobą.

Mężczyzna stojący obok Kathryn zachwiał się i rozlał trochę piwa na rękaw jej płaszcza. Uśmiechnął się przepaszająco i usiłował wytrzeć dłonią zalany kawałek materiału.

- Kiedy to się stało? - zapytała Kathryn.
- Wczoraj wieczorem. Która jest u ciebie godzina?

Kathryn spojrzała na zegarek, którego nie przestawiła jeszcze na czas londyński.

- Piąta czterdzieści pięć - powiedziała, przeliczając szybko godziny.
- Pięć godzin - stwierdziła Mattie.

- Dlaczego zerwałaś z Jasonem? - dopytywała się Kathryn, nie przyjmując zmiany tematu.

- Nie uważam, żeby nas jeszcze coś łączyło.
- Och, Mattie...
- To nic, mamó. Wszystko w porządku, naprawdę.

- Co robicie z Tommym?

- Tak sobie siedzimy. Mamó, muszę już kończyć. Kathryn ponownie zmusiła się do zachowania spokoju.

- Co będziesz dziś robić? - zapytała.

- Nie wiem jeszcze, mamó. Świeci słońce, ale na dworze jest dużo mokrego śniegu. Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

Kathryn przez chwilę zastanawiała się, czy powiedzieć, że wcale nie jest w porządku i w ten sposób zatrzymać Mattie przy telefonie, ale uznała, iż byłby to najgorszy rodzaj matczynego szantażu.

- Wszystko dobrze - powiedziała. - Naprawdę.

- Muszę już iść, mamó.

- Będę w domu jutro wieczorem.

- Świetnie. Teraz już lecę.

- Kocham cię - powiedziała Kathryn, chcąc usłyszeć jeszcze głos córki.

- Ja też cię kocham - zapewniła ją pospiesznie Mattie. Nareszcie mogła się rozłączyć.

Kathryn usłyszała odgłos odkładanej słuchawki. Oparła głowę o ścianę. Młody człowiek w garniturze w drobne prążki czekał cierpliwie tuż za nią, aż wreszcie wyjął jej słuchawkę z dłoni.

Kathryn zanurkowała w tłumie ludzi przy barze, znalazła swoje buty i wyszła na deszcz. Na ulicznym straganie kupiła parasolkę i płacąc za nią, pomyślała, że w Anglii produkcja parasoli musi być kokosowym interesem. Było jej siebie trochę żal i zastanawiała się, czy na dodatek nie złapie grypy. Julia miała teorię, według której ten, kto płacze przy ludziach, niewątpliwie naraża się na przeziębienie. Nie była to jednak kara za publiczne okazywanie uczuć, ale wynik podrażnienia błony śluzowej przez obce zarazki. Kathryn natychmiast zaczęła tęsknić za Julią, pragnęła zobaczyć ją w nieśmiertelnym szlafroku i wziąć z jej rąk kubek kawy.

Cieszyła się z ochrony, jaką daje jej parasolka (piękny przedmiot, musiała przyznać), ? doceniała uzyskaną dzięki niej anonimowość. Patrząc uważnie pod nogi, mogła uniknąć wzroku ciekawskich przechodniów. Parasolka była dla niej zasłoną.

Cały Londyn w deszczu, pomyślała, a w Ely świeci słońce.

Szła przed siebie, aż dotarła do parku. Zastanawiała się, czy to rozsądnie wchodzić w nocy do parku. W alejkach paliły się latarnie, które oświetlały miejsca przy ławkach. Deszcz zelżał już trochę i zamienił się w mżawkę. Oświetlone fragmenty trawnika miały szary odcień. Kathryn podeszła do czarnej ławki i usiadła.

Usiadła przy czymś, co okazało się okrągłym klombem z różami. Latarnie oświetlały kolce na wysmukłych łodygach i znakomicie wydobywały ich obronny charakter. Kathryn zamyśliła się: On zdradził nie tylko mnie, także Mattie i Julię. Dokonał gwałtu na całej rodzinie.

Deszcz ustał. Kathryn złożyła parasolkę i oparła ją o ławkę. Jej kordonkowy szalik, po latach używania, zaczął się strzępić na końcach. Kathryn znalazła spuszczone oczko. Postanowiła naprawić szalik, gdy tylko wróci do domu. Z pewną satysfakcją szarpnęła mocniej i spuściła kolejnych sześć lub siedem oczek. Pociągnęła jeszcze raz, czując, jak nadwątlona dzianina zaczyna się pruć.

Pruła szydełkowy szalik rząd za rządem. Jeszcze jeden i jeszcze jeden. Nitka zwijała się na jej kolanach, zsuwała na ziemię. Ten szalik Jack podarował jej na urodziny.

Kathryn przestała dopiero wtedy, gdy wyciągnięty kordonek spiętrzył się na trawie jak niewielki kopczyk liści. Ostatni kawałek nitki spadł jej pod nogi. Kathryn wsunęła zmarznięte dłonie do kieszeni płaszcza.

Będzie musiała przebudować wszystkie swoje wspomnienia.

Przed jej ławką zatrzymał się starszy mężczyzna w płaszczu od deszczu. Być może zdziwił się, widząc samotną kobietę na mokrej ławce, ze zwojem kordonku u stóp. Być może był żonaty i pomyślał o swojej żonie. Zanim zdążył się do niej

odezwać, Kathryn powiedziała „dobry wieczór” i schyliła się, aby pozbierać nitki. Znalazła koniec sprutego kordonku i zaczęła szybko zwijać go w kłębek.

Uśmiechnęła się.

- Paskudna pogoda - powiedział mężczyzna.

- To prawda - zgodziła się uprzejmie.

Mężczyzna, najwyraźniej usatysfakcjonowany czynnością, jaką wykonywała, powoli poszedł swoją drogą.

Gdy zniknął jej z oczu, wcisnęła kłębek pod ławkę. Nasunęła jej się smutna refleksja, że nie wiedziała nic nie tylko na temat życia seksualnego swojej córki, ale także własnego męża.

Z daleka widziała światła ulicznych latarni, reflektory przejeżdżających samochodów, parę biegnącą przez ulicę. Deszcz znowu zaczął padać. Oboje mieli na sobie długie płaszcze od deszczu, kobieta nosiła buty na wysokich obcasach. Twarze wtulili w kołnierze. Mężczyzna przytrzymał jedną ręką płaszcz, a drugą obejmował kobietę, popychając ją, aby przebiec na drugą stronę, zanim zmienią się światła.

Muire Boland i Jack mogli robić to samo w tym mieście, pomyślała. Przebiegać przez ulicę tuż przed zmianą świateł. Spieszac się na kolację lub do pubu. A może do teatru. Na przyjęcie do znajomych. Albo do łóżka.

Małżeństwo Muire Boland miało swoją wagę. Dwoje dzieci przeciw jednemu. Dwoje małych dzieci.

I wtedy pomyślała: Jak związek, z którego urodziło się dwoje tak pięknych dzieci, można traktować jako nieważny?

Szła tak długo, aż zobaczyła w oddali dyskretną markizę, znajomą fasadę. Gdy weszła do hotelu, w środku było zupełnie cicho. Tylko przy recepcji, w kręgu światła, stał pracownik hotelowy, który uprzejmie ją przywitał. Idąc do windy, czuła, że jej ubranie jest przemoczone i ciężkie.

Odetchnęła z ulgą, zadowolona, że zapamiętała numer swojego pokoju. Gdy tylko włożyła klucz do zamka, otworzyły się drzwi sąsiedniego pokoju i na korytarz wyszedł Robert.

- Chryste Panie - powiedział. Wyglądał na zmęczonego, na piersi zwisał mu rozluźniony krawat. - Odchodziłem od zmysłów, zastanawiając się, co ci się stało.

Kathryn zamrugła oczami, oślepiona jaskrawym światłem na korytarzu, i odgarnęła włosy z twarzy.

- Wiesz, która jest godzina? - zapytał.

W jego głosie brzmiała prawdziwa troska, strofował ją jak zaniepokojony ojciec niegrzeczne dziecko. Nie miała pojęcia.

- Pierwsza w nocy - poinformował ją.

Kathryn wyjęła klucz z zamka i podeszła do Roberta, który przytrzymał otwarte drzwi. Zajrzała do środka i zobaczyła stojącą przy łóżku tacę z nietkniętym posiłkiem. Nawet na korytarzu czuć było intensywny zapach nikotyny.

- Wejść - zaproponował. - Wyglądasz upiornie. Za progiem Kathryn zsunęła z ramion płaszcz.

- Jesteś cała brudna - zauważył Robert.

Ściągnęła z nóg pantofle, które straciły kolor i kształt. Robert odsunął krzesło od biurka.

- Usiądź.

Zrobiła, co mówił. Robert usiadł na brzegu łóżka, naprzeciw niej, a ich kolana dotykały się, jej w mokrych rajstopach, jego w spodniach z szarej wełny. Miał na sobie białą koszulę, nie tę samą co podczas lunchu. Wyglądał zupełnie inaczej, niewyspany i zmęczony, z podkrążonymi oczami, wydawał się starszy niż w porze lunchu. Kathryn pomyślała, że ona też znacznie się postarzała.

Ujął ją za ręce. Jej dłonie zginęły w jego długich palcach.

- Opowiedz mi, co się stało - poprosił.

- Spacerowałam. Po prostu spacerowałam po mieście. Nawet nie wiem, gdzie byłam. To znaczy, częściowo wiem. Byłam w pubie i piłam piwo. Potem poszłam do parku i sprułam swój szalik.

- Sprułaś szalik?

- To znaczy swoje życie.

- Domyślam się, że było źle.

- Można to tak określić.

- Dałem ci trzydzieści pięć minut, a potem poszedłem za tobą pod ten adres. Musiałaś jednak już wyjść. Spacerowałem po ulicy z półtorej godziny, a potem zobaczyłem kobietę, która wychodziła z tego domu. Była z nią dwójka dzieci.

Kathryn spojrzała na kanapkę, która leżała na tacy. Chyba z indykiem.

- Jestem trochę głodna - powiedziała.

Robert podał jej talerz. Przez chwilę trzymała go na kolanach, czując, jak cała drży.

- Zjedz coś, a potem weź kąpiel. Chcesz, żebym zamówił ci coś do picia?

- Nie, chyba już mam dość. Jesteś bardzo opiekuńczy.

- Na Boga, Kathryn.

Płat mięsa w kanapce był tak cienki, że smakował jak folia. Kathryn odstawiła talerz.



- Byłem już gotów dzwonić na policję - powiedział. - Ciągłe wydzwaniałem pod numer telefonu tej kobiety. Bez skutku. Nikt nie odpowiadał.

- Tam były dzieci Jacka.

Robert nie wydawał się zaskoczony.

- Domyślałeś się tego.

- Przeszło mi przez głowę. Chociaż nie myślałem o dzieciach. To była ona? Muire Boland? Ta kobieta, która wyszła z domu? Jego...

- Żona - powiedziała Kathryn. - Byli małżeństwem. Wzięli ślub w kościele.

Robert wyprostował się. Widziała rysujące się na jego twarzy niedowierzanie.

- W katolickim kościele - dodała.

- Kiedy?

- Cztery i pół roku temu.

Na łóżku stała jego podręczna torba, z rozsuniętym zamkiem. Sterczała z niej koszula, którą nosił podczas lunchu. Na podłodze wałały się gazety. Na biurku stała opróżniona do połowy butelka wody mineralnej.

Poczuła, że Robert uważnie jej się przygląda, niczym lekarz szukający u pacjenta objawów choroby.

- Najgorsze jest już za mną - powiedziała.

- Masz zniszczone ubranie.

- Nic się nie stało, wyschnie. Położył dłonie na jej kolanach.

- Tak mi przykro, Kathryn.

- Chcę wracać do domu.

- Wrócimy - zapewnił ją. - Pierwszym porannym lotem. Zmienimy rezerwację.

- Nie powinnam była tu przyjeżdżać - oświadczyła, podając mu talerz.

- Zapewne.

- Usiłowałeś mnie powstrzymać. Robert odwrócił wzrok.

- Jestem ąłodna - powiedziała. - Ale to mi nie smakuje.

- Zamówię ci owoce i ser. Może jakąś zupę.

- Świetnie.

Kathryn wstała, ale poczuła, że ugięły się pod nią nogi. Miała zawroty głowy.

Robert podniósł się razem z nią i Kathryn przycisnęła czoło do jego koszuli.

- - Wszystkie te lata - wyszeptała - to jedna wielkie kłamstwo.

- Ciiii...

- On miał syna, Robercie. I drugą córkę. Przytulił ją do siebie, aby uspokoić.

- I przez te cztery i pół roku kochaliśmy się - powiedziała. - Przez cały ten czas kochałam się z mężczyzną, który miał inną kobietę. Drugą żonę. Robiłam różne rzeczy. Oboje robiliśmy różne rzeczy. Pamiętam wszystko...

- Już w porządku.

- Nic nie jest w porządku. Wysyłałam mu liściki miłosne. Pisałam do niego różne rzeczy. I on je przyjmował.

Robert gładził ją po plecach.

- Lepiej, że o tym wiem - doszła do wniosku.

- Może.

- Lepiej, gdy nie żyje się w kłamstwie.

Kathryn usłyszała wyraźną zmianę w rytmie jego oddechu, jakby miał czkawkę. Wyprostowała się i spojrzała na Roberta. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Pocierał dłonią oczy.

- Wezmę kąpiel - powiedziała. - Przykro mi, że cię zdenerwowałam. Powinnam była zadzwonić.

Robert uniósł w górę dłoń, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że nie musi przeproszać.

- Najważniejsze, że wróciłaś - rzekł, a Kathryn zauważyła na jego twarzy wyczerpanie, spowodowane brakiem wiadomości od niej.

- Ledwo stoisz na nogach - zauważył.

- Chciałabym się tutaj wykapać. Nie chcę być sama w pokoju. Kąpiel z pewnością mi pomoże.

Widziała niedowierzanie w jego oczach, jakby wątpił, czy coś może jej pomóc.

Odkręciła ciepłą wodę i wylała do wanny całą buteleczkę mydła w płynie, które wytworzyło na powierzchni grubą warstwę piany. Gdy się rozbierała, ze zdumieniem zauważyła, jak mokre jest jej ubranie. U spódnicy odpruł się spory kawałek zakładu. Stała naga pośrodku łazienki. Na białych kafelkach zostawiła ślady brudnych stóp. Na szklanej półce leżały ręczniki oraz śliczny koszycek z przyborami toaletowymi.

Wsadziła jedną nogę do wody, aby sprawdzić jej temperaturę, a potem weszła do wanny. Powoli zanurzała się w pianie.

Umyła włosy i twarz wodą z mydłem, zbyt zmęczona, by wyjąć szampon. Zdjęła z wieszaka ręcznik, zrolowała i ułożyła na brzegu wanny. Oparła się plecami, kładąc głowę na ręczniku.

Na małej porcelanowej umywalce stała skórzana kosmetyczka Roberta. Blezer ze złotymi guzikami wisiał na wieszaku na drzwiach. Z pokoju dobiegł ją dźwięk otwieranych drzwi na korytarz, krótka rozmowa, cisza, a potem trzask zamykanych drzwi. Pomyślała, że to pewnie obsługa hotelowa. Żałowała, że nie zamówiła herbaty. Filiżanka herbaty byłaby znakomita.

Okienko w łazience było lekko uchylone. Do Kathryn docierały różne hałasy z ulicy, czyjś krzyk z oddali. Miasto żyło nawet o godzinie pierwszej w nocy.

Poczuła senność i zamknęła oczy. Mimo siły wyporu wody czuła, że ciężko jej będzie ruszyć się i wyjść z wanny. Chciała wyzbyć się myśli, skupić na gorącej wodzie, mydle i niczym więcej.

Nawet nie drgnęła, gdy otworzyły się drzwi do łazienki, nie wykonała najmniejszego gestu, aby się osłonić, chociaż piana już się trochę rozrzedziła i, być może, widać było wierzchołki jej piersi.

Jej kolana wznosiły się nad powierzchnią wody jak wulkaniczne wyspy. Dużymi palcami u nóg bawiła się łańcuszkiem od zatyczki.

Robert zamówił herbatę i szklanę brandy.

Postawił filiżankę i szklanę na brzegu wanny. Oparł się plecami o umywalkę i wsunął ręce do kieszeni spodni. Skrzyżował nogi w kostkach. Wiedziała, że patrzy na jej ciało.

- Na twoim miejscu wlałbym brandy do herbaty - poradził jej. Kathryn usiadła, aby to zrobić.

- Zostawię cię samą - powiedział.

- Nie wychodź.

Wiszące za jego plecami lustro całkowicie zaparowało. Wpływające z zewnątrz powietrze mieszało się przy oknie z gorącym i powstawały obłoczki pary. Kathryn wlała alkohol do herbaty, zamieszała i pociągnęła duży łyk. Natychmiast poczuła w środku falę gorąca. Lecznicze właściwości brandy są zadziwiające, pomyślała.

Trzymała filiżankę namydlonymi palcami.

Robert poruszył szczęką. Chyba westchnął. Wyjął rękę z kieszeni i zaczął wycierać kciukiem kropelki wody, które zebrały się na krawędzi umywalki.

- Mógłbyś przynieść mi szlafrok - poprosiła.

W końcu powiedziała mu o wszystkim. W ciemnościach, leżąc na jego łóżku, powtórzyła mu każde słowo, jakie pamiętała ze spotkania w białym londyńskim domu. Słuchał prawie w milczeniu, mrużąc coś od czasu do czasu i ze dwa razy zadając jej jakieś pytania. Miała na sobie hotelowy szlafrok, Robert leżał w ubraniu. Kiedy mówiła, delikatnie gładził ją po ramieniu. Gdy zrobiło się zimno, naciągnął na nich kołdrę. Kathryn wtuliła głowę między jego pierś i ramię. Czuła w ciemnościach nieznane ciepło jego ciała, słyszała tuż obok jego oddech. Pomyślała, że może chciałaby powiedzieć coś jeszcze, ale zanim wydobyła z siebie pierwsze słowa, zapadła w głęboki sen.

Następnego ranka siedziała w białym szlafroku na brzegu łóżka i podszywała spódnice. Igłę i nitkę znalazła w łazience. Robert załatwił przez telefon zmianę

rezerwacji na wcześniejszy lot i zajął się czyszczeniem jej butów. Wschodzące słońce oświetlało pokój zza koronkowych firanek. Kathryn pomyślała, że przespała całą noc w jednej pozycji. Kiedy się obudziła, Robert wziął już prysznic i był ubrany.

- Chyba nie da się ich uratować - powiedział.
- Muszą mi tylko wystarczyć na podróż do domu.
- Zejdziemy na dół na śniadanie - zarządził Robert. - Na prawdziwe śniadanie.
- Byłoby miło.
- Nie ma pośpiechu.

Kathryn podszywała spódnicę cierpliwie i dokładnie, tak jak kiedyś uczyła ją Julia, i miała nadzieję, że uda się jej dokończyć w niej tę podróż. Robert patrzył na nią badawczo. Zdała sobie sprawę, że od ostatniej nocy coś się zmieniło; będąc pod tak ścisłą obserwacją, wykonywała wszystkie gesty ze szczególną precyzją.

- Wydajesz się niemal szczęśliwy - zauważyła, podnosząc wzrok. Kathryn wiedziała, że okropności poprzedniego dnia skryły się

w cieniu i na zawsze tam pozostaną, jak ciemne miejsce w oświetlonym wnętrzu. Gdy tylko na to pozwoli, będą ją dręczyć i zaburzać jej myśli. Uznała jednak, że najgorsze ma za sobą. Sprawilo jej" to pewnego rodzaju ulgę. Niemal czuła się już wolna, mogła żyć bez strachu.

Wiedziała jednak, że taka wolność to iluzja i że czeka ją jeszcze wiele przykrych doświadczeń. Wystarczyło wyobrazić sobie, że Mattie znajduje się na pokładzie samolotu, który spada na ziemię. Przecież w następnym samolocie może być Mattie. Życie może zaskoczyć ją czymś znacznie bardziej przerażającym niż to, czego już zaznała. Pomyślała jednak, że gdyby wiedziała, co ją jeszcze czeka, byłoby jej znacznie trudniej żyć.

Odłożyła nitkę z igłą i zaczęła obserwować, jak Robert pucuje jej pantofle. Jego gesty, stopa oparta na wysuniętej szufladzie, przypomniały jej Jacka. Jak dawno to było?

Wstała i pocałowała Roberta w kącik ust; ona trzymała w dłoniach spódnicę, on buty. Widziała, że jest zaskoczony. Oparła rękę na jego ramionach i spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję, że przyjechałeś ze mną do Londynu - odezwała się. - Nie wiem, jak bym przeżyła bez ciebie ostatnią noc.

Robert spojrział na nią i Kathryn wyczuła, że chce coś powiedzieć.

- Chodźmy coś zjeść - dorzuciła szybko. - Umieram z głodu.

Ściany restauracji hotelowej były wyłożone boazerią, nad którą wisiała bladoniebieska tapeta. Na podłodze leżał czerwony orientalny dywan. Kelner

zaprowadził ich do stolika pod oknem z ciężkimi zasłonami po bokach. Robert wskazał jej dłonią miejsce przy oknie. Na stoliku leżał biały obrus z grubego lnu, niemal sztywny od krochmalu, na nim srebrne sztuce i porcelanowa zastawa. Usiadła i położyła na kolanach serwetkę. Na ścianach zauważyła rysunki przedstawiające architekturę, na suficie piękny kryształowy żyrandol. Po chwili zorientowała się, że większość gości stanowią biznesmeni.

Wyjrzała przez okno. Mokre ulice lśniły w słońcu. Wnętrze restauracji przypominało jej pokoje recepcyjne w starych brytyjskich filmach i pomyślała, że czasami oficjalne wnętrza też mogą być całkiem przytulne. Wysiłek dekoratorów nie został skierowany na stworzenie higienicznej przestrzeni, typowej dla amerykańskich hoteli, gdzie trudno uwierzyć, aby ktokolwiek tam mieszkał lub nawet mógł kiedykolwiek zamieszkać. Na kominku palił się ogień. Zamówili jajka z kiełbaskami i tosty. Kawa była gorąca i Kathryn dmuchała do filiżanki, aby ją trochę ostudzić.

Nagle uniosła głowę i zobaczyła stojącą w drzwiach kobietę. Ręka jej zadrżała i kawa rozlała się na śnieżnobiały obrus. Robert sięgnął po swoją serwetkę, aby wytrzeć plamę, ale Kathryn powstrzymała go. Odwrócił się, chcąc zobaczyć, co przykuło jej uwagę.

Kobieta szła szybko w stronę ich stolika. Miała na sobie długi płaszcz, sweter i krótką wełnianą spódnicę, wszystko w przygaszonych zieleniach. Mimo to Kathryn odniosła wrażenie, że jej strój był skompletowany w pośpiechu. Uczesana była w koński ogon i wydawała się czymś przestraszona.

Gdy podeszła do nich, Robert wstał, wyraźnie zaskoczony.

- Wczoraj byłam dla ciebie niewybaczalnie okrutna - powiedziała kobieta wprost do Kathryn.

- To jest Robert Hart. - Kathryn przedstawiła swojego towarzysza. Robert wyciągnął rękę.

- Muire Boland - wymamrotała kobieta, chociaż on już się tego domyślił. - Muszę z tobą porozmawiać - zwróciła się do Kathryn i zawiesiła głos.

Kathryn zrozumiała, że chodzi jej o obecność Roberta.

- Możesz mówić - wtrąciła. Robert wskazał kobiecie krzesło.

- Byłam zła - zaczęła Muire Boland.

Mówiła pospiesznie, jakby miała mało czasu. Siedząc bliżej niej niż wczoraj, Kathryn zauważyła, że Muire ma tak samo rozszerzone źrenice jak jej córka, dzięki czemu jej oczy wydają się ciemniejsze.

- Byłam zła od czasu tego wypadku - kontynuowała Muire. - Prawdę powiedziawszy, byłam zła od lat. Tak mało miałam go dla siebie.



Kathryn była zdumiona. Czy miała przebaczyć tej kobiecie? Tutaj, w tej restauracji? Teraz?

- To nie było samobójstwo - rzekła stanowczo Muire.

Kathryn poczuła, że robi jej się sucho w ustach. Robert, wciąż przebywając w świecie, który te kobiety już opuściły, zapytał, czy Muire chce się napić kawy. Zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Muszę się spieszyć - oznajmiła. - Wyprowadziłam się z domu. Nie skontaktujesz się już ze mną.

Jej twarz była napięta, rysy ściągnięte. Kathryn wiedziała, że to nie może być efekt wyrzutów sumienia, lecz przejaw lęku.

- Mam brata, który nazywa się Dermot - powiedziała Muire. - Miałam jeszcze dwóch braci. Jeden z nich został zastrzelony przez paramilitarne bojówki na oczach swojej żony i trojga dzieci, gdy jedli kolację. Drugi zginął podczas wybuchu bomby.

Kathryn usiłowała wychwycić znaczenie tych informacji. Miała wrażenie, że rozumie ich sens. Siedziała oszołomiona, jakby nagle ktoś się z nią zderzył.

- Byłam kurierem od początku pracy w liniach lotniczych - ciągnęła Muire. - Dlatego zaczęłam pracować w Vision. Odpowiadała mi trasa Boston-Heathrow. Przewoziłam pieniądze z Ameryki do Anglii. Dalej były przekazywane do Belfastu.

Kathryn czuła, że czas się zatrzymał, zatoczył pętlę i powoli zaczął się rozwijać. Świat wokół niej - goście, kelnerzy, samochody na ulicy, nawet głosy przechodniów - wszystko to wydawało się jej jakby zanurzone w basenie. Tylko najbliższe otoczenie - ona, Muire Boland, Robert, biały obrus z plamą po kawie - miało ostre kontury.

Do stolika podszedł kelner, aby zmienić serwetki. Zapytał Muire, czy zechce zamówić śniadanie, ale odmówiła. Wszyscy troje siedzieli w nienaturalnej ciszy, dopóki kelner nie odszedł.

- Na każdym lotnisku, w Bostonie i na Heathrow, zawsze ktoś na mnie czekał, gdy przylatywałam i odlatywałam. Brałam tylko bagaż podręczny. Miałam zostawić torbę w poczekalni załogi i odejść. Po chwili wracałam po nią. To było bardzo proste. - Ciemnowłosa kobieta sięgnęła po szklanekę z wodą Roberta i upiła łyk. - Ale potem spotkałam Jacka - dodała - i zaszłam w ciążę.

Kathryn czuła, że ma zimne stopy.

- Kiedy zrezygnowałam z pracy w liniach lotniczych, odwiedził nas w domu Dermot - mówiła dalej Muire. - Zapytał, czy Jack nie zostałby kurierem. Odwoływał się do jego irlandzko-katolickich korzeni. - Przerwała, potarła dłonią

czoło. - Mój brat jest wielkim zapaleńcem i potrafi być bardzo przekonujący. Najpierw Jack był na mnie zły, że go nie uprzedziłam. Po prostu nie chciałam go w to mieszać. Ale potem, stopniowo sam zaczął się tym interesować. Niewątpliwie, pociągało go ryzyko, lecz też coś więcej. Po jakimś czasie bardzo się zaangażował, zupełnie poświęcił się sprawie. Stał się prawie takim samym zapaleńcem jak mój brat.

- Neofita - wtrącił Robert.

Kathryn zamknęła oczy i zachwiała się na krześle.

- Nie mówię ci tego, żeby cię zranić. - Muire zwróciła się do Kathryn. - Chcę tylko coś wyjaśnić.

Kathryn otworzyła oczy.

- Nie sędzę, abyś mogła mnie jeszcze mocniej zranić - odparła.

W porównaniu z poprzednim dniem kobieta siedząca obok niej wydawała się teraz zaniedbana, jakby całą noc przespalała w ubraniu. Do stolika podszedł kelner z dzbankiem świeżej kawy. Robert szybko go odprawił.

- Wiedziałam, że Jack wziął na siebie za dużo - mówiła Muire - ale był typem człowieka, który nie boi się brać na swoje barki zbyt dużo. - Przerwała. - Za to go zresztą kochałam.

To ostatnie zdanie zabolowało Kathryn. Po chwili pomyślała, ku swojemu zdziwieniu, że Jack właśnie dlatego kochał tę kobietę. Ponieważ stwarzała mu taką szansę.

- Byli w to zaangażowani też inni ludzie - powiedziała Muire. - Na Heathrow i na Logan w Belfaście.

Muire wzięła do ręki widelec i zaczęła nim rysować po obrusie.

- W nocy przed ostatnią podróżą Jacka zadzwoniła do nas jakaś kobieta i poprosiła go, aby coś przewiózł w drugą stronę. Z Heathrow do Bostonu. Według stałej procedury. To się czasami zdarzało, o ile pamiętam raz czy dwa. Jednak nie lubiłam takich sytuacji. Wiązały się z większym ryzykiem. Przy wylocie z Heathrow kontrola bezpieczeństwa jest większa niż przy przylocie na lotnisko. Dużo dokładniejsza niż na Logan. Jednak zadanie samo w sobie było dość typowe.

Muire odłożyła widelec. Spojrzała na zegarek i zaczęła mówić szybciej.

- Kiedy dowiedziałam się o katastrofie, próbowałam skontaktować się z bratem. Byłam wściekła. Jak mogli zrobić coś takiego Jackowi?

Czyżby poszaleli? To było bardzo szkodliwe z politycznego punktu widzenia. Wysadzić w powietrze amerykański samolot? W jakim celu? Wiadomo było, że cały świat zwróci się przeciwko nim. Przyłożyła dłoń do czoła i westchnęła.

- Zresztą o to właśnie, rzecz jasna, chodziło. Muire zamilkła.

Kathryn miała niejasne uczucie, że otrzymała bardzo ważną, ale zakodowaną wiadomość i należy natychmiast ją rozszyfrować.

- Bo to nie oni - powiedział wolno Robert, rozumiejąc więcej niż ona. - To nie IRA podłożyła bombę.

- Oczywiście, że nie - przytaknęła Muire.

- Chodziło o to, aby skompromitować IRA - dodał Robert, kiwając głową.

- Kiedy nie mogłam skontaktować się z bratem - ciągnęła Muire - pomyślałam, że jego także zabili. Okazało się, że nie mogłam się z nikim skontaktować.

Kathryn zastanawiała się, gdzie w tej chwili są dzieci Muire. Z A?

- Mój brat zadzwonił wreszcie zeszłej nocy. Ukrywał się. Sądził, że mój telefon jest na podsłuchu.

Do Kathryn z trudem docierała świadomość, że inni goście w tej restauracji jedzą śniadanie, może załatwiają interesy.

- Jack nie wiedział, co przewozi - powiedział cicho Robert, jakby do siebie, składając wszystkie elementy łamigłówki w całość.

Muire potrząsnęła głową.

- Jack nigdy nie przewoził materiału wybuchowego. Bardzo tego przestrzegał. To zupełnie zrozumiałe.

Kathryn przypomniała sobie o przepychance w kokpicie.

- To dlatego na taśmie nie ma jego głosu - uprzytomnił sobie nagle Robert. - Był tak samo zaszokowany jak mechanik.

Kathryn pomyślała, że Jack także został zdradzony.

- Powinniście jak najszybciej wracać do domu - powiedziała Muire wstając.

Oparła dłonie o blat stołu i pochyliła się nad Kathryn, która poczuła jej nieświeży oddech i zapach przeпоconego ubrania.

- Przyszłam tutaj - wyjaśniła Muire - ponieważ twoja córka i moje dzieci są krewnymi. W ich żyłach płynie ta sama krew.

Kathryn zastanawiała się, czy Muire Boland liczy na zrozumienie, jakie ma się zrodzić między dwiema kobietami, elementarne zrozumienie? I niemal w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że istotnie coś je łączy, choć bardzo tego nie chciała. Dzieci, to oczywiste, są przecież przyrodnim rodzeństwem, ale także Jack. Bez wątplenia Jack.

Muire wyprostowała się, gotowa do odejścia. Kathryn uświadomiła sobie nagle, że może już nigdy nie zobaczy tej kobiety.

- Powiedz mi o matce Jacka - poprosiła pośpiesznie.

- A zatem on ci nie powiedział? - zapytała Muire. Kathryn potrząsnęła głową.

- Tak myślałam - rzekła Muire po namyśle. - Wczoraj, gdy byłaś u mnie... - Umilkła. - Gdy miał dziewięć lat, jego matka uciekła z innym mężczyzną - wyjaśniła.

- Jack zawsze mi mówił, że jego matka nie żyje.

- Wstydził się tego, że go zostawiła. Ale, co dziwne, nie winił jej, tylko ojca, za jego brutalność. Zresztą dopiero ostatnio Jack zaczął mówić o swojej matce.

Kathryn nie patrzyła na nią, zażenowana, że nie mogła się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

- Muszę już iść - powiedziała Muire. - Sprowadzam na was oboje niebezpieczeństwo.

Może to była sprawa akcentu, pomyślała Kathryn. Spełnił rolę cyngla. A może ona po prostu szuka odpowiedzi na odwieczne pytanie: co sprawia, że mężczyźni się zakochują?

Robert przeniósł wzrok z Muire na Kathryn i z powrotem. Na jego twarzy malowało się coś, czego Kathryn nigdy przedtem nie widziała - udreka.

- Co się stało? - zapytała.

Otworzył usta, lecz zaraz je zamknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Wziął do ręki nóż i zaczął go obracać w tył i w przód między palcami, tak samo jak kiedyś długopis, co Kathryn zapamiętała.

- Co się stało? - powtórzyła jeszcze raz.

- Do widzenia - pożegnała się Muire. - Przepraszam.

Kathryn czuła, że strasznie kręci jej się w głowie. Zastanawiała się, jak dawno temu Muire Boland pojawiła się w drzwiach. Trzy minuty? Cztery?

Robert spojrział na Kathryn, a potem ostrożnie położył nóż przy talerzu.

- Zaczekaj! - zawołał do Muire, gdy ruszyła w stronę wyjścia.

Kathryn widziała, jak kobieta zatrzymała się, obróciła wokół własnej osi i spojrzała na Roberta, z wyrazem zaskoczenia na twarzy przechylając na bok głowę.

- Kim są ci inni piloci? - zapytał szybko. - Muszę znać ich nazwiska. Kathryn zeszywniała. Spojrzała na Roberta, a potem na Muire.

Czuła, że cała drży.

- Wiesz coś? - zapytała Roberta cicho, w napięciu. Robert spuścił oczy i oblał się rumieńcem.

- Od początku o tym wiedziałeś? - dopytywała się. - Przyszedłeś do mojego domu, bo wiedziałeś, że Jack może być zamieszany w coś takiego?

- Wiedzieliśmy tylko, że istnieje linia przerzutowa - odparł Robert. - Nie wiedzieliśmy, kto, chociaż podejrzewaliśmy Jacka.

- Wiedziałaś, dokąd to może zaprowadzić? Co mogę odkryć? Robert spojrzał na nią i nagle zobaczyła w jego oczach wszystko: miłość, odpowiedzialność, stratę. Zwłaszcza stratę.

Kathryn wstała, serwetka upadła na podłogę. Jej zachowanie zwróciło uwagę innych gości, którzy spojrzeli na nią z lekkim niepokojem.

- Wierzyłam ci - powiedziała.

Wyszła z restauracji prosto na ulicę i wsiadła do stojącej przed hotelem taksówki. Płaszcz i torbę zostawiła w pokoju. Nie interesowało jej, co się stanie z rzeczami.

Rezerwację zmieni na lotnisku.

W samochodzie patrzyła na swoje ręce, spoczywające na kolanach, zaciśnięte tak mocno, że kostki stały się niemal przejrzyste białe. Nic nie słyszała ani nie widziała. Czuła tylko, jak z wściekłości burzy się jej krew, gwałtownie pulsuje w żyłach. Nigdy przedtem nie była tak wściekła. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu.

Na Heathrow Kathryn przeszła przez obrotowe drzwi i wmieszała się w międzynarodowy tłum, przemieszczający się w różnych kierunkach, jakby ludzie stracili poczucie orientacji. Znalazła stanowisko British Airways i zajęła miejsce w kolejce. Była gotowa zmienić lot i linie lotnicze bez względu na koszty.

Stojąc w kolejce, czuła się wystawiona na widok, bez żadnej osłony. Robert mógł się domyślić, co chce zrobić, i przyjechać za nią. Była zdecydowana poczekać na swój samolot nawet w toalecie.

Kolejka posuwała się bardzo wolno. Kathryn czuła narastającą złość na niemrawą obsługę w punkcie sprzedaży biletów.

Zaczęła się zastanawiać, czy będzie lecieć nad Malin Head, tą samą drogą, którą leciał Jack.

I nagle zaczęła odczuwać siłę grawitacji. Tak potężną, że była tym zaskoczona. Położyła rękę na piersiach.

Przyciąganie rosło, w miarę jak zbliżała się do stanowiska.

Gdy przysła jej kolej, położyła bilet na kontuarze. Pracownik linii lotniczych spojrzał na nią, czekając na dyspozycje.

- Jakie jest najbliższe lotnisko przy Malin Head? - zapytała.



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Trzyma naręczce brudnego prania - wilgotne ręczniki, pogniecione prześcieradła i zwinięte skarpetki, które wyslizgują się jej z rąk i spadają na podłogę. Schyla się, aby podnieść niesforne części garderoby, i żałuje, że nie przyniosła na górę koszyka, co ułatwiłoby jej zebranie prania. Jeszcze mocniej przyciska brudną bieliznę i idzie w kierunku schodów. Przechodząc koło otwartych drzwi sypialni, zagląda do środka.

To ulotny obraz, tak szybko przemijający, że z ledwością zarejestrowany. Podświadomy obraz, podobny do tysięcy innych, które zapisują się tylko w umyśle, ale nie interesują świadomości patrzącego. Podobny do wizerunku kobiety, wybierającej pomarańcze w supermarkecie, lub studenta, na którego szyi widzimy, ale nie zauważamy, medalik na łańcuszku.

Jack pochyla się nad swoim podręcznym bagażem, przygotowując się do podróży. Jego ręce poruszają się szybko, gdy chowa rzeczy do torby. Kathryn zauważa niebieską koszulę w żółte paski, której nigdy przedtem nie widziała. Pewnie kupił ją w nagłej potrzebie w kiosku na lotnisku.

Uśmiecha się, aby dać mu do zrozumienia, że nie chciała najść go zniecka. Jack prostuje się, opuszczając wieko walizeczki.

- Pomóc ci z tym? - pyta Jack.

Kathryn stoi przez chwilę bez ruchu, podziwiając, jak popołudniowe słońce oświetla deski podłogi, które jarzą się jak dojrzałe dynie.

- Kiedy wyjeżdżasz? - pyta męża.

- Za dziesięć minut.

- A kiedy wracasz?

- We wtorek. Koło południa. Zadzwoń do Alfreda Zachariana, niech przyjedzie i rzuci okiem na przeciekający prysznic. Dzisiaj było jeszcze gorzej.

Widzi, że jego włosy są jeszcze wilgotne po kąpieli. Chyba trochę schudł, zauważa Kathryn, nie ma najmniejszego śladu brzucha. Patrzy, jak idzie do szafy, zdejmując z wieszaka marynarkę od munduru i wkłada ją. Widok Jacka w mundurze za każdym razem robi na niej olbrzymie wrażenie, które jeszcze się pogłębia, gdy zapina marynarkę na trzy złote guziki.

- Będę za tobą tęskniła - mówi bez zastanowienia.

Jack odwraca się i wchodzi w plamę światła. Kathryn widzi, że ma zmęczone oczy.

- Co się stało? - pyta.

- O co chodzi?

- Wyglądasz, jakbyś się czymś martwił.

- Boli mnie głowa - mówi i pociera oczy.

Kathryn widzi, jak rysy jego twarzy powoli się rozluźniają.

- Dać ci advice? - pyta.

- Nie, dziękuję - odpowiada.

Jack zamyka walizkę, bierze ją do ręki i zatrzymuje się na chwilę. Wydaje się jej, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale rezygnuje. Zdejmuje walizkę z łóżka.

- Zostaw suche pranie do mojego powrotu - mówi, podchodząc do niej.

Patrzy jej w oczy o sekundę dłużej niż zwykle. Pochyla się i całuje ją nad stertą brudnego prania. Pocałunek ześlizguje się do kącika ust.

- Zajmę się tym we wtorek - dodaje.

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kathryn śledziła drogę na mapie, bez przerwy pamiętając, aby jechać lewą stroną, co zresztą niemal całkowicie pochłaniało jej uwagę, i dopiero po pewnym czasie zdała sobie sprawę z pewnej ironii losu. Zorientowała się bowiem, że jedzie Antrim Road, na zachód od lotniska w Belfaście. Lot był bardzo spokojny, wypożyczenie samochodu obyło się bez kłopotów. Czuła niemal fizyczny przymus, by jak najszybciej dotrzeć do celu swej podróży.

Ponieważ samolot wylądował na zachód od Belfastu, nie widziała w ogóle miasta, zniszczonych wybuchami domów i poszarpanych pociskami fasad kamienic, o czym wcześniej słyszała. Trudno jej było pogodzić idylliczny krajobraz, jaki rozciągał się wokół niej, z nierozwiązywalnym konfliktem, który zabrał tyle istnień ludzkich - ostatnio sto cztery osoby w katastrofie nad Atlantykiem. Skromne białe domki i pastwiska szpeciły jedynie ogrodzenia z drutów, linie telefoniczne i gdzieniegdzie anteny satelitarne. Wznoszące się w oddali wzgórza zdawały się zmieniać kolory, a nawet kształty, w zależności od tego, jak padało na nie słońce, prześwitujące zza obłoków. Ziemia wyglądała na bardzo starą, schodzoną tysiącami stóp, podobnie jak porośnięte mchem wzniesienia. Na grzbietach wzgórz najbliższej drogi Kathryn widziała setki owiec, przypominających chaotycznie rozrzucone, białe cętki, zaorane i pokryte koleinami połacie ziemi, wyglądające z daleka jak gigantyczna układanka, oraz niskie, zielone żywopłoty, które, niczym linia narysowana ręką dziecka, odgradzały pola uprawne.

To nie o to toczyły się te krwawe walki, pomyślała, jadąc dalej. Chodziło o coś innego, czego nigdy nie pojmie, nigdy nie zrozumie. Jednak Jack uważał, z miłości lub z arogancji, że rozumie, i zaangażował się w skomplikowany konflikt w Irlandii Północnej, dzięki czemu Kathryn i Mattie także stały się jego uczestnikami, chociaż marginalnymi i zupełnie nieświadomymi.

Kathryn niewiele wiedziała o tym konflikcie, tyle tylko, ile dotarło do niej z gazet i telewizji, gdy wydarzenia przybierały tak tragiczny obrót, że interesowały się nimi amerykańskie media. Czytała lub słyszała o zamieszkach na tle religijnym na początku lat siedemdziesiątych, o strajkach głodowych, o zawieszeniu broni w 1994 roku, którego nie udało się utrzymać, jednak bardzo niewiele wiedziała o przyczynach tych wydarzeń. Słyszała o stosowanych przez IRA metodach terroryzowania ludzi, o podkładaniu bomb, o mężczyznach w czarnych maskach na twarzach, którzy atakowali domy, ale nie rozumiała, jaki patriotyzm może rodzić takie akcje terrorystyczne. Czasami kusilo ją, aby porównać uczestników

tych walk do członków tajnych sekt religijnych, którzy dali się ponieść ideologii, tak samo jak fanatycy religijni wszystkich epok. Innym razem wydawało się jej, że to okrucieństwo i głupota Brytyjczyków wywoływały taką gorycz i frustrację, która mogła skłaniać ludzi do aktów przemocy.

Jednak teraz zastanawiała się nie tyle nad przyczyną konfliktu, ile nad rolą, jaką odegrał w nim Jack, a tego tak naprawdę nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Czy wierzył w sprawę, czy zaangażował się w nią z powodu jej pozornej autentyczności? Wydawało jej się, że rozumie, co mogło go w tym pociągać: sens, jaki tego typu działanie natychmiast nadawało życiu. Miłość, romantyczny idealizm, przynależność do organizacji walczącej w słusznej sprawie, nawet kwestie religijne, to wszystko mogło stanowić jedną całość. Stało za tym zupełne oddanie się jakiejś osobie lub idei i taka sytuacja wiązała ludzi na całe życie. Oddanie sprawie mogło być częścią miłostnego związku, a miłość stanowiła nierozdzielny element sprawy, tak że później nie można już było traktować tych rzeczy osobno. Nie można było także bez nich żyć. Kathryn pomyślała, że w zasadzie nie chodziło o to, dlaczego Jack związał się z Muire Boland i wziął z nią katolicki ślub, ale czemu nie porzucił jej i Mattie?

Ponieważ zbyt kochał córkę, odpowiedziała sobie natychmiast.

Zastanawiała się także, czy małżeństwo Jacka i Muire było legalne. Czy ślub kościelny automatycznie uprawomocnia związek? Nie miała pojęcia, jak to wygląda w świetle prawa i jak udało się Jackowi i Muire zawrzeć ślub. I nigdy się tego nie dowie. Było wiele spraw, których nigdy już nie wyjaśni.

Tuż po przejechaniu Londonderry Kathryn musiała pokazać swój paszport w punkcie kontrolnym i wjechała do Republiki Irlandii. Posuwała się na północny zachód, a krajobraz stawał się bardziej rolniczy niż okolica na początku jej podróży. Owiec było zdecydowanie więcej niż ludzi, a domy pojawiały się z rzadka. Kierowała się drogowskazami na Malin Head, po irlandzku Cionn Mhalanna. W powietrzu czuła zapach torfowisk. Teren stawał się coraz bardziej nierówny, okolica wydawała się dzika, poprzecinana pasmami wzgórz i postrzępionych skał. Wysokie piaszczyste wydmy porośnięte były tu i ówdzie trawą i wrzosami. Droga zwężyła się do jednopasmowej i nagle Kathryn zdała sobie sprawę, że jedzie zbyt szybko. Na ostrym zakręcie nieomal wjechała do rowu.

Oczywiście, mogło chodzić o matkę, pomyślała. Marzenie, aby ją odzyskać, mieć matkę, której mu zabrakło. Z pewnością mogła to być jedna z przyczyn jego miłości do Muire Boland i nawet Muire zdawała się to rozumieć. Ale poza tą spekulacją rozpościerało się już mroczne terytorium: kto rozumie motywacje

mężczyzn? Nawet gdyby Jack żył i jechał z nią w tym samochodzie, czy mógłby jej wyjaśnić, dlaczego tak się stało? Czy w ogóle ktoś mógłby to zrobić? Zapewne i tego nigdy się nie dowie. Mogła sobie tylko wyobrazić, co jest prawdą. Zdecydować sama, jaka jest prawda.

Po drodze bez przerwy atakowały ją i osaczały różne domysły, wspomnienia. Kathryn wiedziała, że miną miesiące, a nawet lata, zanim to się skończy. Dręczyło ją, na przykład, podejrzenie, że Jack mógł zabierać pieniądze jej i Mattie, aby wydawać je na drugą rodzinę. Na myśl o tym czuła, jak gwałtownie podnosi się jej ciśnienie. Albo ta awantura, straszna awantura, za którą Kathryn winiła siebie. Jack miał tyle tupetu, by obarczyć ją odpowiedzialnością za tę kłótnię, choć sam od dawna związał się z inną kobietą. Do czego Jack używał przez cały ten czas komputera? Wysyłał listy miłosne? Czy dlatego tak szybko podsycił kłótnię, pytając, czy chce, aby od niej odszedł? Czy nosił się z takim zamiarem?

Albo ten wiersz, przypomniała sobie. Czyżby czujność Jacka osłabła na tyle, że ślady jego związku z Muire Boland przeniknęły do ich małżeństwa? Czy miało to miejsce częściej, z czego ona w ogóle nie zdawała sobie sprawy? Ile obejrzała filmów i przeczytała książek, które polecała Muire? Ile z życia tej irlandzkiej kobiety przeniknęło do jej własnego?

Również tego nigdy się już nie dowie.

Zjechała z głównej drogi, kierując się wskazówkami, które otrzymała, aby dojechać do najbardziej wysuniętego na północny zachód miejsca w Irlandii. Niespodziewanie droga zrobiła się jeszcze węższa, prawie tak wąska jak podjazd do garażu przed jej własnym domem. Jadąc zastanawiała się, dlaczego nigdy nie podejrzewała Jacka o romans. Jak można żyć tak długo z mężczyzną i nigdy nie stracić do niego zaufania? Wydawało się jej, że to była wielka naiwność z jej strony, jakieś przeoczenie. Ale nagle uświadomiła sobie, że przecież dobrze zna odpowiedź. Naprawdę zaangażowany cudzołóżnik nie daje powodów do podejrzeń, ponieważ nie chce zostać przyłapany.

Kathryn nie podejrzewała męża, gdyż nigdy nie wyczuła u niego zapachu innej kobiety, nigdy nie znalazła śladów szminki na jego koszuli. Nawet ich współżycie seksualne nie dawało jej powodu do niepokoju. Uważała, że pewne zobojętnienie, jakie pojawiło się w ich związku, było czymś naturalnym w małżeństwie, które trwało tyle lat.

Opuściła szybę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza - dotarł do niej zapach, który był dziwną mieszaniną morskiej wody i chlorofilu. Zauważyła, że wokół niej roztacza się niezwykle krajobraz. Pejzaż, utkany z intensywnych zieleni, jego głębia, sprawiały wrażenie solidności, której nie czuła w Londynie. Połączenie



oceanu i skalistego wybrzeża, aczkolwiek bardziej dzikie niż w znanej jej okolicy Nowej Anglii, wydało się znajome. Po raz pierwszy od chwili, gdy Muire Boland pojawiła się w drzwiach restauracji hotelowej, Kathryn oddychała spokojnie i głęboko.

Wjechała do miasteczka i natychmiast rozpoznała widok zapamiętany z telewizji: brakowało tylko starego rybaka. Zwolniła i zatrzymała auto. Przez szybę obserwowała sklepy i fasady budynków wokół rynku. Znalazła miejsce, gdzie stały kamery, a także wejście do hotelu, skąd ciemnowłosa reporterka z parasolem prowadziła wywiad. Budynek był biały i czysty. Nad drzwiami zauważyła napis: Malin Hotel.

Zastanawiała się, czy znajdzie tam pokój na jedną noc. Powrotny lot do Londynu miała dopiero następnego dnia rano. Może powinna też pójść coś zjeść.

Po kilku minutach wypatrzyła w pobliżu typowo wyglądający bar. Szkarłatne zasłony w oknach, stolki z siedzeniami pokrytymi beżowym winylem, drętwa atmosfera wewnątrz, ożywiona jedynie ogniem płonącym na kominku w głębi sali. Wzdłuż ścian stały wyściełane ławy i niskie stoły. W barze siedziało kilka osób, zajętych grą w karty, rozmowami i piciem piwa.

Kathryn usiadła przy ladzie i zamówiła herbatę. Niemal natychmiast miejsce obok niej zajęła kobieta z wysoko upiętymi blond włosami. Kathryn odwróciła głowę i zaczęła studiować napisy nad kasą. Zbyt późno zorientowała się, że większość gości stanowią tu dziennikarze.

W lustrze nad szeregiem butelek odbijała się twarz siedzącej obok niej kobiety. Miała nienaganny makijaż i wyglądała bardzo po amerykańsku. Ich oczy się spotkały.

- Mogę postawić pani drinka? - zapytała kobieta cicho. Kathryn natychmiast zrozumiała, dlaczego blondynka mówi niemal

szeptem. Nie chce, aby inni dziennikarze rozpoznali żonę pilota.

- Nie, dziękuję - odparła.

Kobieta przedstawiła się i powiedziała, dla jakiej agencji pracuje.

- My przesiadujemy w barze - wyjaśniła. - Krewni czekają w hotelowym holu. Od czasu do czasu wpada tu jakiś mąż lub ojciec, zamawia drinka, ale nie ma ochoty na rozmowę, wszyscy jesteśmy już zmęczeni. I znudzeni. Przepraszam, jeśli zabrzmiało to cynicznie.

- Domyślam się, że nawet katastrofa samolotu może być nudna - odparła Kathryn.

Barman przyniósł jej herbatę. Dziennikarka zamówiła piwo.

- Widziałam pani zdjęcie w prasie - powiedziała. - Bardzo współczuję. Dużo musiała pani przejść.

- Dziękuję.

- Większość wysłanników stacji telewizyjnych i agencji informacyjnych będzie tu czekać aż do zakończenia akcji ratunkowej.

Kathryn posłodziła herbatę i czekała, aż trochę ostygnie.

- Mogę zapytać, dlaczego pani tu przyjechała? - dopytywała się dziennikarka.

Kathryn wypła łyk herbaty.

- Nie potrafię pani odpowiedzieć. Sama nie wiem.

Pomyślała o swojej złości i przyciąganiu grawitacyjnym, o tym, czego dowiedziała się rano. A także o tym, jak łatwo byłoby powiedzieć tej kobiecie wszystko, co wie. Dziennikarka zapewne nie posiadałaby się z radości, mogąc opublikować najbardziej sensacyjną wiadomość z całego śledztwa, bardziej sensacyjną niż przeciek o nagraniach z czarnej skrzynki. A gdyby to wszystko opublikowano, czy policja znalazłaby Muire Boland? Czy zostałaby aresztowana i skazana na karę więzienia?

Ale zaraz potem Kathryn pomyślała o dziecku, tak bardzo podobnym do małej Mattie, o Dierdre, która miała lalkę Samanthę.

- To nie było samobójstwo - dodała. Tylko tyle mogę powiedzieć.

Robert wiedział o wszystkim od samego początku, pomyślała Kathryn. Otrzymał te informacje, zanim przyszedł do jej domu. Związek podejrzewał Jacka i poprosił Roberta, żeby ją obserwował. Miał być z nią i czekać na jakiś znak, który przekonałby ich, że wiedziała o działaniach męża. Może podałyby im nazwiska innych pilotów. Robert ją wykorzystał.

Straciła ochotę na herbatę. Znowu ogarnęła ją przemożna chęć dotarcia do celu podróży. Wstała ze stołka.

- Czy możemy porozmawiać? - zapytała dziennikarka.

- Nie sędzę - odparła Kathryn.

- Zamierza pani jechać do Malin Head? Kathryn milczała.

- Nie wpuszczą pani na miejsce wypadku. Proszę to wziąć. Kobieta wyjęła z torebki wizytówkę, na odwrocie napisała jakieś nazwisko, po czym wręczyła wizytówkę Kathryn.

- Kiedy pani tam dojedzie, niech pani zapyta o Danny'ego Moore'a - poradziła jej. - Zabierze panią łódką. To moja wizytówka. Kiedy będzie pani już wolna i zmieni zdanie, proszę do mnie zadzwonić. Zatrzymałam się w hotelu. Zapraszam na kolację.

Kathryn wzięła wizytówkę i przyjrzała się jej.

- Mam nadzieję, że wkrótce wróci pani do domu - rzekła.

Wychodząc z hotelu, Kathryn zatrzymała się na chwilę w holu. Jej uwagę zwróciła siedząca na fotelu kobieta, która trzymała na kolanach gazetę. Gazeta była złożona i kobieta nie patrzyła na nią. Kathryn domyśliła się, że ona nie widzi niczego przed sobą, miała nieprzytomne spojrzenie. Po drugiej stronie holu, przy kominku stał mężczyzna z rękami w kieszeniach, którego spojrzenie było tak samo puste.

Kathryn szybko opuściła hotel i wsiadła do samochodu. W ręku cały czas zaciskała wizytówkę dziennikarki.

Wiedziała już, co robi. Nie miała wpływu na to, jak ostatecznie zachowa się Robert Hart, ale mogła decydować za siebie. Właściwie, w pewnym sensie, od lat już nie czuła się tak wolna w podejmowaniu decyzji za siebie.

Gdyby ujawniła przyczyny katastrofy samolotu, Mattie dowiedziałaby się o drugiej rodzinie Jacka. Kathryn była absolutnie pewna, że córka nie zniosłaby tej wiadomości. Bez wahania podała wizytówkę na drobne kawałki, które upadły na podłogę samochodu.

Wiedziała, że cel jej podróży jest już blisko. Ruszyła przed siebie, śledząc drogowskazy na Malin Head. Mijała zrujnowane domostwa, wyglądające jak sterty kamieni, nakrytych zwalonymi i zbutwiałymi dachami. Wzdłuż klifu rosła aksamitna trawa, która nawet w środku zimy zachowała piękny, szmaragdowy kolor. Między wbitymi w ziemię kołkami wisiały na sznurkach schnące w słońcu ubrania, abstrakcyjna sztuka w przestrzeni. Pomyślała, że jest znakomita pogoda na suszenie prania.

Gdy wyjechała z zakrętu, zaskoczył ją widok linii horyzontu nad Atlantykiem. Na jego tle rysował się ciemnoszary zarys statku. W górze warczał helikopter. Wokół statku krążyły pomalowane na jaskrawe kolory łódzie rybackie, jak focze dzieci wokół matki. Kathryn pomyślała, że to na pewno statek ratowniczy.

A zatem to właśnie tam samolot wpadł do wody.

Zaparkowała i wyszła z auta. Zbliżyła się do krawędzi klifu na taką odległość, na jaką starczyło jej odwagi. Poniżej znajdowała się wysoka na dziewięć metrów skała, schodząca pionowo do oceanu. Z tej wysokości woda wydawała się niemal nieruchoma, falistą linią dotykała plaży. Do brzegu zbliżała się czerwona łódź rybacka. Daleko jak okiem sięgnąć, woda miała jednolicie niebieską, metaliczną barwę.

Kathryn uznała, że nigdy jeszcze nie widziała bardziej teatralnego pejzażu morskiego wybrzeża - surowego, przerażającego, dzikiego. Zwiastował katastrofę. Z pewnością wydarzyło się tu wiele nieszczęść.

Śledziła wzrokiem łódź, aż zniknęła za wybiegającym w morze półwyspem, który zapewne nazywał się Malin Head.

Wsiadła do samochodu i ruszyła wąską drogą, wypatrując na wodzie czerwonej łodzi, którą jeszcze parę razy udało jej się dostrzec. Wpłynęła do małej przystani przy długim betonowym molo. Kathryn podjechała bliżej i zatrzymała auto. Wsiadła.

Łódki przycumowane przy molo lśniły w słońcu jaskrawymi kolorami - pomarańczowym, niebieskim, zielonym i żółtym. Ten widok zdecydowanie bardziej kojarzył jej się z Portugalią niż Irlandią. Łódź, której szukała, płynęła wolno wzdłuż mola i po chwili wyrzucono z niej linę cumowniczą. Kathryn skierowała się w tamtą stronę. Na końcu mola stali strażnicy w mundurach, a obok nich grupki mężczyzn ubranych po cywilnemu. Zauważyła, że rybak z czerwonej łodzi wyładowuje kawałek srebrzystego metalu wielkości krzesła. Położył go na molo, co natychmiast zwróciło uwagę cywilów, którzy otoczyli metalową skorupę. Jeden z nich dał znak czekającemu w pobliżu kierowcy ciężarówki, aby wjechał na molo. Załadowano na nią coś, co wyglądało jak fragment samolotu Jacka.

Przed wejściem na molo zatrzymał Kathryn strażnik.

- Dalej nie wolno, proszę pani - powiedział.

Był to być może żołnierz albo policjant uzbrojony w karabin maszynowy.

- Jestem krewną - wyjaśniła, nie spuszczać oka z jego broni.

- Serdecznie współczuję - odparł strażnik. - Dla krewnych są zorganizowane wyjazdy. Może się pani dowiedzieć w hotelu.

Tak jak na oglądanie wielorybów, pomyślała Kathryn. Lub na rejs po morzu.

- Chciałabym chwilę porozmawiać z panem Dannym Moore'em - powiedziała.

- Oczywiście. Jest tam. - Wyciągnął rękę. - Niebieska łódka. Kathryn podziękowała i szybko weszła na molo.

Unikając kontaktu wzrokowego z funkcjonariuszami ubranymi po cywilnemu, którzy już ją zauważyli, Kathryn zawołała do rybaka w niebieskiej łódce. Widziała, że szykuje się do wypłynięcia w morze.

- Proszę poczekać!

Był młody, krótko ostrzyżony. W lewym uchu miał złoty kolczyk. Jego sweter zapewne był kiedyś koloru kości słoniowej.

- Czy pan nazywa się Danny Moore? Kiwnął głową.

- Może mnie pan zabrać na miejsce katastrofy?

Widać było, że się waha, być może też zamierza powiedzieć jej o zorganizowanych wyjazdach dla krewnych.

- Jestem żoną pilota - dodała szybko Kathryn. - Muszę zobaczyć miejsce, w którym zginął mój mąż. Nie mam wiele czasu.

Rybak wyciągnął do niej rękę. Kazał jej usiąść na pomoście sternika. Kathryn obserwowała, jak w stronę łodzi szybko zbliża się mężczyzna w cywilnym ubraniu. Rybak odczepił cumę i uruchomił silnik.

Powiedział coś do Kathryn, ale nie usłyszała. Pochyliła się w jego stronę, lecz ryk silnika i silny wiatr utrudniały rozmowę.

Łódź była wyszorowana do czysta, bez śladów przewożenia ryb. Po co łowić ryby, kiedy można zarobić w inny sposób, a zleceniodawcy dobrze płacą?

- Zapłacę panu - szybko wtrąciła Kathryn.

- Ależ nie - zaproponował rybak i zawstydzony odwrócił głowę. - Nie biorę pieniędzy od rodzin.

Gdy tylko łódź wypłynęła za molo, wiatr zaczął wiać z całą siłą. Rybak lekko się do niej uśmiechnął, gdy ich oczy się spotkały.

- Mieszka pan tutaj? - zapytała Kathryn.

- Tak - odparł i znowu powiedział coś, czego Kathryn nie zrozumiała.

Pomyślała, że to pewnie nazwa miejscowości, w której mieszka.

- Jest pan tu od początku? - zawołała.

- Od początku - przytaknął, odwracając głowę. - Teraz już nie jest tak źle jak w pierwszych dniach...

Kathryn nie chciała nawet myśleć o tym, jak to wyglądało bezpośrednio po tragedii.

- Ładna łódka - pochwaliła go, chcąc zmienić temat.

- Świetna.

Akcent rybaka nasunął jej niemiłe skojarzenia z Muire Boland.

- Czy to pańska łódź? - zapytała.

- Nie. Należy do mojego brata. Razem łowimy.

- A co łowicie?

Silnik pracował regularnie. Kraby i homary.

Kathryn wstała i odwróciła się, patrząc w stronę dziobu. Stojący przy sterze młody mężczyzna przestępował z nogi na nogę, utrzymując równowagę. Zdeformowane pantofle Kathryn utrudniały jej utrzymanie pionowej pozycji.

- Łowicie też, gdy jest tak zimno? - zapytała, otulając się szczelniej żakietem.

- Tak. - Kiwnął głową. - Przez cały rok.

- Wypływacie codziennie?

- Skądże. Wypływamy w niedzielę wieczorem, a wracamy w piątek.

- Ciężka praca - uznała. Wzruszył ramionami.



- Dzisiaj mamy dobrą pogodę - powiedział. - Na Malin Head przeważnie jest mgła.

Zbliżali się do miejsca katastrofy, gdzie stał na kotwicy statek ratowniczy, i Kathryn mogła obserwować inne łodzie rybackie, biorące udział w akcji - kolorowe łódki, podobne do tej, którą płynęła, wyglądające zbyt wesoło jak na zadanie, które wykonywały. Na pokładzie statku stali płetwonurkowie w kombinezonach. W górze nad nimi wciąż krążył helikopter. Szczątki samolotu z pewnością były rozrzucone na dużym terenie.

Nad głową rybaka Kathryn widziała linię brzegu, klify z łupkowatej skały. Krajobraz miał w sobie coś z romantycznej powieści grozy, wyglądał posepnie nawet przy ładnej pogodzie. Kathryn bez trudu wyobraziła sobie, jak złowieszczoko musi wyglądać we mgle. Był zupełnie inny niż w Fortune's Rocks, gdzie natura wydawała się dużo łagodniejsza. Nasunęła jej się myśl, że po obu stronach Atlantyku stoją reporterzy i patrzą na siebie przez ocean.

- Miejsce, skąd wyciągnęli kokpit, badane jest teraz systemem nawigacji dalekiego zasięgu - powiedział rybak.

- Tam? - zapytała.

I poczuła, że drży. Przez chwilę. Na myśl o bliskości śmierci.

Podeszła do burty. Wpatrywała się w wodę, w jej nieustannie poruszającą się powierzchnię, która pod spodem wydawała się zupełnie nieruchoma. Człowiek nie jest tym, kim był dzień wcześniej, pomyślała.

Woda była dość mętna. Nad głowami krążyły mewy. Kathryn wolała nie myśleć o tym, dlaczego się tu zleciały.

Właściwie co było prawdziwe? - zastanawiała się, patrząc na wodę i na próżno usiłując znaleźć jakiś stały punkt. Czy to ona była żoną pilota, czy może Muire Boland? Muire Boland, z którą wziął ślub w katolickim kościele i która wiedziała o matce Jacka i знаła prawdę o jego dzieciństwie. Muire, która ją znała, podczas gdy ona nic nie wiedziała o istnieniu Muire.

A może to jednak Kathryn była prawdziwą żoną. Tą pierwszą, której chciał oszczędzić prawdy, której nie chciał opuścić?

Im więcej dowiadywała się o Jacku - zresztą nie miała już wątpliwości, że dowie się jeszcze więcej, że w rzeczach Jacka, które jej zwróca, odnajdzie inne ślady M - tym wyraźniej czuła, że musi zrewidować swoją przeszłość. Tak jak opowiada się wciąż na nowo jakąś historię, ale za każdym razem trochę inaczej, ponieważ zmieniają się różne fakty lub szczegóły. A jeśli zmieni się ich wystarczająco wiele, być może cała historia potoczy się zupełnie inaczej niż w pierwszej wersji.

Łodzią mocno zakołysało i Kathryn schwyciła się burty. Pomyślała, że Jack był jedynie mężem innej kobiety.

Spojrzała na krążący w górze helikopter. Kiedyś w Fortune's Rocks widziała przelatujący nisko samolot. Wówczas dzień zapowiadał się słonecznie, nad morzem podnosiła się poranna mgła. Samolot leciał nad wodą, a jego srebrzysty, gruby kadłub wydawał się zbyt ciężki, aby utrzymać się w powietrzu. Kathryn bała się wtedy, czy samolot nie spadnie, nie mogła uwierzyć, że unosi się w powietrzu.

Pomyślała, że Jack znał swój los. Znał go przynajmniej w ostatnich kilku sekundach życia.

Na pewno wzywał Mattie. Będzie w to wierzyć i taka będzie prawda.

Znowu zaczęła wpatrywać się w wodę. Jak długo płynie już tą łódką? Straciła zdolność odczuwania czasu. Kiedy zaczyna się przyszłość? Lub kończy przeszłość?

Usiłowała znaleźć w wodzie nieruchomy punkt, ale bezskutecznie.

Czy ta zmiana unieważni wszystko, co było wcześniej?

Niedługo opuści to miejsce i wróci do domu Julii. Będzie mogła powiedzieć córce: Jedziemy do domu. Jej życie jest związane z Mattie. Nie ma żadnej innej rzeczywistości.

Zdjęła z palca ślubną obrączkę i wrzuciła ją do oceanu.

Wiedziała, że pletwonurkowie nie znajdą ciała Jacka, jego już nie ma.

- Wszystko w porządku?

Młody rybak wychylił się z budki sternika, jedną ręką trzymając ster. Wyglądał na zaniepokojonego.

Uśmiechnęła się do niego i pokiwała głową.

Pomyślała, że uwolnić się od miłości to jak zrzucić z ramion ogromny ciężar.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wkłada jej na palec obrączkę i przez chwilę przytrzymuje jej dłoń. Sędzia pokoju wypowiada zdania prostej ceremonii. Kathryn patrzy na palce Jacka dotykające srebra, na lśniący metal. Kupił na tę okazję garnitur w szarym kolorze. Bardzo mu w nim do twarzy, jednak wygląda trochę dziwnie, jak mężczyzna, który na co dzień rzadko tak się ubiera. Ona jest ubrana w sukienkę ze sztucznego jedwabiu w kwiatowy deseń, marszczoną w talii, aby ukryć ciążę. Sukienka ma krótkie rękawy, podwyższone ramiona i zakrywa kolana. Kathryn czuje zapach sklepu, gdzie ją kupiła. Ma także kapelusz w brzoskwiowym kolorze, takim jak suknia, ozdobiony bladoniebieskim jedwabnym kwiatem, harmonizującym z kolorem kwiatowego wzoru. W korytarzu kolejna para rozmawia szeptem, lekko już zniecierpliwiona. Kathryn unosi głowę do pocałunku, który wydaje się dziwnie cnotliwy, przedłużony i oficjalny. Kapelusz z szerokim rondem zsuwa się jej z głowy.

- Zawsze będę cię kochał - mówi Jack.

Jadą na ranczo w górach. Temperatura spada o czterdzieści stopni. Kathryn zarzuca na brzoskwiową suknię skórzaną kurtkę Jacka. Wciąż czuje na twarzy ślubny uśmiech, który nie zniknął, jakby został utrwalony na fotografii. Jej głowa kołysze się lekko na zakrętach. Kathryn zastanawia się, jak będzie wyglądać ich noc poślubna, bo przecież żyli ze sobą już wcześniej. Czy będą się czuli w łóżku jakoś inaczej? Zastanawia się również, jak to jest, gdy ślubu udziela ktoś, kogo żadne z nich nigdy nie spotkało i kto natychmiast o nich zapomni. Suche powietrze na zachodzie sprawia, że jej włosy wydają się cieńsze niż w wilgotnym powietrzu Ely. Czuje też napiętą skórę na twarzy.

Jadą pod górę. Ciemne i czyste nocne niebo odcina się od ciemniejszych zarysów zarośli i skał, a przydrożne kamienie rzucają krótkie cienie. W oddali widać światło.

W domku pali się ogień na kominku. W łazience jest metalowy prysznic i różowa umywalka. Jack wydaje się zaskoczony skromnym umeblowaniem, jakby spodziewał się czegoś innego.

- Podoba mi się tutaj - wtrąca szybko Kathryn.

Siada na łóżku, które ugina się i skrzypi metalicznie. Patrzy ze zdziwieniem na Jacka, który wybucha śmiechem.

- Cieszę się, że mamy osobny domek - mówi.

Rozbierają się w świetle ognia. Kathryn patrzy, jak Jack zdejmuje krawat i rozpina koszulę. Odpina pasek. Zdejmuje spodnie od garnituru. Ach, te męskie

skarpetki. Gdyby mężczyźni wiedzieli, jak w nich wyglądają, nigdy by ich nie nosili.

Jack jest nagi, robi mu się zimno i daje nura pod kołdrę. Ocierają się o siebie jak jedwab. Jack otula ich oboje kołdrą, jedynym luksusem w pokoju.

Łóżko skrzypi przy najmniejszym poruszeniu. Leżą obok siebie, twarz blisko twarzy, i dotykają się jak nigdy przedtem: powoli, oszczędnymi ruchami, jak w jakimś starożytnym tańcu, rytualnym i pełnym skupienia. Gdy w nią wchodzi, porusza się z niezwykłą ostrożnością i cierpliwością. Kathryn raz tylko gwałtownie wzdycha.

- Nas troje - mówi Jack.

RS

## CZEŚĆ TRZECIA

### ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ramiona Mattie drżały, gdy podciągała żyłkę. - Widziałaś? - zawołała. - Wygląda na potężną sztukę - odparła Kathryn.

- Chyba naprawdę ją złapałam.

- Uważaj, żeby żyłka nie zaczepiła się o skały.

Kathryn widziała kotłujące się pod powierzchnią wody srebrzysto-czarne paski. Przez czterdzieści minut obserwowała, jak Mattie łowi ryby wielką wędką swojego ojca: zakłada przynętę, zarzuca wędkę, czeka, a potem wciąga rybę za pomocą kołowrotka, podtrzymując wędkę ramieniem. Kathryn weszła do strumienia z siatką na ryby. Zagarniała wodę, a gdy ryba uciekała, próbowała znowu. Wreszcie uniosła siatkę, pokazując Mattie rybę.

Jack powinien tu być, pomyślała instynktownie Kathryn.

Mattie odłożyła wędkę, wzięła od matki złowioną rybę i położyła ją na piasku. Oszołomiona ryba uderzała ogonem o ziemię. Mattie wyjęła miarkę, a Kathryn uklękła obok niej, aby się lepiej przyjrzeć.

- Dziewięćdziesiąt centymetrów - oznajmiła Mattie z dumą.

- Brawo! - ucieszyła się Kathryn i pogłaskała ją po włosach. Włosy jej córki nabrały przez lato pięknego, miedzianego koloru.

Już ich nie prostowała, pozwalając im układać się tak, jak chciały. Była prawie naga, jeśli nie liczyć dwóch wąskich pasków błękitu, które stanowiły jej kostium do opalania.

- Chcesz ją zjeść czy wypuścić? - zapytała Kathryn.

- A co powinnam zrobić?

- Gdyby to nie była twoja pierwsza ryba, wypuściłabym ją. Czy tata uczył cię, jak się je oprawia?

Mattie wstała i uniosła w górę rybę.

- Idę po aparat! - zawołała Kathryn.

- Kocham cię, mamó - uśmiechnęła się Mattie.

Kathryn szła przez trawnik, słuchając nierytmicznych uderzeń linek o maszt. Dzień był równie piękny jak wszystkie tego lata, które powoli przemijało, pełne bogactwa barw. Właśnie tego dnia widziała wspaniały wschód słońca. O brzasku nisko wiszące chmury zabarwiły się wzdłuż linii horyzontu na różowo, a mgła unosiła się nad wodą jak lawendowy dym. I nagle wyskoczyło słońce, gwałtowna detonacja na powierzchni morza, i na kilka cudownych minut ocean stał się



turkusową, płaską powierzchnią, w której odbijał się neonowy róż. Pomyślała wtedy, że zjawisko to przypomina swoją urodą wybuch bomby nuklearnej lub pożar na statku. Współistnienie ziemi, morza i powietrza.

Właściwie narzekała już tylko na te poranne przebudzenia, jak stara panna lub wdowa, którą przecież była. Wczesne pobudki mogły wskazywać na brak nocnych uciech, po których chce się dłużej spać. W owe jakże często upiorne poranki Kathryn dużo czytała, zadowolona, że jest już w stanie skupić się na tej czynności. Mogła też w całości przeczytać gazetę. Ostatnio, siedząc na werandzie, ze szczególnym zainteresowaniem przeczytała artykuł na pierwszej stronie, o zawieszeniu broni.

Dokładnie w dzień Nowego Roku w „Belfast Telegraph” ukazał się obszerny artykuł o bombie podłożonej na pokładzie Vision Lot 384. Pisano o roli kapitana Jacka Lyonsa, który miał w tym swój udział, aczkolwiek całkowicie nieświadomy. W artykule wspomniano także o długotrwałym procederze przemytu, jaki uprawiały załogi linii lotniczych, podano nazwiska innych zaangażowanych w to pilotów oraz wyjaśniono powody, dla których lojalistyczny odłam chciał skompromitować IRA i sabotować proces pokojowy. Aresztowano między innymi Muire Boland i jej brata, a także ujawniono ich powiązania z Jackiem Lyonsem. Chociaż nie wspomniano tam ani o ich małżeństwie, ani o drugiej rodzinie, Kathryn od miesięcy żyła w strachu, że te rewelacje także zostaną podane do wiadomości publicznej. Postanowiła jednak zaryzykować i nie powiedziała o niczym Mattie, czekając, aż prasa o tym napisze. Wiedziała, że kusi los, i nie była pewna, jak to się może skończyć. Mattie wiedziała tylko tyle, co reszta świata, i to wystarczyło.

Kathryn nie miała pojęcia, co się stało z dziećmi Muire Boland. Czasami wyobrażała sobie, że są u A.

Wiosną Kathryn przeczytała książkę o konflikcie irlandzkim, chcąc lepiej go zrozumieć. Znała już więcej faktów niż w grudniu, ale musiała przyznać, że ta wiedza tylko komplikowała sprawę. W ciągu ostatnich kilku miesięcy czytała też w prasie o buntach w więzieniach, paramilitarnych egzekucjach, bombach podkładanych pod samochody.

Teraz znowu zawarto zawieszenie broni. Być może pewnego dnia nastanie pokój, chociaż Kathryn nie wierzyła, że nastąpi to już wkrótce.

Ale nie ona powinna się nad tym zastanawiać. To nie była jej wojna.

Tyle Kathryn była w stanie robić, aby jakoś stawić czoło kolejnym dniom, i w efekcie nie stawiała sobie zbyt wysokich wymagań. Chodziła w kostiumie kąpielowym pod wypłowiałym, granatowym podkoszulkiem. Robiła na drutach

bawełnianą bluzeczkę dla Mattie i zamierzała zrobić taką samą dla siebie. Miała wrażenie, że to szczyty jej ambicji. Czasami wpadała do nich Julia lub Kathryn zatrzymywała się u niej w mieście. Jadły wspólnie posiłki, usiłując we trzy odbudować rodzinę. Julia bardzo ciężko przyjęła wiadomość o niewierności Jacka. Wtedy Kathryn po raz pierwszy widziała, że babce zabrakło słów, nie była w stanie udzielić jej żadnej rady.

Kathryn wbiegła po stopniach na werandę, minęła pokój frontowy i kuchnię. Wydawało jej się, że aparat fotograficzny leży w kieszeni wiatrówki, wiszącej w korytarzu na tyłach domu. Wyszła zza rogu i nagle się zatrzymała.

Stał przy drzwiach kuchennych. Wcześniej pewnie już pukał i czekał, aż mu ktoś otworzy. Przez szklaną szybę widziała jego twarz. Oparła dłoń o ścianę, aby złapać równowagę. Między nią a drzwiami kłębiły się przykre wspomnienia, przed oczami stanął jej tamten moment, gdy szła korytarzem, aby go wpuścić, moment, w którym całkowicie zmieniło się jej życie.

Jak w transie podeszła kilka kroków do drzwi i otworzyła je.

Opierał się o framugę, trzymając ręce w kieszeniach. Miał na sobie biały podkoszulek i szorty w kolorze khaki. Zauważyła, że obciął włosy i jest trochę ogorzały. Niewiele więcej widziała, bo słońce padało na niego od tyłu. Mimo to czuła go tam, dziwną mieszankę determinacji i rezygnacji, jaka z niego emanowała. Pomyślała, że czeka, aby zatrzaskała mu drzwi przed nosem, poprosiła, aby odszedł, lub szorstko zażądała wyjaśnień, czego teraz od niej oczekuje.

Powietrze między nimi zdawało się ciężkie.

- Czy minęło dość czasu? - zapytał.

Stojąc tak, zastanawiała się, ile powinno upłynąć czasu, aby było dość.

- Mattie złapała rybę - powiedziała, lekko przytomniejąc. - Przyszłam po aparat.

Znalazła go tam, gdzie miał być. Idąc przez dom, dotknęła dłonią czoła. Jej skóra była gorąca i szorstka od piasku i słonej wody morskiej.

Wcześniej razem z Mattie uprawiały surfing bez deski, rzucały się na fale i wygrzebywały spod nich na łokciach i kolanach jak rozbitkowie.

Przeszła przez trawnik, myśląc o mężczyźnie, którego zostawiła w drzwiach. Zastanawiała się przez chwilę, czy go wymyśliła, czy tylko wyobraziła sobie, że stoi w smudze słonecznego światła. Zrobiła z tuzin zdjęć, jak Mattie trzyma rybę, chciała przedłużyć tę chwilę, dać sobie więcej czasu. Odłożyła aparat dopiero wtedy, gdy Mattie zaczęła się niecierpliwic. Potem pomogła jej zanieść wędki i rybę na werandę.

- Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? - zapytała Kathryn po drodze, mając na myśli opravienie ryby.

Tego typu pytanie równie dobrze mogłaby zadać sobie.

- Chcę spróbować - odpowiedziała Mattie.

Szła przodem i pierwsza zauważyła stojącego na werandzie mężczyznę. Zatrzymała się i opuściła rękę z rybą. W jej oczach pojawiły się ostrzegawcze błyski, wspomnienie złego snu.

Posłaniec, pomyślała Kathryn.

- Wszystko w porządku - szepnęła do córki. - On przyszedł tylko w odwiedzinach.

Matka z córką razem szły przez trawnik, wracając z wędkowania jak wiele osób przed nimi, jedna niosła wędkę, druga triumfalnie trzymała swoje trofeum, pierwszą złapaną w życiu rybę. Tydzień temu Mattie znalazła w garażu wędki Jacka oraz sprzęt do łowienia ryb i metodycznie zaczęła sobie przypominać wszystko, czego ojciec nauczył ją zeszłego lata. Kathryn niewiele mogła jej pomóc, bo sama nigdy nie lubiła wędkowania. Mattie była tak zdeterminowana, że szybko nauczyła się, jak używać długich wędek, cały czas doskonaląc swoje umiejętności.

Wiatr zmienił kierunek na wschodni i Kathryn natychmiast poczuła w powietrzu chłód. Za parę minut na oceanie utworzą się białe grzywy na falach. Jak zwykle przy tej okazji pomyślała o Jacku i wiedziała, że wschodni wiatr zawsze będzie jej przypominał tamten dzień, gdy stała na werandzie, a Jack powiedział jej o planach kupna tego domu. To była tylko jedna z tysiąca chwil, które, jak naciśnięcie cyngla, wywoływały wspomnienia.

Takie stany ogarniały ją bardzo często. Dotyczyły Jacka Lyonsa, Muire Boland i Roberta Harta. Pojawiały się też, gdy myślała o samolotach, o czymś irlandzkim, o Londynie. Wywoływały je również białe koszule i parasole. Czasami nawet szklanka piwa. Kathryn nauczyła się z nimi żyć, tak jak z tikiem nerwowym, jękaniem lub chorym kolanem, które od czasu do czasu wysyła sygnał bólu.

- Cześć, Mattie - przywitał się Robert, gdy dziewczyna weszła na werandę.

Powiedział to przyjaznym głosem, ale widać nie wystarczająco, gdyż Mattie wyraźnie poczuła się zaniepokojona.

Jako dobrze wychowana panna powiedziała „dzień dobry”, lecz natychmiast odwróciła głowę.

- Dorodny okaz - zauważył Robert.

- Mattie uczy się wędkować - wtrąciła Kathryn.

- Ile ma długości, osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć? - zapytał Robert.

- Dziewięćdziesiąt - pochwaliła się Mattie. Wzięła od matki pudełko z przyborami do łowienia.

- Zrobię to tutaj - powiedziała, wskazując ręką kąt na werandzie.

- Pod warunkiem, że potem posprzątasz - zgodziła się Kathryn. Przyglądała się, jak Mattie kładzie rybę na podłodze. Dziewczyna dokładnie obejrzała jej skrzela, a następnie wyjęła z pudełka nóż. Wykonała próbne cięcie. Kathryn miała nadzieję, że ryba jest już martwa. Robert odszedł w drugi kąt werandy. Pomyślała, że chce porozmawiać.

- Piękny widok - powiedział, gdy podeszła do niego.

Oparł się o poręcz i podziwiał okolicę. Widziała jego twarz i zauważyła, że rysy są ostrzejsze, niż pamiętała, wyraźniejsze. Być może sprawiła to opalenizna.

- Pozostał w mojej pamięci - dodał.

Oboje jednocześnie usłyszeli w tych słowach bolesne przypomnienie tego, co pozostało w ich pamięci.

Na opalonych nogach Roberta lśniły złote włoski. Kathryn pomyślała, że chyba nigdy dotąd nie widziała jego nóg. Jej też były gołe, na co Robert zwrócił uwagę.

- Jak ona się czuje? - zapytał, obrzucając Mattie wzrokiem, który dobrze pamiętała: uważnym i skupionym.

Obserwator.

- Lepiej - powiedziała cicho Kathryn, aby córka nie słyszała. - Już dużo lepiej. Ale wiosna była ciężka.

Przez wiele tygodni ona i Mattie odczuwały skutki społecznego gniewu. Gdyby Jack nie zaangażował się... mówili jedni. To twój ojciec przewoził bombę... wspominali drudzy. Otrzymywały telefony z pogrózkami od obcych ludzi, pełne oskarżeń listy od krewnych ofiar, przy bramie koczowały tłumy dziennikarzy. Nawet wyjazd do pracy był koszmarem, ale Kathryn odmówiła opuszczenia domu. Musiała prosić władze miasta Ely, aby wyraziły zgodę na objęcie jej posiadłości ochroną. Radny miejski zwołał zebranie, zgłosił wniosek pod głosowanie i po długiej debacie zgodzono się finansować ten wydatek z budżetu miasta. Umieszczono go w kategorii „Działania dobroczynne”.

Z czasem potrzeba ochrony malała, ale Kathryn zdawała sobie sprawę, że ani ona, ani Mattie nigdy już nie zaznają normalnego życia. Był to fakt, który determinował ich egzystencję i z czym codziennie musiały sobie radzić. Przypominała sobie, co Robert powiedział kiedyś o dzieciach ofiar katastrof lotniczych: One zmieniają się wraz z nieszczęściem i przystosowują.

- A jak ty się czujesz? - zapytał.

- W porządku - powiedziała.

Robert odwrócił się, oparł rękę na słupku, rozglądając się po trawniku i ogrodzie.

- Hodujesz róże - zauważył.
- Usiłuję.
- Wyglądają bardzo pięknie.
- To nie jest najmądrzejsze przedsięwzięcie, hodować róże tak blisko oceanu.

W arkadzie prowadzącej do ogrodu posadziła gatunek zwany friar i kolczaste wenlocksy, dalej rosły cressida i prospero. Kathryn najbardziej lubiła róże świętej Cecylii - za ich bezwstydną rumieńce w samym środku kwiatów. Były łatwe w hodowli, mimo działania morskiego powietrza. Kathryn lubiła ekstrawagancję w kwiatach, niczemu nie służący luksus.

- Powinienem ci to powiedzieć od razu, pierwszego dnia - odezwał się. Nie była przygotowana na to wyznanie tak szybko. - A później zorientowałem się, że jeśli ci powiem, to cię stracę.

Milczała.

- Podjąłem złą decyzję - przyznał.
- Usiłowałeś mi powiedzieć.
- Ale niezbyt się starałem. Wreszcie padły te słowa.
- Czasami nie chce mi się wierzyć, że to się w ogóle zdarzyło - rzekła Kathryn.
- Gdybyśmy ich wcześniej znaleźli, może nigdy by do tego nie doszło. Chodziło mu o Jacka i Muire, oczywiście.
- Bomba miała wybuchnąć pośrodku Atlantyku, prawda? - zapytała. - Tam, gdzie nie pozostałby żaden ślad.
- Tak nam się wydaje.
- To dlaczego nie zadzwonili i nie powiedzieli, że to robota IRA?
- Nie mogli. IRA i policja porozumiewają się za pomocą specjalnych kodów.
- A więc oni po prostu czekali, aż śledztwo zaprowadzi policję na ślad Jacka i Muire.

- Taki długi lont.

Kathryn głośno zaczerpnęła powietrza.

- Gdzie ona jest?
- W Maze - powiedział. - W Belfaście. Ironią losu jest to, że więzieni są tam także terroryści z odłamu lojalistycznego.
- Podejrzewałeś Jacka?
- Wiedzieliśmy, że jest to ktoś, kto lata na tej trasie. Zastanawiała się, nie po raz pierwszy, czy kobieta może przebaczyć mężczyźnie, który ją zdradził. A jeśli tak, czy jest to akt afirmacji, czy tylko dowód głupoty?



- Najgorsze masz już za sobą? - zapytał Robert.

Podrapała się po ramieniu, w miejscu, gdzie ukąsił ją komar. Światło było bardziej wyraziste, jak zwykle przed zachodem słońca.

- Najgorsze jest to, że nie stać mnie na rozpacz - odparła. - Jak mogę rozpaczać po kimś, kogo być może wcale nie znałam? Kto nie był tą osobą, za jaką go uważałam? Kto zniszczył moje wspomnienia?

- Możesz opłakiwać ojca Mattie - rzekł Robert. Słyszając to, Kathryn doszła do wniosku, że zastanawiał się nad jej położeniem.

Spojrzała na Mattie, która głęboko nacięła rybę.

- Nie mogłem stać z boku - przyznał Robert. - Musiałem przyjść. Zdała sobie sprawę, że Robert także ryzykował. Tak jak ona z Mattie. Ona też nie ujawniła córce czegoś, o czym mogła jej powiedzieć.

I wtedy, odwrócona tak, że widziała ogród z tego końca werandy, z którego rzadko na niego patrzyła - a może zawdzięczała to szczególnemu układowi krzaków róż - zobaczyła to.

- A więc tam jest - powiedziała.

Mattie, słysząc zaskoczenie w głosie matki, spojrzała na nią znad krojonej ryby.

- Kaplica - wyjaśniła Kathryn.

- Co? - zapytała Mattie z lekkim zdziwieniem.

- W ogrodzie. Ta arkada. Ten kawałek marmuru, o którym cały czas myślałam, że to ławka. A to wcale nie jest ławka.

Mattie patrzyła przez chwilę na ogród, widząc w nim, Kathryn była tego pewna, jedynie ogród.

Ale ona widziała tam siostry zakonu świętego Jana Baptisty z Bienfaisance, klęczące w białych letnich habitach. W drewnianej kaplicy w kształcie arkady. Kaplica prawdopodobnie się spaliła, pozostał tylko marmurowy ołtarz.

Kathryn zeszła do ogrodu.

Widzieć rzeczy takie, jakie są, pomyślała. I były.

- Przygotuję coś do picia - zaproponowała, w duchu ciesząc się z odkrycia.

Weszła do frontowego pokoju, mając zamiar pójść do kuchni, włożyć lód do szklanek, pokroić cytrynę, ale zamiast tego zatrzymała się i spojrzała przez wysokie od podłogi do sufitu okno. W jego obramowaniu widziała Mattie, która męczyła się z rybą, i przyglądającego się jej Roberta, opartego o balustradę. Mógłby jej pokazać, jak używać noża, ale były to narzędzia Jacka i Kathryn wiedziała, że Robert tym razem wolał tego nie robić.

Pomyślała o Muire Boland, siedzącej w więzieniu w Irlandii Północnej. O Jacku, którego ciała nie znaleziono. Zastanawiała się, czyjej ból byłby mniejszy,

gdyby mogła powiedzieć, że to wina matki, która go opuściła, gdy miał dziewięć lat, lub brutalnego ojca. Albo że to wpływ jakiegoś księdza z katolickiej szkoły, do której uczęszczał, wojny wietnamskiej, kryzysu wieku średniego lub nudnej pracy w liniach lotniczych. Lub poszukiwanie sensu życia. Albo pragnienie, aby dzielić ryzyko z kobietą, którą kochał. Wiedziała jednak, że powodem mogło być to wszystko naraz lub zupełnie coś innego. Motywacja Jacka, która na zawsze pozostanie dla Kathryn tajemnicą, zbudowana była z fragmentów wszystkich tych powodów, niczym kolorowa mozaika.

Znalazła niewielki kawałek papieru tam, gdzie go schowała, pod zegarem na kominku. Kilka tygodni temu przyszło jej na myśl, że pewnego dnia to zrobi.

Rozprostowała bilet z loterii.

Na werandzie Mattie podniosła do góry filet rybny i włożyła go do plastikowego woreczka, który trzymał Robert. W Londynie nikt nie odbierał telefonu, tak jak Kathryn się spodziewała.

- Chciałam się tylko dowiedzieć, czy dzieci są bezpieczne - powiedziała przez ocean.

RS